

Maria Kochanowska

Zaklęty pierścień

Baśnie, podania i legendy polskie

Spis treści:

Wstęp

- Syrena Artur Oppman (Or - Ot)	4
- Bazylipek Maria Krüger	8
- O szlachetnym Gryfie i pięknej Syrenie Kazimierz Władysław Wójcicki	15
- Boruta Mira Jaworzakowa	17
- Przerwany hejnał Stefania Posadzowa	19
- Stopka królowej Jadwigi Maria Krüger	21
- Mały pierścionek Maria Krüger	22
- Głowy Wawelskie Janina Porazińska	25
- Pasterz tysiąca zajęcy Stanisław Magaczewski	27
- Łopień - Złotopień Hanna Januszewska	34
- O Bartku doktorze Maria Krüger	36
- Ojcowska legenda Kornelia Dobkiewiczowa	45
- Bonarowe denarki Hanna Zdzitowiecka	47
- Legenda o Wiśle Stanisław Magaczewski	50
- Legenda o Belkotce Jan Kasprowicz	52
- O śpiących rycerzach w Tatrach Hanna Zdzitowiecka	54
- Legenda o Morskim Oku Gustaw Morcinek	57
- O czarnej księżnej i chłopskim dzwonie Gustaw Morcinek	59
- Jak górnik Bulandra diabła oszukał Gustaw Morcinek	64
- O tym, jak Zuzanka poszła w kumy do utopców Gustaw Morcinek	69
- O tym, jak owczarz ukarał ciekawą babę Czesław Kędzierski	74
- Trębacz ratuszowy i król kruków Maria Krüger	77
- Zatopione miasto Maria Krüger	80
- Wieża Trzech Płaszczy Apolinary Nosalski	82
- Jabłoń Maria Krüger	84
- Jak Bartek gęsi roztropnie dzielił Józef Ignacy Kraszewski	86
- Kwiat paproci Irena Kwintowa	88
- Najpiękniejsze ręce Kornelia Dobkiewiczowa	94
- Rzepula Czesław Piskorski, Stanisław Świrko	97
- Jak powstały Mieszkowice Czesław Piskorski, Ryszarda Wilczyńska	101
- O włóczykach Mohortowych rycerzy Izabella Koniusz	103
- Bazylipek ze Smogór Tymoteusz Karpowicz	104
- Złote jezioro Władysław Łęga	106
- Niezwykłe wesele Stanisław Świrko	109
- O zatopionej Winecie Ewa Szelburg – Zarembina	112
- Jak bochen chleba w kamień się zamienił Hanna Zdzitowiecka	118
- Bursztynowa korona Franciszek Fenikowski	119
- Zakłète skrzypki Szymka Flisaka Franciszek Fenikowski	121
- O diable, który strzegł Bramy Wyżynnej Maria Krüger	126
- Łopata malego piekarczyka Stanisław Pagaczewski	130
- O dobrym rybaku i zakłètej Księżniczce Klemens Oleksik	132
- Czarownica znad Beldan Irena Kwintowa	134
- Legenda mazurka Irena Kwintowa	138
- Legenda z Lidzbarskiego Zamku Irena Kwintowa	141
- Pierścień Orlicy Irena Kwintowa	144

W ciągu ostatniego ćwierćwiecza ukazały się w "Naszej Księgarni" trzy obszerne antologie baśni, bajek, podań i legend polskich. Dwie z nich: "Woda żywa" (1956) i "U złotego źródła" (1968) - zebrane przez Stefanię Wortman - prezentują młodym czytelnikom baśnie polskie w opracowaniu literackim najbardziej znanych i zasłużonych pisarzy polskich. "Woda żywa" ukazuje teksty już klasyczne, z XIX i początku XX wieku, natomiast "U złotego źródła" spotkać można baśnie nowsze, wydawane po 1945 r. "Klechdy domowe" (1960) - zebrane przez Hannę Kostyrko - to z kolei retrospektywny zbiór podań i legend historycznych, związanych z różnymi miejscowościami i zabytkami Polski, z dawnymi dziejami i obyczajem.

Maria Kochanowska w "Zaklętym pierścieniu" zwraca również główną uwagę na podania o nurcie patriotycznym, legendy, baśnie regionalne. Autorka starannie dobrała materiał o różnorodnej tematyce fabularnej i geograficznej, przechylając go w kierunku podań. Baśni jest bowiem znacznie więcej na rynku wydawniczym - a pochodzenie ich z tego lub owego regionu daje się odczytać przez porównywanie motywów, a nie z realiów, które występują prawie w każdej baśni ludowej niezależnie od regionu: wiejska chata i królewski zamek, rzeki, morze, las i góry, postaci rzeczywiste i fantastyczne: chłopci, rycerze, dzielni książęta i piękne królowy, złe czarownice i dobre wróżki, mówiące zwierzęta, olbrzymy i krasnoludki, wodniki i rusałki.

Właściwie dopiero w podaniach międzynarodowe wątki dziejące się nie wiadomo gdzie i nie wiadomo kiedy zostają mocno osadzone w czasie i przestrzeni - diabły straszą w Igczyckim zamku, rycerze walczą pod Grunwaldem, zakochane księżniczki tęsknią w komnatach krakowskich pałaców, a Syrena porzuca morze i broni Wisły. Cały ten anonimowy świat nabiera konkretnych kształtów, umieszczając się w znajomych miejscach i przybierając dobrze znane imiona. Autorka sięgnęła po zbiory baśni regionalnych wydanych w latach 1960-1980, a także pieczołowicie pozbierała rozsypane po czasopiśmie baśnie i legendy.

W ten sposób powstała książka o dużych wartościach poznawczych i wielkim bogactwie tematyki, książka do czytania nie tylko dla dzieci, ale dla szerokich kręgów czytelników zainteresowanych literaturą fantastyczną.

Hanna Kostyrko

Syrena



- A widzieliście ją, tę syrenę niby, kumie Szymonie?

- Widzieć nie widziałem, kumie Mateuszu, bo drzewa przysłaniały źródło, a bliżej podejść bałem się jakości, ale słyszałem, jak śpiewa.

- Alboż to syreny śpiewają?

- Jakże to? Nie wiecie o tym, kumie Mateuszu? Śpiewają! I jak jeszcze! Głos to ci się tak rozchodził po Bugaju, po Wiśle, hen, aż za rzekę, jakoby właśnie dzwonek srebrzysty dzwonił: Słuchałbyś dniem i nocą.

- No i co dalej? Co dalej?

- Ano, nic dalej. Słuchałem, słuchałem, lubość mi się jakowaś rozpląwała po kościach, aż w końcu śpiewanie ucichło: widać syrena schowała się na nocleg w źródle, bo już i słońce zachodziło, a ja powlokłem się do chaty, ale całą noc spać nie mogłem, ino o tej syrenie rozmyślałem.

- Ciekawość! Warto by ją wypatrzeć, zobaczyć.

- Ale jak? Toć, jeśli nas ujrzy - umknie i skryje się w wodzie. A zresztą, może to i grzech przyglądać się takowej stworze nie chrzczonej i kuszącego jej śpiewania słuchać?

- Grzech nie grzech - nie wiada! Najlepiej zapytać o to ojca Barnaby, pustelnika. To człek mądry i pobożny; on powie i nauczy, co czynić nam należy.

- Rzetelnie mówicie, kumie Mateuszu, chodźmy do pustelnika Barnaby.

- Ano, to i chodźmy! Ryby przez ten czas z Wisły nie uciekną, a my się od duchownej osoby przeróżności dowiemy.

Tak rozmawiali z sobą dwaj rybacy z nad Wisły w owych zamierzchłych czasach, gdy na miejscu dzisiejszej Warszawy, a właściwie jej Powiśla, leżała niewielka rybacka osada, otoczona gęstymi lasami, w których roiło się od grubego zwierza: łosiów, turów, wilków i niedźwiedzi.

- Więc powiadacie, że śpiewała?

- A juści! Śpiewała; gadałem przecie.

- Hm! I często se tak podśpiewuje?

- A co dnia! Jak tylko słońeczko Boże ma się ku zachodowi i czerwienią a złotem pomaluje Wiselkę, wraz ci się na Bugaju jej piosenka rozlega.

- I długo też nuci?

- Do zachodu. Jak się ino ciemno zrobi na świecie, już jej nie słyhać.

- To nocami nigdy ze źródła nie wychodzi?

- Czy wychodzi, czy nie wychodzi, tego ja nie wiem, ale przepomniałem powiedzieć, że w pełni miesiąca też śpiewa. Nieraz mnie ze snu budzi blask księżycowy, co do chałupy zagląda: siadam se na posłaniu, aż ci tu odgłos jakowyś dolata z daleka; jakby skowronek, jakby dzwonek, jakby skrzypeczki lipowe: to ona.

- O to mi chodziło właśnie. Więc trzeba tak zrobić...

Tu ojciec Barnaba zadumał się na długą chwilę, a obaj rybacy czekali w skupieniu, aż namyśli się, co poradzić.

Ojciec Barnaba był to starzec wysoki, chudy, siwobrody, łysy jak kolano, odziany w długą samodziałową opończę. Na pomarszczonym jego obliczu rysowały się powaga i dobroć. Wszyscy trzej siedzieli przed budką pustelnika, na ławie uczynionej z dwóch pieńków, na których położono z gruba obciosaną deskę. Było to lipcowe popołudnie i cudnie było w boru, pachnącym żywicą i kwiatami. Ptaki śpiewały radośnie, pszczoły wesoło brzęczały, a zielony dzięcioł w czerwonym kapturku stukał dziobkiem, jak młotkiem, w korę rozłożystego dębu i wydlubywał robaki. A ojciec Barnaba namyślał się, namyślał, aż rzecze:

- Więc trzeba tak zrobić: w pełni miesiąca wybierzemy się we trzech do źródła; na odzienia nasze naczepić należy gałęzi świeżo zerwanych, najlepiej lipowych, kwiatem okrytych, żeby syrena człowieka nie poczuła, bo się nie pokaże; zaczaimy się przy samym źródle, a gdy wynijdzie i śpiewać zacznie, wtedy zarzucimy na nią sznur, spleciony z cienkich witek wierzbowych, święconą wodą skropiony, ile że takiego się żaden czar nie ima; zwiążemy i miłościwemu księciu na Czersku zawieziemy w darze. Niech ją na zamku trzyma i niech mu wyśpiewuje. Ale uszy woskiem musimy sobie zatkać, żeby jej narzekań i lamentów nie słyszeć, bo inaczej serce w nas tak zemdleje, że nie będziemy mieli mocy wziąć jej w niewolę. Srodze jest żałośliwe syrenie śpiewanie.

- Tak jest, jak mówicie, ojcze Barnabo; wiem ci ja o tym, bom te piosenki słyszał. Żaden miód, by najprzedniejszy, tak człowieka nie upoi, jako on głos syreni. Więc tedy do pełni miesięcznej?

- Tak jest, do pełni.

I rozeszli się w swoje strony. Rybacy nad Wisłę do zarzuconych sieci, a ojciec Barnaba na modlitwę. Tam gdzie dziś nad samym prawie wybrzeżem Wisły, poniżej starożytnych kamienic Starego Miasta, rozciąga się ulica, Bugaj zwana, przed wielu, wielu laty szumiał las zielony, odwieczny. W lesie tym, z pagórka wznoszącego się nad rzeką, tryskało źródło i rozlewało się w głęboki, bystro płynący potok. Nad potokiem rosły białokore brzozy, wierzyby pokrzywione maczały w nim długie gałęzie, kwitnęły polne róże i niezapominajki haftowały niebieskimi kwiatkami zielony traw kobierzec.

W tym to potoku mieszkała właśnie syrena.

Była piękna, pogodna noc miesięczna. Srebrzysta pełnia żeglowała przez błękitne, usiane gwiazdami niebo i przyglądała się ziemi uśpionej, lasowi i źródłu. Ale w lesie nie wszyscy spali. Zza brzóz i wierzb, stojących nad potokiem, widać było trzy skulone postacie. Przycupnęły one wśród krzaków gęstych i ciekawymi oczyma spozierały w wodę potoku, mieniając się srebrzyście od blasków tarczy miesięcznej. Byli to dwaj rybacy, Szymon i Mateusz, i pustelnik, ojciec Barnaba. Nagle z wody wynurzyła się przecudna postać. W świetle miesięcznym widać ją było doskonale. Miała długie, kruczoczarne włosy, pierścieniami spływające na białą, jak z marmuru wyrzeźbioną szyję; szafirowe jej oczy, wzniesione ku pełni, patrzyły dziwnie przejmująco i smutno, a ozdobiona lekkim rumieńcem twarzyczka takim tchnęła czarodziejskim urokiem, że przyglądającym się jej rybakom aż serca zamarły ze wzruszenia.

Syrena chwilę trwała w milczeniu, zapatrzona w niebo i w gwiazdy - i oto w ciszy tej czarownej nocy zadźwięczał śpiew tak piękny, tak kryształowo czysty, że zdawało się, iż i księżyc,

i gwiazd miliony, i ziemia, i niebo zasłuchały się w niego do niepamięci. Wtem z krzaków cicho, bez szelestu, wyskoczyły owe postacie - i nie tak szybko rzuca się ryś drapieżny na przebiegającą łanię, jak oni rzucili się na syrenę, skrępowali ją powróstem, z witek wierzbowych splecionym, i wyciągnęli z wody na murawę.

- Co teraz począć? Co z nią począć? - jęli się pytać obaj rybacy zdyszany, gorączkowym głosem.

- Co począć? - rzeknie pustelnik. - Poczekajcie, zaraz wam powiem. - Nim ją do Jego Miłości księcia na Czersku zawieziem, a wieść przecież nie będziemy po nocy, zamkniemy syrenę w oborze, a pilnować jej będzie Staszek, pastuch gromadzkiego bydła. Skoro świt zaś wóz drabiniasty sianem wymościm i jazda do Czerska! Dobrze mówię?

- Dobrze mówicie, ojcie Barnabo, mądrze mówicie!

Szymon i Mateusz dźwignęli syrenę i ponieśli ją w stronę wioski.

* * *

Staszek został sam na sam z syreną. Leżała ona pod ścianą obory, na wprost jednego z otworów okiennych, w przeciwległej ścianie wyciętych, a Staszek siadł naprzeciwko i tak, jak mu rozkazali, patrzył w nią bacznie i oczu z dziwowiska nie spuszczał. Miesiąc świecił w ten otwór ścienny mocnym blaskiem i osrebrał cudną twarzyczkę syreny, w której to twarzyczce jaśniały jak gwiazdy modre, wilgotne od łez, przesmutne oczy. I nagle - syrena spojrzała na Staszka swymi czarodziejskimi oczami, uniosła przepiękną, opierścienioną zwojami czarnych włosów główkę, otworzyła koralowe usteczka i zaśpiewała. Zaśpiewała jakąś piosenkę bez słów, piosenkę tak cudną, że drzewa za oborą przestały szumieć, a krowy łby ciężkie od żłobów zwróciły w jej stronę, żuc przestały i zasłuchały się w oszałamiającą pieśń syreny. Staszek był na wpół przytomny. Jak żyje nie słyszał nic podobnego. Śpiew syreny grał na jego sercu tak, jak gra wiosna na sercu każdego człowieka. Uczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. A syrena nagle spojrzała wprost w oczy Staszka i rzekła:

- Rozwiąż mnie!

Nie zawahał się ani na chwilę. Podszedł ku syrenie i kozikiem rozciął krępujące ją postronki. A dziwowisko ślicznymi rączkami objęło go za szyję i szepnęło:

- Otwórz wrota i chodź za mną.

Usłuchał. Otworzył wrota na ścieżaj i czekał, co się stanie. Nie czekał długo. Syrena uniosła się ze słomy, na której leżała, i skacząc na swoim rybim ogonie, przeszła przez wrota i skierowała się w stronę Wisły. Szła i śpiewała: Krowy wyciągnęły za nią łby i poczęły ryczeć żałościwie, drzewa szumiały do wtóru piosence syreniej, a szumiały tak smutnie, aż niebo drobnymi łzami sypać jęło i zachmurzyło się ponuro. A Staszek, jak urzeczony, szedł za nią, szedł za nią bez woli, bez myśli. Ustał deszcz, wyblysnęło słońce; z chałup wychodzili ludzie i ze zdumieniem patrzyli na widok tak nadzwyczajny. A syrena szła i śpiewała. A gdy już była tuż, tuż nad brzegiem Wisły, odwróciła się, spojrzała ku wiosce i zawołała na głos cały:

- Kochałam cię, ty brzegu wiślany, kochałam was, ludzie prości i serca dobrego, byłam waszą pieśnią, waszym czarem życia! Czemuż wzięliście mnie w niewolę, czemuż chcieliście, abym w pętach, w więzieniu, na rozkaz książęcy śpiewała? Śpiewałam wam, ludzie prości, ludzie serca cichego i dobrego, ale na rozkaz śpiewać nie chcę i nie będę. Wolę skryć się na wieki w fale Wiślane, wolę zniknąć sprzed waszych oczu i tylko szumem rzeki do was przemawiać. A gdy przyjdą czasy ciężkie i twarde, czasy, o których nie śni się ani wam, ani dzieciom i wnukom dzieci waszych śnić się jeszcze nie będzie, wtedy, w lata krzywdy i klęski, szum fal wiślanych śpiewać będzie potomkom waszym o nadziei, o sile, o zwycięstwie.

* * *

Minęły lata i wieki. Na miejscu wioski - miasto powstało, ludne, bogate, warowne. A miasto owo, później stolica, na pamiątkę dziwnej przygody z syreną wzięło ją za godło swoje i godło to po dzień dzisiejszy widnieje na ratuszu Warszawy.

Artur Oppman (Or-Ot)

Bazyliszek



W kuźni płatnerza

W kuźni płatnerskiej imć pana Melchiora Ostrogi robota wrzała aż miło. Czeladzie pracowali nad wykończeniem przepysznej zbroi rycerskiej dla Jego Miłości pana kasztelana płockiego, a dwóch chłopaków dęło w wielkie miechy, podsycając ognisko w ogromnym kominie. W płomieniach purpurowych i złotych tego ognia sam we własnej osobie imć pan Melchior Ostroga, świetny mistrz sławetnego płatnerskiego cechu, trzymał w cęgach potężną sztabę żelazną, aby ją za chwilę na miecz na kowadle przekować. Miecz ten wraz z pancerzem; z hełmem, z naramiennikami i nagolennikami stanowił właśnie całkowity rynsztunek bojowy, po który pan kasztelan miał dziś jutro przyjechać. A cudnaż to była zbroica! Z najprzedniejszej stali, wypolerowanej jak zwierciadło, pokryta nabijaniami ze szczerego srebra, z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, prześlicznie w złocie wyimaginowanym, i z krzyżem husarskim na kołnierzu. Miało to być prawdziwe arcydzieło przesławnej sztuki płatnerskiej i niepomału chlubił się nim już z góry mistrz Melchior.

W kuźni, za wielką kupą żelaziwa, bawiło się dwoje dzieci: czarnowłosa chłopczyk i złocistoloka dziewczynka. Było to rodzeństwo, dziatwa imć pana Ostrogi. Chłopczyk, jako to chłopczyk, rycerską znalazł sobie igraszkę: z kawałka cienkiego żelaza szablę krzywą, niby to turecką, uczynił i w fechtach jął się wprawiać, jak żołnierz. Ale dziewczynka, zapatrzona z początku w szermierkę braciszka, znudziła się niezadługo, boć co tam panienkę wojowanie obchodzi.

- Maćku! - zawołała na brata. - Chodźmy już stąd na Rynek; w Rynku tak wesoło i gwarno, słoneczko świeci; pobiegamy, przyjrzymy się kramom i towarom.

- Czekać no, Halszko, jeszcze ano kilka cięć krzyżową sztuką przypomnę i pójdę z tobą, kiedy chcesz koniecznie; choć mnie i w kuźni dobrze: tyle tu ciekawych rzeczy: kopii, kolczug, bułatów.

Machnął raz i drugi szabelką, cisnął ją na ziemię i zabierali się ku wyjściu. Spozstrzegł wychodzące dzieci mistrz Ostroga i przywołał do siebie.

- A gdzie to, malcy?

- Na Rynek, tatuńciu.

- A po co?

- Popatrzeć, pobiegać, światu Bożemu się przyjrzeć.

- Zgoda. Ale uważajcie na siebie i na obiad się nie spóźnijcie do matki. I jeszcze jedno: niech was ręka Boska broni chodzić na Krzywe Koło do zburzonego domostwa. Niedobre sprawy się tam dzieją. Coś straszy, coś jęczy. Jeszcze by was, strzeż Panienko Najświętsza, złe porwało!

- Ja się niczego nie boję, tatuńciu! - zuchowato zawołał Maciek.

- A ja się wszystkiego boję, tatuńciu! - zapiszczała cieniutko Halszka. - I nie pójdziemy!
- No, to bądźcie mi zdrowe, dzieciaki!

Na Starym Rynku

Na Rynku wrzask i harmider. Tłum w barwnych ubiorach krąży dokoła Ratusza, który dumnie wznosi się pośrodku placu. W Ratuszu na dole kramnice bogate, dostanie w nich, czego dusza zapagnie. Tu sklepy ormiańskie z tkaninami tureckimi, haftowanymi złotem i srebrem, z dywanami perskimi i indyjskimi szalami; tam Szkot sukniem i płótnem zamorskim handluje; ówdzie poważny Turek z długą brodą i z cybuchem w ustach zasiadł za ladą, na której - figi, daktyle, rodzenki, bakalie przeróżne stosami się piętrzą aż ślinka idzie, a jeszcze gdzie indziej Niemiec czy Holender zabawki ma takie, łątki, czyli lalki, koniki, pieski, piłki, że aż oczy bołą patrzeć i chciałoby się mieć to wszystko na własność. Maciuś i Halszka przewijają się wśród ludzkiej gromady zrećnie i szybko, jak dwa piskorze; sami nie wiedzą, na co spojrzeć. I to wabi, i to nęci. Wszędzie jest tyle piękności, że, można by rok chyba cały po Rynku wędrować i jeszcze by się tego wszystkiego nie zobaczyło.

Aż ci tu nagle zahuczy bębenek, zaświszczy piszczalka, talerze blaszane zadźwięczą. Co to takiego? A to Cygan, czarnokudły, ciemny na gębie, uczonego niedźwiedzia na łańcuchu prowadzi. Cóż to za niedźwiedź! Boże miły! Wszystko umie, wszystko rozumie. Gada ci Cygan do niego jakimś łamanym językiem, z kiepska po węgiersku, a ten robi, co mu każą, ani się namyśli.

- Miszka! Ukłoń się ładnie jasno-wielmożnym państwu!

Niedźwiedź się kłania.

- Miszka! Jak stare baby wodę z rzeki noszą.

Niedźwiedź dwa wiadra na drągu na plecy bierze i lezie taczając się z boku na bok, jak pijany.

- Miszka! Jak młode panienki na weselu tańczą?

I niedźwiedź nuż w podrygi a w łamańce. Boki zrywać ze śmiechu!

Gdy się tak Maciek i Halszka zwierzowi mądrymu przypatrują, z nagłą ktoś im ręce na oczach położył i ciekawy widok zasłonił.

- Zgadnijcie, kto to taki? - ozwał się głosik rzeźwy, wesoły, radosny.

- Waluś! Waluś! - ucieszyło się rodzeństwo. - Poznaliśmy cię od razu po głosie! Ale odstoń no już nam oczy i spozierajmy razem na niedźwiedzia.

Odwrócili główki: jakoż był to w istocie Waluś Klepka, synek dziesięcioletek imć pana Pietra Klepki, bednarza z Zapiecka. Waluś, dawny ich znajomy, miły i zabawny chłopczyk, jedną wielką miał wadę: urwis był z niego okrutny. Psocił i broił co niemiara; rady sobie z nim rodzice dać nie mogli. Obiecywał poprawę przyrzekał posłuszeństwo, ale gdzie tam! Za parę dni - co dni! - za kilka godzin znów jakąś sztukę wyplatał. Niewytrzymanie ludzkie z takim wiercipiętą!

Niedźwiedź odprawił swoje widowisko; Cygan do czapki sporą kupkę nzbierał szelągów, pomiędzy którymi gdzieniegdzie i srebrny grosz zabłysnął - i ruszyli dalej. A ruszyli właśnie, jak na nieszczęście, w stronę Krzywego Koła.

Trójka malców powlokła się za gromadą, ale gdy przechodzili koło zwalisk odwiecznego domostwa, o którym płatnerz wspominał Waluś zatrzymał Maćka i Halszkę.

- Poczekajcie - szepnął - coś wam powiem, coś pokażę.

- No co? No co? - zaciekały się dzieci.

- Oto to, żebyśmy zeszli po tych schodach, co widzicie, do piwnic starego domu.

- Co ty gadasz, Walusiu? - zawołała Halszka. - Jakże to można, choćby żartem, mówić o tym. Toćże tam straszny! Tatuś powiadali.

- Ehe! Straszny, straszny... Bajki ze strachami! A ja wam mówię, że tam są skarby zakłete. Zazierałem w piwnicę wczoraj w południe i to powiadam wam, coś tak błyszczało, gdy słońko zajrzało do wnętrza, że aż mnie oczy zabołały. Ani chybi: złoto!

Maciek się zastanowił:

- A może by znijsć na chwilę, a skarby matysi i tatuńciowi przynieść. Tożby się ucieszyli! Jak myślisz, Halszko?

- Ja nie znijdę! - rezolutnie zakrzyknęła Halszka. - Nie znijdę za nic na świecie!

- Och, ty mały tchórzku! - zaśmiał się Waluś. - Nie schodź sobie, jeśli nie chcesz! My dwaj pójdziemy, prawda, Maciusiu?

I posunął się ku schodom, widniejącym z ulicy, a Maciek, że to był chłopak odważny i śmiały, za nim.

- Kiedy tak - na wpół z płaczem zawołała Halszka - to i ja pójdę; nie opuszczę cię przecież, braciszku! Niech się dzieje wola Boska!

- I nie pożałujesz, Halszko, pełny fartuszek dukatów ci nasypię. A teraz - schodźmy do piwnic!

I poszli.

W lochach zwaliska

Schody były drewniane, połamane i zepsute, a niektórych stopni brakło już zupełnie, tak że trzeba było często skakać ze stopnia na stopień, pomijając otwierające się pomiędzy nimi luki. Dość uciążliwa była to droga, zwłaszcza iż zaraz niedaleko od wnijscia załamywały się schody i ciemność ogarnęła Walka, Maćka i Halszkę. Wprawdzie niewielkie światełko migotało w oddali; było to zapewne okienko piwniczne, wychodzące na Brzozową, bo tyły domów z Krzywego Koła na tę właśnie ulicę miały widok, ale światełko to było dalekie i niepewne, ile że okienko musiało być brudne i pajęczyną zasnutę.

Waluś szedł przodem, o kilka kroków przed rodzeństwem; dobrej był myśli i podśpiewywał sobie wesoło, nie przeczuwał biedaczek, co go spotka za chwilę. Tak idąc ostrożnie i pomału, zeszli nareszcie do lochu i znaleźli się w wielkiej, sklepionej piwnicy. Pod ścianami jej stały rozmaite rupiecie: stare okna, futryny, drzwi i różne nieużyteczne graty. Po prawej stronie piwnicy widać było, uchyloną nieco, żelazem okutą furtkę od dalszych zapewne lochów.

- Maćku, Halszko! - rzekł Waluś, a głos jego dziwnie ponuro rozbrzmiał w głębokościach podziemia. - Kiedyśmy tu już zeszli, to idźmyż i dalej, spenetrujmy całe zwaliska, a skarb znajdzie się na pewno.

- Walusiu, mój Walusiu! Proszę cię, chodźmy już na górę! - rzewliwie zawołała Halszka. - Co nam po skarbach! Wróćmy, ja się czegoś lękam okropnie.

- I ja bym radził wrócić - poważnie rzekł Maciek. - Dalszej drogi nie znamy; kto wie, co może być za tą furtką? Rodzice i nasi, i twoi niespokojni będą. Czemuż ich martwić?

- A ja jednak pójdę i wy pójdziecie ze mną! - krzyknął zapalczywie Waluś. - Co mi tam wszystkie bajdy o strachach! O! Raz, dwa, trzy! Już idę!

I powiedziawszy to pobiegł do furty zamczystej, szarpnął ją, otworzył - i nagle, jak piorunem rażony, runął na ziemię jak długi.

- Co to się stało?

Z otwartej czeluści drugiej piwnicy buchnęło zgnilizną i w zielonawym świetle, przypominającym blask świętojańskich robaczków, Maciek i Halszka ujrzeli okropnego potworka. Był to niby kogut, niby wąż. Głowę miał kogucią z ogromnym purpurowym grzebieniem w kształcie korony, szyję długą i cienką, węzową, kadłub pękaty, nastroszonymi czarnymi piórami pokryty, i nogi kosmate, wysokie, zakończone łapami o ostrych olbrzymich pazurach. Ale najstraszniejsze były oczy potwora: wyłupiaste, okrągłe, do sowych ślepiów podobne, jarzące się to czerwono, to żółto; oczy te, na szczęście, nie widziały Maćka i Halszki, utkwiała je bowiem poczwara w ciało leżącego na ziemi i nieżywego już, biednego Walusia.

- Bazyliszek! - szepnął drżącym głosem Maciek. - To bazyliszek, siostrzyczko; schowajmy się, schowajmy czym prędzej!

I po cichutku, trzymając się za ręce, dzieci na paluszkach posuwały się ku ścianie i wśliznęły się za wielkie drzwi o mur prastary oparte. W tym ukryciu, bezpiecznym na razie, Maciek począł szeptać siostrzyczce do uszka:

- To bazyliszek! Słyszałem o nim od tatuńcia. Sroga to stwora! Na kogo spojrzysz - wzrokiem zabije! Tak zabił Walusia. Stójmy tu cicho, Halszko, stójmy cichutko...

- Boże, mój Boże! - załkała Halszka. - Co to będzie? Co się z nami stanie? Po cośmy tu przyszli? Po cośmy tu przyszli? Ja chcę do domu!

- Uspokój się, siostrzyczko - szeptał Maciek - wrócimy do domu, jeśli Bóg pozwoli; ale teraz chodzi o to, żeby nas bazyliszek nie spostrzegł, bo jak zobaczy i spojrzysz na nas - wszystko przepadło: umrzemy!

- Maćkuuuu! Maaaćku! Halszko! Halusiu! - rozległo się nawoływanie z ulicy. - Maaaćku! Haaalszko! Gdzież wy jesteście? Obiad gotowy! Obiad gotowy!

Przerażone dzieci poznały głos Agaty, ale się odezwać nie śmiały. Bazyliszek odwrócił łeb grzebieniasty, jeszcze straszliwiej najeżył pióra i jaskrawymi ślepiami spojrzął w stronę schodów. Na schodach stanęła stara Agata, a za nią, w ulicy, widać było gromadkę mieszczanek i mieszczan.

- Tu zeszyły, tu zeszyły na pewno - ozwały się głosy na górze - musiały się zabłąkać w podziemiach; nie schodziła, Agato, bo was jeszcze jakie lichy zadusi!

Ale Agata, poczciwa stara służąca, już schodziła do lochu - i oto zaledwie zeszła na dół, zabrzmiał jej okrzyk, okropną trwożą wezbrany, i głucha, posępna cisza zaległa znowu piwnicę. To płomienisty wzrok bazyliszka uderzył w nieszczęsną i trupem ją na miejscu położył. Gromadka sprzed schodów pierzchnęła w Rynek i w przyległe uliczki, roznosząc wieść okropną na miasto. Skamieniałe z przerażenia rodzeństwo przytuliło się do wilgotnego muru, trzymając się konwulsyjnie za rączki, a bazyliszek rad ze zniszczenia, jakie uczynił, począł przechadzać się po lochu tam i z powrotem, tam i z powrotem. Wydostać się z piwnicy nie było sposobu!...

U czarownika

- Pani Ostrożyno! Pani Ostrożyno! Dzieci wam przepadły! Dzieci wam w lochach zginęły!

- Jezusie! Maryjo! Co takiego! Co wy mówicie, ludzie? Gdzie? Jak? Gadajcie!

- Ano, polazły do piwnic na Krzywym Kole, musi bies im główki ukręcił, niebożętom! - Chrystusie cudowny u Fary! Ratuj! Wspomagaj! Skądże wy wiecie to wszystko?

- Widzieli szewczyki z przeciwka, jak dzieci z Walkiem od Klepki schodziły w podziemia, a potem wasza Agata wołała je, wołała, aż zeszła do piwnic - krzyknęła okropnie - i już nie wyszła! Słyszeliśmy!

- Agatę ja posłałam, bo dzieci nie wracały. Boże wielkiego miłosierdzia, bądź miłościw mnie grzesznej! Co ja pocznę, nieszczęsna?!

W przedsienu uczynił się rumor i przedzierając się przez cizbę wpadł do alkierza mistrz Melchior. Błady był płatnerz i drżący, bo już dowiedział się był w kuźni o srogim ciosie, jaki go ugodził. A Maćka i Halszkę miłował ponad wszystko, ponad życie własne!

- Co robić, Melchiorze, co robić? - biadała Ostrożyna. - Ratujmyż nasze maleństwa kochane! Ślubuję Ci, Panie Jezu, srebrne serce złożone pod Twoje nóżki najświętsze, jeno dopomóż nam w tym strapieniu!

Z gromady wysunął się sędziwy rajca miejski, imię pan Ezechiel Strubicz, mąż mądry i stateczny, znany całej Warszawie z dobroci i z przywiązania do dziatwy staromiejskiej.

- Co robić? - powtórzył. - Ja wam poradzę, co robić: walcie, jak w dym, do czarownika na Piwną. Któż jak nie on lek znajdzie na waszą troskę skuteczny? On się zna na sprawach ziemskich i zaziemskich, boć to i doktor, i alchemista, i astrolog, i człek, co po uszy w księgach starych siedzi. Ba! Skrzydła ponoć zmajstrował i nocami na nich po powietrzu lata.

- Walcie do czarownika! Walcie do czarownika! - wrzasnęła gromada. - On pouczy, on dopomóż! Dobra rada! Przednia!

- Najprzedniejsza - przytaknął strapiony rodzic. - Bóg wam zapłać, Strubiczu! Chodź, żono, idziemy na Piwną!

- I ja z wami - imć pan Strubicz na to. - A nuż się jeszcze uda Maćka i Halszkę odszukać.

- Dajże to, Matko Boska Częstochowska - zapłakała Ostrożyna. - Niech się tak stanie!

Na Piwnej, na czwartym piętrze pod samym dachem wysokiego narożnego domu, mieszkał sławny i uczony doktor, dominus Hermenegildus Fabula, znany nawet na dworze króla jegomości. Nie był to, prawdę mówiąc, czarownik, tylko wielce znamienity lekarz i człek we wszystkich kunsztach i naukach wyzwolonych doświadczony. Jeno gmin warszawski, widząc jego prawie cudowne kuracje i obserwując z daleka tajemnicze praktyki, mienił go, w prostocie swojej, być czarnoksiężnikiem, z mocami nadprzyrodzonymi mającym ścisłą styczość. A że pan rajca Strubicz czarownikiem go nazywał, to jeno tak tylko, aby ludowi na poprzek nie stawać, który lubi rzeczy niezrozumiałe i rad ku cudowności się obraca, samą mądrość ludzką lekceważąc i zgoła postponując.

W obszernej komnacie o łukowym sklepieniu siedział za wielkim stołem, zawalonym księgami i pergaminami, człeczek maleńki, chuderlawy, wyschły, o licu pożółkłym, pomarszczonym jak pieczone jabłko; ale źrenice w tej twarzy, ogromne, czarne, jarzyły się jak pochodnie gorejące, a taką miały moc i potęgę te oczy, że gdyś w nie spojrział, zdawało ci się, iż na wielkoluda spozierasz, i mimowolnie budziły się w tobie lęk, podziw i uszanowanie dla tej niepozornej, a jednak imponującej postaci.

U sufitu komnaty wisiał wypchany krokodyl łokciowy, w kącie stała mumia egipska, na oknie w słojach rozlicznych pławiły się ropuchy, węże, padalce, robaki jakieś zamorskie. A wszędzie, gdzie spojrział, księgi, księgi i księgi. Gdy mistrz Ostroga z żoną i z imć panem rajcą Strubiczem weszli do doktora Fabuli, ów podniósł oczy od foliantu, w którym coś czytał z ciekawością i zadowoleniem ogromnym, bo aż się uśmiechał radośnie, ale, zobaczywszy wchodzących, wstał, obciągnął swoją czarną szatę, co mu się pofałdowała na ciele, i spytał:

- A czego to waćpaństwo życzyecie sobie ode mnie?

Tedy Ostrożyna z płaczem i narzekaniem wielkim opowiedziała całą sprawę, a gdy skończyła i chlapiąc błagać poczęła o pomoc i ratunek, dominus Hermenegildus Fabula tak rzecze:

- Wiem ci ja dobrze, co było przyczyną zguby waszmość państwa dziełek, bom właśnie w tej księdze o podobnych przypadkach traktat wertował. Oto, ani mniej, ani więcej, tylko stwór najniebezpieczniejszy i najszkodliwszy na ziemi, który się zwie: bazyliszek.

- Bazyliszek? - zakrzyknęli w popłochu Strubicz, Ostroga i Ostrożyna. - Bazyliszek! Tedy już nadaremne wszystkie trudy i starania nasze!

- Z trwogi waszej wnoszę, iż waćpaństwu wiadoma jest natura owego zwierza i to, iż on wzrokiem swoim wszelkie żyjące stworzenia zabija. Alić Bóg jest wielki i nadziei do ostatka tracić człekowi wierzącemu nie wolno. A choćby wreszcie i pomarły już dzieteczki wasze, toć trzeba je wydobyć z piwnicy, aby przecie pogrzeb chrześcijański mieć mogły; bazyliszka zasię ubić należy koniecznie, boć niejedna jeszcze ofiara od ślepiów jego zabójczych na śmierć pewną pójdzie, - ani chybi! Póki ta bestia przeklęta żywie, Warszawa spokojności nie zazna!

- Jakże to uczynić, mężu uczony? - zapytał Strubicz.

- Jakże to uczynić? Jakże to uczynić? - zawołają Ostroga i Ostrożyna.

- Jest sposób - odpowie Hermenegildus Fabula. - Jest taki sposób, jeno tak trudny i niebezpieczny, że nie wiem, azali się znajdzie kto w tym mieście, co by się ważył na takie przedsięwzięcie. Oto trzeba, aby do lochu zeszedł człowiek, całkowicie obwieszony zwierciadły. Gdy bazyliszek spojrzy w nie i siebie zobaczy, sam się własnym wzrokiem zabije, a tak uwolnilibyśmy od potwora i Warszawę umiłowaną, i całą przesławną Rzeczpospolitą.

- Sposób jest dobry i pewny, ani słowa! - wyrzeknie Strubicz. - Ale skąd wziąć takiego śmiałka, co zdrową głowę pod ewangelię położy?

- Tak, tak - zajęknie Ostrożyna. - Nie ma już takich ludzi na świecie!

Nagle do komnaty Fabuli dobiegł ponury głos farnego dzwonu, a w ślad za tym przejmującym dźwiękiem ogromny gwar tysięcznego tłumu. Imć pan Strubicz wychylił się przez okno.

- Mam! Mam! - zakrzyknął radośnie. - Mam takiego człowieka! Kumie! Kumo! Za mną!

- Bóg zapłać, uczony mężu! Bóg zapłać!

I już ich nie było w komnacie.

Skazaniec

Od Rynku w stronę Piekiełka zdążył ponury, choć jaskrawy orszak. Przodem szła straż miejska z halabardami, za nimi "bracia pokutnicy" w długich ciemnych opończach, z twarzami osłoniętymi rodzajem maski sukiennej, w której wycięto jedynie otwory na oczy; dalej dostojnie stąpił imć pan pisarz miejski ze zwojem pergaminu w ręku, za panem pisarzem asysta z urzędników sądowych złożona, wreszcie dwie główne osoby pochodzą: skazaniec, niemłody już; brodaty mężczyzna w nędznej odzieży, ze związanymi w tyle rękoma, i kat olbrzymi, rozrosły drągał, cały w czerwieni, z potężnym błyszczącym mieczem i z dwoma butlami, czyli pachołkami. Po bokach, z przodu i z tyłu orszaku cisnęło się mrowie nieprzeliczone warszawskiego pospólstwa, uliczników, urwisów i wszelkiej hałastry, ciekawej okropnego widowiska. Już pochód stanął na placu, Piekiełkiem zwanym, gdzie pośrodku na czarnym suknie widniał pień, miejsce stracenia; już pan pisarz miejski odczytał nosowym głosem wyrok brzmiący, iż Jan Ślązak, krawczyk wędrowny, oskarżony o zabójstwo swego towarzysza podróży, na gardle ma być ukaran i mieczem ścięty; już skazaniec klęknął przy pieńku i głowę na nim położył, a kat mieczem straszliwym błysnął pod słońce, gdy nagle... gdy nagle imć pan Ezechiel Strubicz z mistrzem Ostrogą przedarł się przez stłoczone tłumy gawiedzi i tubalnym basem zakrzyknął:

- Stójcie! Stójcie!

Kat miecz wzniesiony opuścił, skazaniec zadygotał całym ciałem, a pan pisarz miejski, zdjęte dopiero co okulary z powrotem na nos sążnisty założywszy, niechętnie spojrzął na rajcę, oczekując wyjaśnienia sprawy. A imć pan Strubicz rozpoczął przemowę:

- Po pierwsze: w imieniu szlachetnego burmistrza miasta Starej Warszawy rozkazuję wstrzymać egzekucję! Po drugie: natychmiast rozwiązać winowajcę! Po trzecie: zbliż się, Janie Ślázaku! Zapytuję ciebie, Janie Ślázaku, któryś jest na śmierć osądzony i nic cię od niej ocalić nie może, azali zgadzasz się zniżyć do lochu, gdzie przebywa bazyliszek, i zabić oną bestię zjadliwą? Jeżeli to uczynisz, wolny będziesz! To ci przez moje usta sam szlachetny burmistrz i cała wysoka rada miejska solennie obiecuje i przyrzeka.

Zdumiał się wielce imć pan pisarz miejski, zdumiało się pospólstwo, a skazaniec, wznosząc dziękczynne oczy ku niebiosom, odpowie:

- Zgadzam się, przezacny panie, zgadzam się tym łacniej, iż - Bóg mi świadkiem - nie winien jestem zarzucanej mi zbrodni i tak myślę, że łaska Pana Jezusowa będzie ze mną.

Tedy nie mieszkając wiele, powiedli Strubicz i Ostroga skazańca na Ratusz, skąd, obwieszono go zwierciadły, zaprowadzono na Krzywe Koło i kazano mu zniżyć do podziemi: Burmistrz, rajce, ławnicy i setki ludu czekały na ulicy, a przed wszystkimi, wpatrzni chciwie w otwór piwniczny, stali mistrz Ostroga, pani Ostrożyna i dobry rajca Strubicz. Upłynęła chwila - i oto w lochu rozległ się głos przeraźliwy; coś jakby chrypliwe pianie koguta, jakby świszczący syk węża, jakby śmiech diabelski, a takie to było okropne, że zgromadzonym aż ciarki przeleciały po grzbietach i włosy dębem na głowach stanęły.

- Zabity! Zabity! - zadźwięczał donośnie głos Jana Ślázaka.

- Zabity! - zahuczał tłum. - Bazyliszek zabity! - wichrem pomknęła radosna wieść na Rynek, na Świętojańską, na Piwną, na Brzozową, na oba Dunaje: Szeroki i Wąski, i na całą Starą Warszawę.

A na schodach piwnicznych ukazała się postać cała w lustrach, niosąca na ostro zakończonym drągu straszliwego potwora.

Porwał go kat z rąk dzielnego Ślázaka i na Piekiełku, na stosie ognistym, ku uciesze tysięcznego ludu, na popiół spalił. Stało się wszystko tak, jak przewidział mądry doktor Hermenegildus Fabula: bazyliszek spojrzął w zwierciadło i sam się wzrokiem swym jadowitym zatrul i zabił.

Ale pani Ostrożyna, mistrz Ostroga i rajca Strubicz, wzięwszy zapaloną pochodnię, pędem pobiegli do lochu.

- Maćku! Halszko! - wołała matka.
- Maćku! Halszko! - wołał ojciec. - Zaliście żywi? Ozwijcie się! Gdzie wy? Gdzie wy?
- My tu, matusiu! My tu, tatuńciu!

I z ukrycia swego zza wielkich drzwi, o mur prastary opartych, wybiegły dzieci i zdrowe, choć pobladłe jeszcze ze strachu, rzuciły się w objęcia rodziców. O, jakaż radość! O, jakież szczęście! Uściskom i pocałunkom końca nie było, aż imć pan rajca Strubicz, choć taki stary i mądry, płakał jak bóbr i od płaczu się zanosił.

Tak się zakończyła przygoda z bazyliszkiem. Przyplacili ją życiem nieposłuszny Waluś i stara, poczciwa Agata. Zwłoki ich, wydobyte z piwnicy, pochowano uroczyście, a rodzina Ostrogów nigdy o nich nie zapomniała. Co do mężnego Jana Ślązaka, to okazało się, iż on istotnie nie był winien zabójstwa swego kamrata; ten bowiem zjawił się niebawem w Warszawie i opowiedział, że zabłąkawszy się w boru, przebył w nim bodaj miesiąc z górą, aż go węglarze, drzewo w lesie wypalający, przypadkiem znaleźli i do Warszawy, na dobrą drogę, skierowali. Żaden bazyliszek już się w mieście nie pokazał.

Artur Oppman (OR-OT)

O szlachetnym Gryfie i pięknej Syrenie



Dziwna to jest historia, a wydarzyła się w owych dawnych czasach, kiedy Warszawa była zaledwie niewielkim grodem. Czerwone mury obronne zamykały wtedy w sobie rynek i kilka uliczek. Stateczni mieszczanie trudnili się rzemiosłem lub kupiectwem, a nad brzegiem Wisły, w chatach przytulonych do skarpy, niby w jaskółczych gniazdach, mieszkali rybacy i flisacy, którzy pływali na swoich zbożem i owocami ładownych galarach.

Żył też w wiślanych falach od pradawnych czasów stwór dziwny, zwany Gryfem. Głowę miał ludzką, piękną, ciało lwa, ogon zaś węzowy i ogromne nietoperzowe skrzydła. Rozumem obdarzony był nadludzkim, szlachetnością niezwykłą i męstwem przewyższał najdzielniejszych rycerzy. A do tego serce miał tkliwe, pełne współczucia dla każdej niedoli. Nikt nie wiedział, dlaczego wspaniała Gryf upodobał sobie tę szarą, cicho płynącą rzekę i miasto nad nią wzniesione. Jedno tylko było pewne, że czuwał nad nim i otaczał je swoją opieką. Strzegł go od ognia i powodzi, trzepotem swoich skrzydeł odganiał burzowe chmury, a jeśli wróg uderzał na miasto - raził go swym mieczem. W dni spokojne i pogodne wynurzał się z fal Wisły i układał na mieliznach. Nieraz widziano go na wieżach strażniczych lub na dachach kamieniczek, czasem przemykał się przez zieleń królewskich ogrodów. Nocą zaś, gdy świecił księżyc, przechadzał się po rynku, biegł wąskimi uliczkami lub odpoczywał na kamiennych schodkach. Dlatego też zacni ojcowie miasta Warszawy, czując jego przemożną opiekę, uwiecznili postać Gryfa na pieczęciach miejskich i wszystkie dokumenty, dla potwierdzenia ich ważności, pieczętowali ową pieczęcią, odcisniętą w laku lub wosku.

Aż wreszcie pewnego dnia Gryf przysiadł na flisackiej tratwie i popłynął hen, aż do Bałtyku. Dobrze mu się płynęło, a kiedy tratwa uderzyła o gdański brzeg niby o morski próg - Gryf spotkał wynurzającą się z morskich fal Syrenę. Była piękna, jasnowłosa, a łuski jej rybiego ogona połyskiwały srebrnie. Śpiewała przy tym niezwykle, tak jak tylko potrafią Syreny. Na widok Gryfa przerwała swój śpiew i szepnęła:

- Jestem córką króla Bałtyku. A ty kim jesteś?

- Ja jestem Gryf - odrzekł.

- Gryf? - powtórzyła z zachwytem Syrena. - O, zostań tu ze mną na zawsze. Będę ci śpiewać swoje ulubione pieśni...

- Nie mogę tu zostać, chociaż jesteś najpiękniejszą Syreną na świecie. Muszę wracać do małego, cichego miasta nad Wisłą. Nie mogę go porzucić. Nie mogę pozostawić bez opieki.

- To zabierz mnie z sobą - powiedziała wtedy Syrena. - Chcę być razem z tobą, gdyż nie ma wspanialszego nad ciebie rycerza.

Powrócił więc Gryf do Warszawy razem z jasnowłosą Syreną. I zamieszkali na łasze wiślanej, wśród szumiących wierzb. Ale któregoś dnia trębacz na miejskiej wieży zatrąbił na trwogę. Rozległ się poprzez całe miasto okrzyk:

- Do broni! Szwedzi otaczają miasto.

Usłyszał to Gryf, poderwał się na swoich skrzydłach i rzucił się do obrony ukochanego miasta. Jego miecz raził wrogów jak piorun, uciekali przed nim w trwodze. Lecz znalazł się wśród nich jeden, który zdradą i podstępem zbliżył się do Gryfa i śmiertelnie ranił go w samo serce. Po raz ostatni i ze strasliwym wysiłkiem poruszył skrzydłami ranny Gryf i opuścił się na wiślaną łacę, gdzie czekała na niego Syrena. Ale to już był koniec jego życia. Wtedy Syrena, krzyknawszy rozpaczliwie, schwyciła jego miecz i jak burza rzuciła się w bój. Gryfowy oręż czynił ogromne spustoszenie. Przerażeni Szwedzi odstąpili od murów.

Wielka była w mieście radość z tego zwycięstwa. Ludzie wiwatowali i palili ogniska, grała muzyka. Tylko na wiślanej łasze, obok Gryfa z przebitym sercem, płakała Syrena. Ale że pokochała to Gryfowe miasto, więc już pozostała w nim na zawsze. I tak jak Gryf ongiś, tak teraz ona zaczęła złotym mieczem bronić Warszawy w niebezpieczeństwie. Zaś panowie rajcowie miejscy uznając to, zaczęli z czasem zamieszczać na pieczęciach jej wizerunek zamiast obrazu Gryfa: I tak już zostało po dzień dzisiejszy.

Maria Krüger

Boruta



W ciemnym lochu łączyckiego zamku, przy rozpalonej drzazdze smolnej siedział jakiś wąsaty szlachcic i pił z beczki. Miał na sobie karmazynowy żupan, pas złotolity, na rzemyku szabla; czapka rogatywka z siwym barankiem nie przylegała mu należycie, jakby coś jej zawadzało: jakoż, kiedy chciał się poskrobać po głowie, ujrzał przy ręku - pięć ogromnych pazurów, a za uchyleniem czapki - małe czarne rogi. Był to sławny diabeł pan Boruta, co pilnował skarbów zamkowych, pozostałych w ukryciu od udzielnych jeszcze książąt Mazowieckich. Twarz miał wielką, rumianą, wąs - potężny, obwisły spadał mu wraz z brodą na piersi; wzrostu wielkiego, szeroki w plecach, oczu iskrzących. Zachmurzony, siedział na próżnym antale po małmazji, ale kiedy miał się uśmiechać, wtedy wąsy pokręcał w górę i aż za duże uszy sterczące zakładał.

- Już dosyć wysiedziałem się w tym lochu ciemnym i wilgotnym, nie ma i co pić dalej, ostatnią beczkę węgrzyna za chwilę dopiję! - tak mówił do siebie Boruta. - Myślę, że nikt się nie poważy zajrzeć do tych skarbów, a jakoś tu i tęskno, i nudno. Sto lat tak siedzieć na jednym miejscu, a na jednym miejscu i kamień obrasta; zawsze ciemno, chłodno, ponuro, a tam na świecie słońko świeci, ptaki i ludzie wesoło śpiewają; kapele brzmią, uczują radzi. Trudno wytrzymać dłużej; hulaj dusza bez kontusza! Zamknę loch i przejdę się po świecie; trzeba jeno ubioru co poprawić, aby dobrze przyjęto gościa.

U szlachcica Kaliny o milę od zamku łączyckiego brzmi kapela, wydaje córkę najstarszą za mąż. Ćma krewniaków nappełniła całe domostwo, beczki z miodem, piwem i wódką stały w sieni, na gankach, w izbach, bo pan Kalina, zamożny szlachcic, dziedzic całej pół wioski; dobył woru z zapleśniałymi talarami, nie żałując wydatku na tak wielką dla siebie uroczystość. Już było po ślubie i po oczepinach, zaczęła kapela brzmieć chmiela*1, kiedy we drzwiach ukazał się nowy gość niespodziewany. Ubrany był w karmazynowy żupan, pas złotolity, czapka na głowie rogatywka z siwym barankiem, na rzemyku szabla, rękawice czarne, buty z wywijaną cholewą i

ogromnymi ostrogami. Jak stanął we drzwiach, całe zwałił, kiwnął głową nie zdejmując czapki i szedł dalej, i na ławie usiadł. Kapela grać przestała, pieśń chmielowa ochotnikom na ustach skonała, niewiasty przerażone tuliły się do kąta. Gospodarz ujrzał na wszystkich twarzach pomieszanie, zbliżył się do nieznajomego i rzekł:

- Panie bracie, zawsze możecie jeść chleb u mnie z solą, byle z dobrą wolą, ale na ten raz nie prosiłem waszeci, więc proszę! - I wskazał na drzwi.

Nieznajomy pokręcił głową na znak, że nie wyjdzie, i wybąknął od niechcenia:

- Pić.

Pan Kalina kazał podać gąsior z miodem i czarę, ale nieznajomy czarę rzucił na ziemię, przytknął gąsior i wypił do kropli. Szlachta łeczycka klaszcze z radości, wołając:

- To nasz brat! Nasz brat!

Nieznajomy uśmiechnął się wesoło, pokręcił wąsy w górę i aż za uszy założył, a beczkę miodu widząc, porwał, postawił ją na stole, czop wyrzucił, rozdziawił paszczę, łykając strumień napoju z szumem tryskający małym otworem. Wszyscy z podziwieniem nieznajomego otoczyli wieńcem, niewiasty i panny postawały na stole i ławkach, patrząc na pijaka; nieznajomy łykał, sapiąc tylko nosem, wkrótce uniósł beczki, potem dobrze przechylił, aż w końcu nie ma miodu, wszystko wytrąbił gracko! Wtedy połową wása otarłszy z piany usta i brodę krzyknął:

- Kapela! Chmiela! - I porwał za rękę pannę młodą.

Wrzasła przestraszona, a gdy ją ciągnie nieznajomy nie zważając na jej przestraszony, staje w obronie pan młody i wyzywa zuchwalca na szable. Nieznajomy ociągał się powoli, ale gdy mu nowożeniec wyciął silny policzek, że za ledwie przytrzymał czapki, a od drugich na karku poczuł silne razy, zawołał:

- Po jednym, po jednym! - I wyszedł na podwórze.

Zawyły psy, jakby wilka poczuły, szlachta wybiegła za nim, żeby nie uciekł; zapalono łuczywa, wyniesiono świece, zajaśniał podwórzec jak w dnia południe. Nieznajomy dobył szabli, spojrzawszy iskrami wzrokiem, gdy pan młody krzyż na ziemi swoim kordem znaczył. Aż się skry sypnęły za złożeniem szabli, nieznajomy dobrze się bronił, ale pan młody zręcznie; a widząc, że mu nie podoła, przerzucił z prawej kord w lewą rękę, czym odurzony przeciwnik nie dostrzegł cięcia i oberwał potężnie po karku. Obciął mu dwa palce, spadła rękawica, nieznajomy wypuścił z zakrwawionej dłoni szablę, aż tu kur pieje. Stęknął ranny, podskoczył i znikł z koła otaczającej go szlachty, zostawiając na ziemi pas złotolity, rękawicę zbroszoną i szablę. Gdzie stał, zakipiało trochę smoły; a gryzący zapach siarki uderzył we wszystkie nosy. Pan Kalina podnosi pas, porywa rękawicę, trząsa: wypadają dwa wielkie pazury z kawałkiem palców. Pan młody patrzy na szablę; to pogańska, nie masz znaku krzyża, tylko księżyc turecki. I wołają wszyscy:

- Boruta! Boruta!

W ciemnym lochu łeczyńskiego zamku przy rozpalonej drzazdze smolnej siedzi wąsaty szlachcic w karmazynowym żupanie, bez pasa i szabli, czapka rogatywka, ale z pociętym sukniem, siwy, poszarpany baranek. Leżał na dwóch próżnych beczkach, lizał rękę okaleczoną z trzema potężnymi pazurami, bo dwóch brakło, i tak prawił do siebie:

- Nie wyjdę więcej na świat; rano dobrze było, kiedym się wygrzał na słońcu, ale wieczór cóż zyskałem z tą przekłętą szlachcą, co klaskała, jakem pił, a potem wyzywa na rękę? Myślałem, że im przecież podołam, ale oni lepiej szablą robią jak diabeł. Zgubiłem pas i szablę, dwa pazury, pocięli mi czapkę, skaleczyli rękę, a co najgorsza, poznali, że Borutę obciąli. I kręcił ze złości wąsy, dał brodę, a lizał rękę ranioną.

Odtąd już więcej z lochu nie wyszedł łeczycki diabeł.

Kazimierz Władysław Wójcicki

Przerwany hejnał



Jarek tak się wiercił na posłaniu, że w końcu zbudził siostrę. Zwykle wstawał wczesnym rankiem i śpieszył na najwyższą w mieście wieżę kościoła Mariackiego, zwaną Hejnalnicą: Grał stamtąd hejnał, wzywał nim do opuszczania mostów zwodzonych, otwierania bram miejskich, budził głosem trąbki wszystkich mieszkańców Krakowa.

- Przecież nie świta... - zdziwiła się Maryjka.

- Jakoś nie mogę spać - mruknął Jarek.

- Ja też. Powiedz, to prawda, co ludzie wczoraj na Rynku mówili że Tatarzy idą na Kraków?

- Nie słyszałem - skłamał.

Chciał tym kłamstwem uspokoić Maryjkę.

- Sandomierz zdobyli - znów zaczęła.

Przerwał jej szybko :

- Sandomierz daleko, śpij.

Sam jednak nie spał. Wstał z posłania, narzucił na siebie kozuch barani.

- Napiję się wody w sieni, zaraz wrócę - powiedział.

Woda chłodna, orzeźwiająca sprawiła, że resztki snu odeszły od Jarka. Otworzył drzwi na ulicę, wyjrzał: cisza, spokój, tylko... Zaczął nasłuchiwać - jakiś odgłos szedł gdzieś z daleka, dziwny odgłos, którego nigdy przedtem nie słyszał: niby szum, niby dudnienie tysięcznych kroków... ludzkich czy końskich - nie dawało się odróżnić.

- Tatarzy! - krzyknął Jarek i runął w pustą ulicę. - Ludzie! Za broń chwytać! Tatarzy!

- Czego wrzeszczysz? - dwóch strażników miejskich, którzy zdrzemnęli się gdzieś pod murem, zmęczeni nocnym czuwaniem, wpadło na Jarka.

- Zbudzić trzeba... Tatarzy! - bełkotał chłopiec, krztusząc się własnym oddechem.

- Tatarzy! - przerazili się strażnicy. Nasłuchiwali przez chwilę.

- Uciekać, póki czas! A i ty zmykaj, jeśli ci życie miłe!

- Kiedy nie wiem...

- Na co czekasz? Każda chwila droga - krzyknęli mu jeszcze i zniknęli za rogiem ulicy.

Biegł coraz szybciej. W niedługi czas potem w całym mieście słyhać było trzask gwałtownie otwieranych bram i nawoływania:

- Co to się dzieje? - Nie świt jeszcze przecież, a trąbka gra z wieży...
- Co też ten strażnik robi, żeby ludzi przed czasem ze snu zrywać?
- A może coś się stało?

Ktoś wreszcie zawołał:

- Toż nie słyszycie, co się dzieje? Tatarzy pod miastem!

Wśród ogólnego popłochu kobiety z dziećmi, zawodząc głośno, chroniły się niewielkimi jeszcze grupami na Wawelskie Wzgórze, opasane potężnym wałem z drzewa, kamieni i ziemi. Kto mógł, śpieszył do kościoła przy Grodzkiej ulicy: mury miał grube, był niczym twierdza obronna. Mężczyźni biegli na miejskie wały, gotując się do obrony miasta. A już płonące żagwie, ciskane przez wroga, zaczęły padać na domy, wzniesając pożary. W bramy uderzały nieprzyjacielskie tarany, a strzały, puszczone z tysięcznych luków, pruły powietrze.

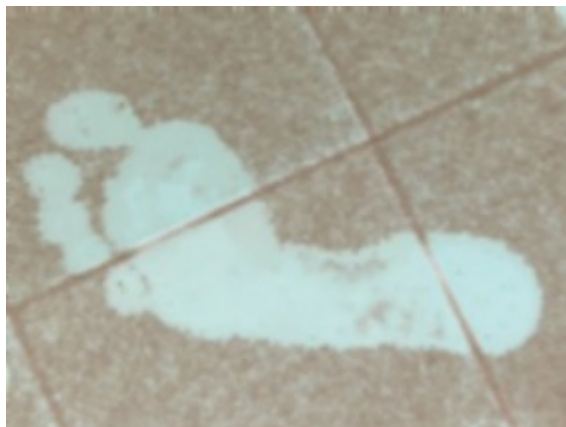
Nie przerywając grania, Jarek wychylił się przez okienko wieży. Niebo zaczynało się rozjaśniać - nie wiadomo: od łuny czy od wschodzącego słońca. Strzały przelatywały coraz gęściej, powietrze wokół Jarka zdawało się być pełne jęklivego pobrzęku. Grał swój hejnał, tym razem na alarm, na cztery strony świata, żeby ani jeden człowiek nie został zaskoczony napadem - na północ, południe, na wschód...

I wtedy właśnie posłyszał świst tatarskiej strzały tuż przy uchu. Dźwięk trąbki urwał się jakąś chrapliwą nutą. Ucichł...

I już ten hejnał pozostał taki nie dokończony - z melodią urywającą się w pół taktu, taką, jaką słyszycie dzisiaj.

Mira Jaworczakowa

Stopka królowej Jadwigi



W Krakowie budują świątynię. Królowa Jadwiga wielkie dała skarby, aby piękny kościół wystawić Bogu w stolicy. Sama często przychodzi spojrzeć na robotę dzielnych murarzy. Słońko jasno świeci, robota idzie żwawo. Jeden z robotników podśpiewuje, inny coś wesołego opowiada. Snadź im dobrze na sercu. Ale nie wszyscy tak są radośni. Oto jeden z nich, choć pracuje pilnie, od rana słówka nie rzekł, smutny, nie słuca wesołych rozmów, często wzdycha, a nawet łzę ukradkiem ociera. Nikt tego nie widzi.

Wtem robotnik, stojący wysoko na rusztowaniu, zawołał:

- Królowa, pani Jadwiga idzie!

Stuknęły różnej młotki, zadzwoniły kielnie, rozjaśniły się twarze murarzy.

- Królowa, pani nasza idzie. Dalej, chłopcy, do roboty! - wołali wesoło.

Niebawem ukazała się Jadwiga królowa. Witała uśmiechem łaskawym pracowników, oglądała roboty. Dojrzała smutnego człowieka; nachylony ociosywał pilnie kamień, nie zważał, co się wkoło dzieje. Podeszła doń królowa Jadwiga.

- Co wam dolega, przyjacielu? - zapytała łagodnie. - Czy was kto skrzywdził? Czy choroba dolega? Bo bladzi i wynędzniali jesteście.

Murarz otarł szybko łzy płynące z oczu.

- Nikt mnie nie skrzywdził, Miłościwa Pani, i zdrow jestem. Żona moja ciężko zachorowała, moja pomoc i opiekunka dziełek naszych leży w niemocy... Jeszczem nie zarobił tyle, by jej lekarstwo kupić, by jej ulżyć.

I łzy ciężkie spływały po strapionej twarzy murarza.

Królowa postawiła nogę na leżącym obok kamieniu, odjęła piękną, złotą klamrę od swego sandała.

- Weźmij to - rzekła - idź zaraz, kup, co potrzeba chorej i dziećkom twoim. Nie smuć się. Bóg cię pocieszy.

I poszła królowa Jadwiga na Zamek, a robotnik pobiegł do domu uradowany wielce. Gdy wrócił do pracy, był wesół jak inni. Chwycił swój młot, przystąpił do kamienia, by kończyć robotę.

Patrzy!...

Oto na kamieniu stopa ludzka odcisnięta jak w glinie! Stopa nieduża.

Woła innych - patrzą i dziwią się, skąd ten znak. Kto go zrobił w twardej skale...

- To stopka królowej Jadwigi! - zawołali. - Ona na tym kamieniu nogę wsparła, odpinając klamrę, by pocieszyć ubogiego, by pomóc chorej.

I wzięli kamień, wmurowali w ścianę świątyni. I mówili między sobą

- Tak, tak - kamienie miękna, gdy ich dotknie nasza Królowa (...)

Stefania M. Posadzowa

Mały pierścionek



Hej, hej, było to weselisko jak w bajce.

Był książę piękny i młody i była królowna prześliczna.

Książę Bolko był synem księcia Leszka Białego i księżnej Grzymisławy. Królowna zwała się Kinga, a była córką króla węgierskiego, Beli IV. Królowna mieszkała za górami, za lasami, nad modrym Dunajem w krainie pięknej i bogatej. Rodziło się tam zboże i dojrzewały słodkie winogrona, z których robiono wino słynne na całym świecie. Zaś w swej głębi ziemia węgierska kryła złoto, srebro i cenną sól kamienną, bielszą od warzonej, która dodaje smaku każdej potrawie. W zimowy, mroźny wieczór, kiedy na świecie wszystko pokrywał skrzący się w księżycowym blasku śnieg, na sądeckim zamku, w rozległej komnacie, na kominku wesoło trzaskał ogień, rozsypując wokół drobne iskierki.

Przed ogniem, wpatrując się w jego czerwone płomyki, siedział na niskiej, dębowej ławie, przykrytej niedźwiedzią skórą, książę Bolko. Opoдал, na wygodnych krzesłach z rzeźbionymi oparciami, siedziały dwie dostojne damy. Miały długie, powłóczyście suknie, a na ich głowach nakrytych miękkimi, białymi welonami, które spadały im na ramiona i otaczały twarze jakby ramką, połyskiwały cienkie, rzeźbione ze złota obręcze, zdobione skromnie, a przedziwnie pięknie nielicznymi perłami i szarfami.

Obręcze owe, wykonane przez znakomitych mistrzów złotniczych, były znakiem godności książęcej obu dam. Równie piękne pierścienie zdobiły ich dłonie, zajęte godną pracą. Bowiem jedna z nich snuła z namotanej na wrzecionie wełny cienką nić, podczas gdy druga zajęta była misternym haftem. Obie damy milczały, zajęte swymi czynnościami, aż wreszcie pierwsza odezwała się czarnooka księżna Salomea, siostra księcia Bolka. Przybyła tutaj w odwiedziny do swej matki - księżnej Grzymisławy. Przybyła, aby mówić o królownie węgierskiej. O jej urodzie, dobroci i mądrości.

Młody książę słuchał ze spuszczonej powiekami. Jego nieśmiałość nie dozwalała mu na zadawanie pytań. Za to księżna Grzymisława, spojrzawszy na córkę, skinęła głową i szepnęła:

- A zatem sądzisz, moja droga Salomeo, iż należałoby wysłać możnych i znających dworski obyczaj rycerzy na dwór węgierski aby prosili o rękę królowny?

Twarz księżnej Salomei rozjaśniła się uśmiechem.

- Ależ tak! Jakże będę szczęśliwa, gdy skojarzy się to małżeństwo!

Tak więc wczesną wiosną w roku 1239, gdy tylko drogi na tyle obeschły, że można było je przebyć, udali się jako dziewosłęby polskiego księcia do zatatrzańskiej księżniczki dwaj możni panowie: kasztelan Klimunt z Klimuntowa i Janusz wojewoda krakowski. Przybyli na dwór węgierski z rycerskim orszakiem, bo poselstwo ich było godne i ważne. Ale że już przedtem na węgierski dwór dotarły wieści o zaletach młodego księcia, o jego szlachetności, wykształceniu i

pięknych obyczajach i że brano także pod uwagę, że pochodził ze znakomitego rodu Piastów - król węgierski chętnie zgodził się, aby jego młodsza córka poślubiła księcia Bolka.

Dano również obietnicę, że jeszcze tego samego roku, jesienią, królowna przybędzie do Polski. Wracali więc - kasztelan Klimunt z Klimuntowa i Janusz, wojewoda krakowski, ze szczęśliwą nowiną, a na węgierskim dworze szykowano wyprawę dla królewskiej córki. Nie była to zwykła wyprawa. Bo oprócz ogromnej podówczas sumy 40 tysięcy grzywien srebrnych wkrótce potem przez górskie przełęcze ruszyły do Krakowa wozy naładowane wszelkimi wspaniałościami. Wieziono skrzynie z sukniami atlasowymi i aksamitnymi, haftowanymi złotem i perłami. Wieziono kobierce i zasłony do zawieszenia na ścianach, wieziono niezliczone misy i dzbanki srebrne, a także nie brakowało wśród nich i złotych. Król Bela IV bardzo hojnie wyposażył ukochaną córkę. Nie żałując niczego ze swoich bogactw zapytywał tylko, co by chciała jeszcze ze sobą zabrać do nowej ojczyzny, co chciałaby jej wnieść w posagu. Kinga, dziękując królewskiemu ojcu za dobroć, już tylko ze śmiechem kręciła głową, że chyba już nic więcej nie mogłaby dostać, że przecież już dość ją obdarował.

Ale któregoś dnia jedna z dam polskich, które przybyły na dwór naddunajski, aby towarzyszyć królownie w jej podróży do Polski, podczas posiłku zwróciła uwagę na niezwykłą białość soli, którą doprawiano potrawy podane na stół, na jej niezwykłą miękkość. I zapytana przez królownę rzekła, że w Polsce nie tak ta niezbędną przyprawę wygląda. Jest ciemna, w grubych ziarnach. Dodała też, żartem to mówiąc, że będąc przyzwyczajoną do tak białej soli, powinna królowna zabrać jej ze sobą co najmniej ze dwa wozy dobrze ładowne. Kinga jednak nie uśmiechnęła się na ten żart, tylko posmutniała.

- Jakże to? - spytała. - Więc ciemną solą ludzie u was przygotowują jadło?

Dlatego też pewnie, kiedy w parę dni później jej ojciec wraz z gośćmi z Polski wybierał się oglądać nowe kopalnie soli, w których akurat rozpoczęli pracę węgierscy górnicy - Kinga przybiegła do niego z prośbą, aby i ją zabrał na tę wyprawę.

- A cóż cię obchodzą kopalnie soli? - pytał ojciec, kręcąc niedowierzająco głową. - Chyba że odjeżdżając z rodzinnej ziemi chcesz ją jeszcze raz obejrzeć?

- Obejrzeć? - uśmiechnęła się Kinga. - Pewnie że chciałabym obejrzeć. Ale jeszcze chciałabym cię, ojczyźnie, i o coś prosić...

Że jednak właśnie w tej chwili, przyprowadzono wierzchowce, więc król nie dowiedział się, jaka to miała być prośba. Przypomniawszy sobie o tym dopiero wtedy, kiedy stali nad brzegiem szybu Marmoruszkiej kopalni.

- Więc o cóż chciałaś mnie prosić, Kingo? - przypomniał sobie król. - O kopalnię soli. O tę kopalnię - zatoczyła łuk ręką ponad ziemią podziurawioną szymbami.

- Kopalnię soli? - w głosie króla było tyle zdumienia, że królowna roześmiała się.

- Przecież mi nie odmówisz, ojczyźnie - rzekła i dodała żartobliwie: - Chciałabym ją zabrać w moim wianie do Polski. Chciałabym - powiedziała już poważnie - obdarować ten naród, który będzie moim narodem, czymś, co im da pożytek. Bo cóż jest warte jadło bez soli. A jeśli ma ona tam wysoką cenę, to biedacy nie mogą jej kupować. Więc zabiorę sól.

I znów się roześmiała, bo przecież była zaledwie kilkunastoletnią dziewczuszką, która do niedawna jeszcze łątkami się bawiła, po czym zdjęła z palca swój złoty, paniński pierścionek z czerwonym jak węgierskie wino kamykiem i rzuciła go wedle zwyczaju do kopalni, na znak, że obejmuje ją w posiadanie.

- Skoroś, córo moja, już tę kopalnię wzięła w ten sposób w posiadanie - rzekł teraz dobrotliwie król - przeto jest twoją własnością. Bodaj nawet i całą możesz ją ze sobą zabrać.

- Pewnie, że całą nie zabiorę, choćbym z duszy i serca tego chciała, ale worów naładowanych naszą białą solą zabiorę, ile będzie możliwe - postanowiła królowna.

I w ten sposób za wozami ze wszystkimi wspaniałościami, za wozami naładowanymi wszelkim bogactwem, przez karpaccie przełęcze pojechały także i wozy z solą. A kiedy już wszystkie wozy na miejsce przybyły, późną jesienią roku pańskiego 1239, przybyła do Krakowa i sama Kinga.

I wtedy było, jak już się rzekło, weselisko jak w bajce. Gody weselne trwały aż dwanaście dni, a ludzie napodziwiać się nie mogli urody panny młodej. Byli tacy, którzy powiadali, że tak właśnie na pewno wyglądają anioły w niebie, i nikt im nie przeczył. Bo jakże było przeczyć, kiedy smukła jak topola, odziana w błękitną, naszytą perłami i srebrem długą suknię, ciemnowłosa i niebieskooka, uśmiechała się do wszystkich ufnie i dobrotliwie. A potem, kiedy już czas wesela minął, kiedy przyszły straszne dni tatarskich najazdów, a ona krążyła między najbiedniejszymi, troszcząc się o nich, przynosząc im pomoc, leki i ratunek - pokochali ją jak swoją. Minęła wreszcie straszliwa klęska, jaką były tatarskie najazdy kiedy płonęły chaty, a ludzie ginęli od tatarskich strzał albo byli zabierani w jasyr.

Kraj powoli wracał do życia.

Ludzie zaczęli budować nowe chaty, znów uprawiana rola zaczynała rodzić. Księżna Kinga z niewielkim orszakiem, konno, odwiedzała ziemie nie opodal Krakowa, gotowa nieść pomoc, gotowa jak zawsze dać ratunek. Bodaj własny płaszcz z pleców szybko zdjęć i biedaka nim otulić. I tak się właśnie stało, że któregoś dnia przybyła do Bochni. I tak się też złożyło, że właśnie w tym samym czasie górnicy dokopali się tam po raz pierwszy do twardych pokładów białej soli kamiennej.

- Więc jest taka sama jak ta z Marmoruszu! - ucieszyła się księżna.

- Ano chyba taka sama - rzekli panowie z orszaku oglądając pierwsze wydobyte bryły - ani chybi taka sama.

- Chcieli jeszcze dalej o tej soli rozprawiać, bo przecież ważne to było niezmiernie odkrycie, kiedy w tejże chwili z głębi szybu wynurzył się górnik z jeszcze jedną bryłą. Trzymał ją w ręce połyskującą jak odłamek lodu lub jak drogi kryształ górski.

- Rozbijcie ją, abyśmy jej smak lepiej poczuć mogli! - zawołał wojewoda krakowski.

Kinga chciała powiedzieć, że szkoda rozbijać, ale już było za późno. Górnik jednym uderzeniem młota roztrzaskał bryłę na drobne kawałki. I wtedy wszyscy dostrzegli, że wśród tych drobnych odłamków, które zamierzali wziąć do ręki, aby spróbować smaku soli, leżał mały, złoty panieński pierścionek z czerwonym kamykiem.

- Przecież to mój pierścionek! - zawołała księżna.

I zarumieniła się ze wzruszenia, bo przypomniała sobie, że przecież rzuciła go do kopalni tam, w Marmoruszu, na węgierskiej ziemi. Stała więc z tym pierścionkiem w dłoni, milcząca. A obok niej też stali w milczeniu zastanawiając się nad dziwnością tego zdarzenia ci panowie i rycerze z jej orszaku, którzy wówczas, przed laty, obecni byli przy tym kiedy wrzucała go do szybu w dawnej swojej ojczyźnie.

Taka to jest historia, dziwna i niezwykła, o Kindze, małżonce księcia Bolesława zwanego Wstydlwym, i kopalni soli w Bochni.

Zdarzyła się bardzo dawno temu, więc dlatego prawda pomieszała się w niej z legendą.

Maria Krüger

Głowy wawelskie



Wydarzyło się więcej niż czterysta lat temu, że któregoś dnia na Rynku Krakowskim rozległ się wśród kramów krzyk ogromny: "Łapcie złodzieja! A ledwie okrzyk ten się rozległ, zebrała się zaraz cała gromada gapiów, radych, że widowisko się nadarza.

Zaś pasamonik, mistrz Błażej, wołał:

- Najpiękniejszy pas złotolity z kramu mi porwał! Ratunku!

Wiadomo było, że mistrz Błażej jest najznakomitszym pasamonikiem w całym Krakowie, to znaczy takim, co przepiękne pasy, złotymi i srebrnymi nićmi przetykane misternie utkać potrafi, i że niechybnie pas, który, złodziej porwał, musiał być nie byle jakiej wartości.

- Łapcie złodzieja! - powtarzał tymczasem Błażej i całą siłą swych potężnych ramion, bo wielkiej był tuszy, rozgarniał tłum, aby rzucić się w pogoń za winowajcą.

Rozstąpili się więc ludzie na dwie strony i wówczas to ujrzeli leżący na bruku u stóp niejakiej Ofki, ubogiej wdowy, ów pas złotolity.

- Ona - że mi go skradła! - zakrzyknął pasamonik i szarpiąc biedną Ofkę, która zapewniała go o swojej niewinności, wydał ją pachołkom miejskim, aby ją w lochach zamknęli.

I jeszcze wołał, że sprawiedliwej a srogiej kary dla winowajczyni będzie szukał przed sądem królewskim na zamku. Wiele jest pięknych i bogatych sal na zamku Wawelskim, przestrzennych i niezwykle zdobionych. A jedną z najpiękniejszych jest sala zwana Poselską i z tego to szczególnie jest znana, że na jej stropie, w drewnianych obramieniach, widnieją przedziwne rzeźbione ludzkie głowy. Taką zaś ogromną sztuką są przez żyjącego przed wiekami artystę

odtworzone, że zdają się być żywe. W tej to sali przed czterema wiekami odbywały się sądy, podczas których sam król, wówczas panujący Zygmunt August, zasiadał za stołem sędziowskim.

I przed tym królewskim sądem stanęła wdowa Ofka.

- Jakże to było? - pytali król i wraz z nim zasiadający sędziowie.

- Pod jej nogami pas mój leżał, bo widać zalękniona upuściła go na ziemię! - wołał pasamonik Błażej. - Ludzie godni poświadczą, że widzieli pas u jej nóg leżący.

Na te słowa wdowa Ofka odpowiedziała rzewnym płaczem:

- Niewinnam! Na głowy moich dzieci nieletnich przysięgam, że niewinna i że nigdy moich rąk kradzieżą nie splamiła! Nie wzięłam Błażejowego pasa! Być może złodziej, uciekając, pod moje nogi go rzucił.

Ale sędziowie i król nie uwierzyli tym zakłębom i wydali srogi wyrok: że winna kradzieży złotolitego pasa wdowa Ofka ma być przykładnie wychłostana.

- Przysięgam na dzieci moje, że niewinna! - powtórzyła jeszcze raz z rozpaczą Ofka.

I patrzyła błagalnie na króla i sędziów czekając zmiłowania.

Nie dojrzała jednak w ich oczach miłosierdzia. Więc żalść ją ogarnęła tak ogromna wobec tej niesprawiedliwości, że zawołała:

- Jeśli nawet przed królewskim majestatem sprawiedliwości znaleźć nie mogę, to niech o mej niewinności zaświadczą te głowy na sklepieniu rzeźbione i niech one wyrok wydadzą! A będzie na pewno litościwszy i sprawiedliwszy od waszego!

Cisza ogromna zaległa w tej chwili salę zamkową, bowiem wielkie wszystkim się wydało zuchwalstwo wdowy Ofki, gdy naraz rozległ się głos spod sklepienia:

- Rex Auguste, iudica iuste*1!

Spojrzeli wszyscy w górę i ujrzeli ze zdumieniem otwarte i poruszające się jeszcze wargi jednej z rzeźbionych głów. Przyjęli wtedy z pokorą to niezwykle świadectwo król i sędziowie i nie tylko uwolnili Ofkę, ale jeszcze z królewskiej szkatuły otrzymała jako odszkodowanie za krzywdzące posądzenie sakiewkę pełną srebrnych monet.

* * *

Nie jest to zupełnie pewne, która z głów rzeźbionych odezwała się wtedy w obronie skrzywdzonej kobiety. To jest jednak pewne, iż ręka artysty, który je rzeźbił, tchnęła w nie tyle życia, że każda z nich zda się rozumieć ludzkie sprawy. I stąd być może powstała ta legenda.

Maria Krüger

`pp 1 Czytaj: Reks Auguste, iudica iuste (łac.) - Królu Auguście, sądz sprawiedliwie.

Pasterz tysiąca zajęcy



Było to w dawnych, bardzo dawnych czasach.

Było to wtedy, gdy jeszcze na Polskę napadali Tatarzy.

Ze wschodnich stepów wynurzała się ta dzicz i szła jak powódź na ziemię naszą. Palila wsie i miasta; rabowała, co się dało; starych i dzieci wybijała, młodych uprowadzała w jasyr, w niewolę. Król z niewoli wykupywał rycerzy, bogate mieszczaństwo wykupywało swych krewnych, a chłop w niewoli tatarskiej tkwił aż do śmierci, do końca życia na Tatarzyna pracował. Chyba że udało mu się zbiec.

Tak właśnie udało się Wszemiłowi. Uciekł Tatarom. Hej, niezliczone już dni i noce wędrował ku ojczyźnie. Deszcz go moczył, słońce go prażyło, wichry nim szarpały, mróz i głód się nad nim znęcał. A przecie wszystko wytrzymał i szedł, i szedł, bo go tęsknota gnała ku swojej ziemi, ku Małopolsce. Nigdzie zboża nie widziały mu się tak złote, nigdzie wzgórza tak wesołe, potoki tak srebrzyste jak tam, w tej krainie Wisłą przeciętej. Wędrował teraz właśnie wielką puszcza podkarpacką. Na plecach miał siermięgę zakurzoną i podartą, na ramieniu torbę z wyłysiałej, zajęczej skórki, a w tej torbie cały majątek: kawałek chleba i macherzynę z mlekiem przez dobrych ludzi podarowane, a i ten grosik, co go na gościńcu znalazł.

Idzie, idzie, po drodze jagodami się żywi, chleba i mleka nie rusza, na cięższą godzinę je chowa. Idzie, idzie... aż tu niespodzianie tuż przed nim wychodzi zza drzewa staruszek. Przygarbiony, z siwą brodą, kosturem się podpiera - jak to stary.

- Witaj mi, wędrowniku! - mówi dziadoszek.

- Witajcie, dziadku!

- Dobry człowieku, może macie chleb? Podzielcie się ze mną. Ledwie już na nogach trzymam się z głodu.

- A czemu się, dziadku, jagodami nie pożywicie? - Nie takie to łatwe, jako się młodemu wydaje. Oj, nie! Po jagodę trzeba się schylić. A ja, jakbym się schylił, tobym już nie miał mocy sprostować się.

"Smutna to rzecz starość - pomyślał Wszemił. - Trzeba starowinę poratować. Ja się ta jakoś jagodami przeżywię".

I wyjął z torby kromkę chleba, tę swoją kromkę pierwszą i ostatnią.

- Weźcie to sobie, dziadku. Zjedzcie na zdrowie.

Stary bardzo się uradował. Jedną ręką wziął chleb, a drugą zaraz sięgnął za pazuchę, wydobyl ukrytą na piersiach fujarkę i podał ją wędrownikowi.

- A wy, miłosierny człowieku, weźcie se to na wspominkę o mnie. Może się wam kiedy ta fujarka przyda.

I rozstali się.

Jeden skierował się na wschód, drugi na zachód. Nie uszedł Wszemił ani dziesięciu kroków, obejrzał się, jak to tam dziadkowi się lezie, a tu z dziadka ani śladu, jakby go wiatr zdmuchnął.

"Pewnie mi go jakaś sosna zasłoniła" - pomyślał Wszemił i powędrował dalej.

Wyszedł z puszczy na ugór przez słońce spalony i twardy a kamienisty. Aby licha trawka, sucha kostrzewa na nim rosła, aby rozchodnik tu i tam się zazłocił, aby czasami kępka macierzanki zabarwiła się i zapachniała. Jak daleko było spojrzeć - nigdzie domostwa ludzkiego, nigdzie dymu od ogniska, tego znaku człowieka. Mijała godzina za godziną. Słońce wciąż prażyło. Ugorowi końca nie było widać.

"Muszę odpocząć i pokrzepić się mlekiem".

Właśnie rozglądał się za jakąś przechylinką gruntu, gdzie byłoby mu wygodniej przysiąść, gdy raptem nad głową mu zaszumiało - zerwał się wiatr. Z góry wiatr skoczył na ziemię i zakręcił tak wielkim tumanem piasku, że aż świat na chwilę przesłonił. A gdy piasek opadł, widzi Wszemił: prościutko ku niemu drepcze dziadzina jeszcze chyba starszy, jeszcze chyba niedołęzniejszy od tamtego spotkanego w puszczy.

- Dobry człowieku, daj mi choć kropelkę wody, wody... - chrypi staruszek. - Umieram z pragnienia.

Wszemił podrapał się w głowę. Co tu robić? Starego mu żal... ale i mleko niesporo mu oddawać.

- Poratuj, chłopcze, jeśli możesz. Poratuj!

Juścić, skłamałby, gdyby powiedział: "Nie mogę". Tak więc myśli sobie: "Jeszczem do znaku nie osłabł. Może przecie doleczę do jakiej wsi, a choćby do strumienia, to się napiję".

Wyjął więc z torby macherzynę z mlekiem. Nić konopną, którą była u góry zamotana, odplątał i podał staremu.

- Wypijcie se, dziadku. Mleko tu jest.

Uradował się stary. Macherzynę ku ustom przechylił i mleko do ostatniej kropli wypił.

- Dobry człowieku, pokrzepiliście mnie. Oj, pokrzepiliście cudownie. Biedaczyna jestem, nie mam czym się wam odwdziżyć. Ale choć podaruję wam ten bat, co go noszę za paskiem. Może wam się kiedy w życiu przyda.

I zza paska wyciągnął zwykły jałowcowy pręt, do którego przywiązany był konopny sznurek z pukawką z końskiego włosia na końcu.

- Weźcie to sobie na wspominkę o mnie.

I znów nagle podniósł się wicher i zawirował tumanem piasku.

A gdy piasek opadł - ugór jak okiem sięgnąć znów był pusty.

Z dziadka nie zostało ani śladu. Ano, nie ma starego, to i nie ma. Wcale sobie tym Wszemił głowy nie zaprzętał. Pospieszał teraz z całych sił, aby przed wieczorem minąć nareszcie ugór, jakoś się pożywić, w jakimś zacisznym miejscu zanocować. Jakoż przed wieczorem ujrzał kępy drzew i bure dymy wałęsające się między gałęziami, i gościniec koleinami kół poznaczony.

- Niedaleczko mam już do jakiejś wioski!

Przydało mu to siły.

Niezadługo wyszedł na gościniec. Żwawo maszeruje i cieszy się, że już niedługo razem z ludźmi usiądzie w izbie przy ognisku, przy wspólnym stole. Aż tu naraz widzi: pod przydrożnym drzewem siedzi stary chłopowina i płacze.

- Cóż to wam się stało, dziadku, co płaczecie jak dziecko?

- Oj, człowieku - wędrowniku, wielka niedola mi się stała! Przedał syn w grodzie prosiaka, szeroki grosz za niego dostał, kazał mi ten grosz do chałupy odnieść, a ja go zgubiłem!... Ani wiem kiej, ani wiem kaj - ale zgubiłem. I teraz strasznie boję się synowej. Piekielnica z niej je a

piekielnica! Za tę zgubę to mnie, ani chybi, z chałupy wygna. To i gdzie się podzieję... kto mnie weźmie, takiego starotę?

I dalej dziadek płacze, aż się trzęsie.

Myśli Wszemił: "Toć mam w torbie grosz. Nie napracowałem się na niego, bom go przecie znalazł na tatarskim gościńcu. Lekko mi przyszedł, niech lekko pójdzie. Oddam go staremu".

I wyjął z torbeczki grosz, i starkowi do garści go wcisnął.

- Naści, dziadoszku. Grosz to rzetelny, jeno baccie, cobyście i tego nie zgubili.

Stary z radości objął chłopaka za nogi, w kolana go ucałował.

- Anim się spodział takiego szczęścia, anim się spodział! Jakże wam się, miłosierny człowieku, za to odwdzięczę? Weźcie chociaż ten kostur. Weźcie go sobie na wspominkę o mnie.

Nie chciał Wszemił dziadkowi odmawiać. Wziął kij i ruszył dalej. Ale zaledwie uszedł kilka kroków, myśli: "Trza się wrócić, trza pomóc staremu dźwignąć się z ziemi". Odwrócił się, a tu z dziadoszka ani śladu.

- Ho - ho... to się dziadowina uwinął! - zaśmiał się Wszemił i znów pomaszerował gościńcem.

A idąc, bacznie rozglądał się po zagrodach. Do której pośmiałkuje się zastukać? Chyba do tej. Upodobała mu się. Przed chatą było czysto umiecione i wysypane żółtym piaskiem. W ogródku barwiły się kwiatki, a na przyzbie siedział kotek i mył się prawą łapką. Zastukał do drzwi. Na dobrych ludzi trafił. Wieczera go ugościli, w stodole na sianie przenocowali.

* * *

Zawędrował Wszemił do wsi, z której był rodem. Ale tam po tatarskim najeździe z dawnej wsi już ani śladu. Nowe zagrody, nowi ludzie.

Myśli chłopak: "Gdzie bądź na służbę się zgodzę. Do najbliższego grodu pójdę ponoć tam kasztelan pasterza potrzebuje".

I poszedł do Tyńca.

O tym pasterstwie to już mu ludzie gadali. Jeno zawsze przy tym uśmiechali się. Nie do bydła pasterza tam trzeba ani do stadniny końskiej. Nie do owiec, nie do trzody ani nawet nie do gęsi czy indyków. To jaki pasterz na kasztelaniu potrzebny? Poszedł. Zaszedł. Przez most zwodzony, przez bramę na podwórzec go wpuścili, na kasztelańskie pokoje prowadzą. Wyszedł do niego sam kasztelan i tak mówi:

- Takiego mi pasterza potrzeba, co spotrafi upilnować na łące tysiąc zajęcy. Musi paść je przez miesiąc. Jeżeli przez ten czas żaden zając mu nie ubędzie i jeżeli potem spotrafi mi cały worek bajek naopowiadać - to pasterz ten dostanie córkę moją za żonę i dziesięć wiosek w jej wianie. Ale jeżeli mu przez ten czas chociaż jeden zając zginie - to będzie musiał już do końca życia darmo na kasztelańskiej ziemi pracować. No, namyśl się. W południe mi odpowiesz.

Pokłonił się Wszemił i z kasztelańskich komnat na podwórzec wyszedł. Zaraz go tam kilkoro ludzi obstało. A skąd jest? A po co tu przybył? - wypytuja. Nic o sobie Wszemił nie wspomniał, jeno mówi, co przyszedł na pasterza się zgodzić, do tych zajęcy...

- Oj, nie bądź głupi - szepcą mu ludzie, a oglądają się, czy karbowy ich nie słyszy. - Pomyśl jeno; jakże ci zajęcy na wolności upilnować? - Toć to ci wszystkie w jednej chwili rozbiegną się w świat. Już tu wielu takich głupich było. Tera do końca życia niewolnikami kasztelana ostali. - Widzisz ich tam? Kamienie dźwigają, drugie ogrodzenie dookoła zamku murują.

Popatrzył Wszemił na niewolników, ale myśli: "Cały worek bajek nagadać, to przecie potrafię, bom się niemało w tatarskiej niewoli przy wspólnym ognisku nasłuchał. A z tymi zającami... może mi się poszczęści? Może mi żaden nie ucieknie?"

I mówi:

- Juścić to prawda, ale spróbuję.

- E, nie leż wilkowi w gardło. Idź se do jakiej nie bądź królewskiej wsi. Na królewszczyźnie łąn ziemi dostaniesz albo i kilka, ożenisz się, wolnym kmieciem se będziesz.

A Wszemił na to:

- Co robić... kiej mi się chce spróbować z tymi zajęciami.

Ludzie dalej mu odradzają. Żal im chłopaka. Młody jest, śmigły i pięknej urody. Ale Wszemił się uparł: będzie pasł zajęciami i będzie. Słonko na niebie wspięło się na najwyższą godzinę. Południe.

W podwórzu dzwonią na obiad. Idzie chłopak na kasztelańskie pokoje.

- Ostanę tu, miłościwy panie. Będę zajęciami pasł.

Rad kasztelan, że sobie zdobędzie nowego niewolnika. Uśmiechnął się i powiada:

- No, to idźże se do czeladniej kuchni na obiad. A po południu karbowy ci zajęciami wyda.

Tak się stało.

Po południu karbowy kazał stodołę otworzyć. Myk, myk, myk... tysiąc zajęciami wyskoczyło na podwórecz. Ludzie się przyglądają. Jedni zafrasowani, bo im chłopaka żal, inni się śmieją, a wszyscy ciekawi.

"Ano, skorożem pastuch, to mi trza na fujarce grać".

Wydobył z torby fujarkę podarowaną mu przez pierwszego dziadoszka i zatiurlikał na niej. Aż tu co za dziw! Zajęciami, co po całym podwórzu rozbiegły się były i urządzały gonitwy a kicanki - teraz zbiegły się do kupki, ustawiły się czwórkami jak wojsko i czekają. Ruszył Wszemił ku otwartym wrotom na most, ruszyły za nim zajęciami kic - kic - kic, a baczą, coby czwórki były równe, coby jeden zajęciami drugiego nie wyprzedzał.

Ludzie aż usta pootwierali z tego dziwu. Karbowy do roboty ich nie zagania, bo sam się zacudował, stoi jak słup i oczy wytrzeszcza na to zajęciami kowe wojsko. Dopiero się ludzie przecknęli, gdy ostatnia czwórka za mostem im zniknęła.

Przyszedł Wszemił z zajęciami na wyznaczone pastwisko. Wesoło mu.

"No, z wyprowadzeniem zajęciami to mi dobrze poszło, ale co teraz żeby mi się nie rozbiegły?"

Wbił w ziemię kostur, ten kostur, który dostał od trzeciego dziadka.

"Niechże mi kij nie przeszkadza, kiej będę musiał zajęciami gonić".

Aż tu nowy dziw! Zajęciami dookoła kostura się gromadzą, jakby je sznurkami przyciągał. Na boki nie uciekają, pasą się spokojnie. Co w jednym miejscu trawę wyjedzą, to Wszemił dalej kostur przenosi, a zajęciami za nim i znów na tej innej części łąki dookoła kija pięknie się pasą. Ale się zdarzyło, że ku łące nadleciało od lasu kilka wron z wielkim krakaniem. Trzy małe zajęciami zlekły się glap i kic - kic - kic uciekły na boki.

- Ej, wy małe Kubusie, nie bójcie się! Do gromady!

I nie myśląc nawet, co robi, Wszemił strzelił z bata, z tego bata który mu podarował dziadoszek spotkany na ugorze. Zajęciami w tej chwili zawróciły i do stada przybiegły. Wielkie zdumienie ogarnęło Wszemiła.

"Kiej na fujarce gram, zajęciami za tym głosem idą. Kiej kostur w ziemię wbiję, zajęciami dookoła niego się pasą. A z bata strzełę, to który Kuba od stada odszedł - zarutko wraca. To ci dary, to ci czarodziejskie dary od dziadoszków dostałem!"

Tego dnia wieczorem karbowy zajęciami liczy. Wszystkie są. Na drugi dzień wieczorem karbowy zajęciami liczy - żadnego nie brakuje. I trzeciego dnia nie brakuje, i czwartego. Wielki strach padł na kasztelański zamek.

"Co? Ten chłop, ten pasizarak córkę mi za żonę weźmie! Dziesięć wsi mu będę musiał podarować! Trzeba szukać ratunku, póki czas, póki czas!"

Rada w radę, rada w radę - uradzili.

* * *

Na drugi dzień pasie Wszemił zajęciami na łące. Aż tu widzi, coś się ku niemu od zamku toczy. Cości malutkie, grubiotkie jak beczułka, na nóżkach jak pieniuszki. A cóż to? A któż to? Kasztelańska kucharcia. Przytoczyła się ku łące i do Wszemiła:

- Pasturku miły, poratujcie mnie, poratujcie! I udaje, że płacze. Zapaską trze oczy, coby były czerwone. - Dla jegomości pana kasztelana piekłam comber zajęciami. I spalił on mi się, spalił

na węgiel! Co ja, nieszczęsna, tera zrobię! To był już ostatni szarak, ostatni z tych upolowanych. Kasztelan mnie wypędzi, zasług nie da, psami wyszczuje. Poratujcie mnie! Przedajcie mi jednego zająca na nowy comber.

I pasterzowi do garści talarka wciska. Pomiarkował się Wszemił. To sidła na niego. To jeno po to, aby jednego zajączka w stadzie brakowało. Ale mówi:

- Bierzcie sobie tego talarka z powrotem. Przedawać nie mogę, bo to nie moje. Ale was poratuję, zajączka dam. Jeno mi za to zatańcujcie, bo mi się tu przecie cni a cni samemu na pastwisku.

Kucharcia rada, że jej się tak łatwo uda kasztelańskie przykazanie spełnić, ujęła prawą ręką prawy brzeg faldzistego wełniaczka, lewą lewy i nuż obertać się, grubymi nóżkami drobić, hołubczyki wycinać, ss jak piłeczka podskakiwać, wyginać się, przeginać, koła i kółka zataczać. Ubawił się Wszemił, uśmieł się, aż w końcu mówi:

- No, będzie już, będzie dość, boście się zadychali: Tera wam zajączka złapię. I pierwszego z brzegu zająca chwycił, kucharci go podał.

Baba zająca w zapasce utaiła i wielce rada ku zamkowi podyrdała. A gdy już wchodziła na zwodzony most, Wszemił z czarodziejskiego bata puknął! Na ten przyzyw zajączek smyrng! z zapaski i galopem do stada przybieżał. I znów cały ich tyś dookoła kosturka się pasie. Hej, na łące wesoło, na zamku ponuro. Kasztelan klnie, kasztelanka płacze, kucharcia owiązała głowę chustką, że to niby zęby bardzo ją bolą, ale to ku temu, aby się do nikogo nie odzywać. A zła, a hałasi! Garnkami tłucze, rożnami smyrnga, patelniami zbyrczy - aż huczy. Co robić? Co robić? I znów rada w radę, rada w radę - uradzili.

* * *

Minęło kilka dni.

Idzie teraz na łąkę kasztelanka. Przebrała się za wiejską dziewczynę: spłowiały wełniaczek, wianek kwiatów na głowie, drewniane paciorki na szyi, wiklinowy koszyk w rękę. Przyszła, uśmiechnęła się do Wszemiła i kłamię:

- Chciałabym kupić zajączka na chowanie. Ojciec chcą, coby mu się w gaju zajączki rozmnożyły, bo musi do klasztoru co roku daninę dwudziestu zajęcy składać. Zająca już mamy, samiczka nam potrzebna.

- A jakże to ojciec im wytłumaczy, coby w las nie uszły, coby po kasztelańskich polach nie skakały? Łacno je tam mogą na łowach ustrzelić.

- A to... a to... - namyśla się dziewczyna, jakby się wykręcić.

- Ojciec nasz zagajnik ogrodzili.

Poznał Wszemił od razu, co to nowa na niego pułapka, ale mówi:

- E, takiej urodnej dziewczynie nie będę zajączki przedawał, jeno jej którąś ze stada podaruję. Ale trza, cobyś mi się dziesięć razy ukloniła.

Ano, dobrze.

Kasztelanka dyga przed Wszemiłem i tak, i owak, i jeszcze inaczej coraz niżej, coraz pokorniej. Chwycił Wszemił zajączkę i do wiklinowego koszyka ją wsadził

- No, niechże się wam zdrowo w tym gaju chowa i co roku dwanaścioro drobiazgu rodzi - roześmiał się.

Kasztelanka rada, koszyk chusteczką nakryła i niby to do wsi odchodzi. Ale zaledwie do pierwszej kmieciej zagrody doszła, zaraz ku zamkowi skręciła. Wszemił bacznie ją wypatruje, a gdy zobaczył, że już do zamkowej bramy dochodzi - z bata strzelił. Zajączka smyrng! i galopem do stada wróciła. Znów na zamku zmartwienie, znów narady i narady, jak by zajęcze stado umniejszyć!

* * *

Przeszedł tydzień, przeszedł drugi. Myśli kasztelan:

"Teraz ja do niego pojedę. Przecie mnie się szarak nie wymknie jak babom. Niechaj tylko nikt o tym nie wie".

Kazał córce iść na strych i tam w skrzyniach ze starą odzieżą wyszukać jakiś najbardziej przez mole zjedzony żupanik. Wdział go, powrócił się opasał. Sam cichcem wyprowadził ze stajni najlichszą szkapinę, zamiast siodła założył na konia parciany worek i pojechał na łąkę. Pozdrowił grzecznie Wszemiła i zbiedzonym głosem mówi:

- Dobry człowieku, sprzedajcie mi, ale niedrogo, jednego zajączka. Niechże choć raz w życiu poznam, jak zajęcze mięso smakuje.

Wszemił od razu poznał kasztelana, ale udaje, co nie wie, z kim gada.

- Jakże mógłbym brać od was pieniądze! Toć widzę, żeście biedota a biedota. Bez pieniędzy zajączka wam dam, jeno mi musicie jedną rzecz wykonać.

- Chętnie zrobię, chętnie...

- Widzicie tego wsiowego Burka, co po miedzy biegnie i ogonem macha?

- Juścić widzę, widzę...

- No to biecicie chyżo i trzy razy pocałujcie go w nos.

Kasztelan strasznie zajątrzył się w sobie. Co ten chłop sobie myśli? Ale... trudna rada. Jeśli przez to dziesięć folwarków ocali, od zięcia-chłopa się ocali... Nie ma innej rady. Trza tego kundla... Aż się skurczył w sobie, ale pyta:

- A można przez listek?

- Niechże będzie przez listek.

Kasztelan puścił się na piechotę za psem.

- Buruś, Buruś, na tu, na... Dobry piesek, ładny piesek. Nie uciekaj, zaczekaj... Buruś, Buruś...

Tak przymilnie Burkowi słodzi, że piesek stanął. A wtedy kasztelan przykląkł na miedzy, zerwał listek babki, przyłożył go do kundlowego nosa i kundlowy niuchacz posłusznie ucałował. Wrócił do pasterza zły - aż czerwony.

- No, zrobiłem, coście chcieli.

- Widziałem, widziałem. Spełniliście moją wolę, to i ja waszą spełnię.

Złapał Wszemił pierwszego z brzegu zająca i kasztelanowi go podał. Kasztelan mocno uchwycił szaraka za uszy i za skórę na karku, po kamieniu na szkapinę się wdrapał i na swej chudej trzęsokostce ku wsi odjechał. I znów tak samo, jak jego córeczka, od pierwszej zagrody w brzozową aleję skręcił i do zamku truchcikiem jedzie. Gdy już był blisko zwodzonego mostu, Wszemił z bata strzelił. A wtedy w zajączku ocknęła się niepojęta siła, niepojęta śmiałość. Z garści się wyszarpnął, z konia hul! na ziemię! Tylko się za nim zakurzyło, tak pocałował do swych braci. I cała komedia pana kasztelana na nic się nie zdała.

* * *

Kończy się czwarty tydzień. Karbowy co wieczór zające liczy i co wieczór kasztelanowi melduje:

- Żadnego zająca pasterz nie stracił. Jak był tysiąc, tak jest tysiąc.

Co tu robić? Co tu robić?

Kazał kasztelan do kolaski cztery konie założyć i po innych kasztelanach, po wojewodach, po starostwach jeździ, o swym strapieniu opowiada. A wszyscy jednakową dają mu pociechę:

- Toć jeszcze, jak waszmość powiadacie, worek bajek musi nagadać. Tu go złapiecie!

Choćby całą noc opowiadał, wołajcie, co jeszcze worek niepełny. Nie da rady, niewolnikiem waszym ostanie.

Wrócił kasztelan do Tyńca i kazał na drugą niedzielę przygotować wielką ucztę. Wszystkich kasztelanów, starostów, wojewodów z żonami, z córkami na ucztę zaprosił. A gdy się już wszyscy pojeżdżali, kazał na zamkowe pokoje przynieść wielki wańtuch od wełny i zapowiedział, żeby w czasie wieczerzy pastucha od zajęcy zawołać na opowiadanie gadek. Dowiedział się o tym Wszemił, do zarządcy zamku pobiegł i powiada:

- Miłościwy panie, kaźcież mi ze szatni pańskiej wydać należyty strój, cobym przecie na zamkowe pokoje poszedł odziany jak przystoi.

Popatrzył zarządca na siermiężynę Wszemiła i mówi:

- Juścić, co prawda, to prawda. W takich łachmanach nie możesz się pokazać na pańskich pokojach.

Dali Wszemiłowi piękny żupan, szeroki pas, żółte buty, czapkę z pawimi piórami. Wyszorował się Wszemił w rzece, zamkowy kędziornik równo, pięknie mu włosy na czole zrównał, na ramionach przyciął. A potem, jak się zaodział w ten bogaty strój, to się w czeladniej kuchni ludzie nie mogli nacudować, jaki to z niego piękny chłopak się okazał. W zamkowej jadalni goście dookoła stoły poobsiadali. Jedzą, piją, weselą się.

- Zawołać pastucha! - przykazuje kasztelan.

Ano, wszedł Wszemił - wysoki, zgrabny, urodny.

Wszystkim pannom oczy się ku niemu zaśmiały. Wszystkie panny zazdrośnie na kasztelankę spojrzwały. Wszystkie szepnęły: - Jakby tak o mnie...

Wnetki zaczęłabym pacierze odmawiać, coby mu się udało pełniński worek nagadać. A kasztelanka westchnęła:

- Okrutnie wielkie wańtuszyisko pan ojciec kazali przynieść.

Stanął Wszemił na wyznaczonym miejscu, worek przed nim na drewnianych kozłach zawiesili. Zaczął opowiadać.

Owe gadki, owe byle - niebyłe, owe zdarzenia, to przy ognisku w dalekim tatarskim stepie zasłyszane, to na własne oczy widziane. Jedna opowiadka straszniejsza od drugiej, jedna dziksza od drugiej...

Opowiadał, opowiadał całą godzinę. Zasłuchali się goście. Jeść przestali, pić przestali... po dzikim stepie myślami błędzą. Zdaje im się, że na dzikich koniach cwałują, że surowe końskie mięso jak wilcy szarpią. Dziwności, dziwności są na tym wielkim świecie! Kasztelanka na pana ojca mruga.

- Zajrzyjcie do wora, panie ojczy, wiewa ta już nagadane?

Zajrzał kasztelan.

- Gdzie zaś, gdzie zaś... ani dno wora jeszcze nie zakryte.

Aż nagle Wszemił powiewa:

- No, będzie już tych straszności, tera cosik weselszego: Siedzę se raz w polu, zającę pasę, aż tu przyjeżdża do mnie biedaczyna. Żupanisko bez mole zjedzone, na szkapinie worek, strzemiona ze słomianych powróseł... A ten biedaczyna był akuratnie tej miary, co nasz miłościwy pan kasztelan, i oczy miał siwe akuratnie jak nasz miłościwy pan kasztelan. I włosy miał siwiejące akuratnie...

Kasztelan na ławie kręci się niespokojnie.

"Co on gada, co on gada! A jeśli się goście domyślą?!"

- I ten biedaczyna chce ode mnie zajączka. A ja powiewam...

"Rety, rety, wszystko wygada! O tym całowaniu kundła w nos wygada..."

Aż poty na kasztelana biją!

Więc zerwał się i do wora przyskoczył.

- Będzie dość, będzie dość! - woła. - Już wór pełniński!

A kasztelanka za nim:

- Już i z czubem nagadane! Już się z wora wysypuje!

I tak Wszemił został kasztelańskim zięciem.

Janina Porazińska

Łopień - Złotopień



Jest w krakowskiej ziemi miasteczko Tymbark, a nad nim długa, lesista góra, co się zwie Łopień. A na tej górze, wśród gęstego lasu, jest polana, którą niegdyś pasterze wyrabali. W jednym rogu tej polany stoi szałas czarny od dymu.

Powiadają starzy ludzie, że dawno temu, ponoć wtedy, gdy naczelnik Kościuszko wojował pod Raclawicami, pasł owce na tej polanie niejaki Ambroży, góral z Chyżówek. Pomagał mu w tym najmłodszy syn Franek, który już od kilku lat chodził z ojcem na całe lato w góry. Pewnego dnia stary Ambroży zdrzemnął się w szałasie. Dzień był gorący, a nad górami płynęły puszyste, białe obłoki. Po jakimś czasie baca zerwał się na równe nogi, zbudzony silnym wstrząsem ziemi. Gdy wybiegł z szałasu, ujrzał wielki otwór w zboczu pobliskiego pagórka. Zdziwiony niezwykłym widokiem, zbliżył się do otworu i zajrzał z ciekawością w jego ciemną czeluść. Natychmiast cofnął się przerażony, bo wyleciała stamtąd ogromna sowa. Zebrawszy całą swoją odwagę, wszedł jednak do jamy i posuwał się powoli krok za krokiem. Po pewnym czasie znalazł się w wielkiej, jasno oświetlonej grocie, w której stała olbrzymia skrzynia pełna złota. Błask bił od niej tak mocny, że trzeba było oczy mrużyć, aby nie oślepnąć. Obok skrzyni rosło szczerozłote drzewo: ze złota miało korzenie, ze złota pień i ze złota liście... Listki owe ruszały się na gałązkach i nie szumiały, lecz dzwoniły jak szklane paciorki.

Ambroży zaraz zmiarkował, że znalazł zbójcecki skarb i że trzeba będzie owo złote drzewo ściąć jak najszybciej, aby je zanieść do domu. Na myśl, jakim będzie odtąd bogaczem, omal mowy nie stracił... Zawrócił więc na polanę, aby przynieść siekiere do zrabania złotego pnia. Przypomniawszy sobie po chwili, że siekiere zabrał ze sobą Franek, idąc rano z owcami na sąsiednią polanę. Szybko odszukał syna, opowiedział mu o odkryciu i zaprowadził do groty. Tutaj jednak spotkała ich niespodzianka: oto na skraju jamy stał człowiek w długiej czarnej szacie i w wysokiej, stożkowatej czapce na głowie.

Gdy obaj górale zbliżyli się do niego, podniósł ręce, zabraniając im wstępu do wnętrza jaskini.

- Odejdźcie stąd! - zawołał. - Jestem strażnikiem tego złota i nie dam wam ani kawałka... Tylko ten stanie się jego właścicielem, kto użyje go w całości na otarcie łez ludziom biednym i nieszczęśliwym, nic nie zatrzymując dla siebie.

Ledwie te słowa powiedział, cofnął się do wnętrza, a wejście do groty zniknęło bez śladu. Daremnie ojciec z synem szukali choćby najmniejszej szparki; w tym miejscu, gdzie przed chwilą był otwór, widniała trawa usiana kwiatami...

Opowiedział mi to pewien młody baca, gdy w czasie jednej z wycieczek znalazłem się w szałasie na Łopieniu i zapytałem go, skąd się wzięła nazwa tej góry.

- Czy nigdy już nie ukazała się owa jaskinia ludzkim oczom? - zagadnąłem go, gdy chwilowo przerwał swoją opowieść.

- Nigdy. Chodzili tam różni ludzie szukać, bo się wieść o tym szeroko rozniosła, ale nikt wejścia nie znalazł. Ino od czasu do czasu znajdowano w trawie złote pieniądze, które owce wykopywały spod darni swymi kopytkami.

- Ale co to wszystko ma wspólnego z nazwą góry?

Mój rozmówca zapalił fajkę i odpowiedział dopiero po chwili milczenia:

- Ano ma, bo od tego złotego pnia ludzie nazwali tę górę Złotopień, co się później przemieniło na Łopień. Widocznie nie znalazł się jeszcze taki, co by cały skarb chciał rozdać ludziom ubogim, nic dla siebie nie zatrzymując.

- Piękna to legenda - powiedziałem.

- Ano piękna - przyznał góral. - Są w ziemi wielkie skarby, ale zdobyć je można tylko pracą.

Ilekoć przejeżdżam przez miasteczko Tymbark i patrzę na lesisty Łopień oraz widniejącą na jego grzbiecie polanę, przypominam sobie tę opowieść, zasłyszaną w czasie wycieczki.

I zawsze dźwięczą mi w uszach mądre słowa, którymi młody góral zakończył swoją ciekawą opowieść.

Stanisław Pagaczewski

O Bartku doktorze



Było to dawno, lat temu pięćset i jeszcze sto.

I dlatego w tę opowieść zaplątane są dziwy i cuda, które z pewnością się nie zdarzyły, jeno w nie opowieść pogwarki babek i prządek przybrały.

Wszelako trzeba rzecz zacząć od początku i opowiedzieć wszystko, co się w niej mieści, po kolei. Słuchający niechaj z niej ziarno prawdy wyłuska, a owe fidrygałki - dyrdymałki, dla ozdoby i figlów do niej przydane, odrzuci. Jeśli mu ich nie szkoda.

Było to dawno temu: lat pięćset i jeszcze sto.

W pewnej wsi mieszkał z matką staruszką jeden chłopak.

Zwał się Bartłomiej. Bartek nań wołali. Matka robiła na polu wielmoży, syn jej pomagał, ale nie lubił tej roboty.

- Ani z tego dostatku, ani rozumu nie przybywa - powiada do matki. - Muszę ja z domu ruszyć, innej pracy się wyuczyć, aby wam, matko, i mnie lepiej na świecie było.

- Jak? Gdzie się takiej roboty wyuczysz, synu? - zatroskała się matka.

- Poczekajcie. Pomyślę nad tym.

Jęła się matka koło ubogiej wieczerzy krzątać, bo już wieczór się zbliżał. Bartek zaś w progu chałupiny stanął i na drogę wiejską patrzy.

Wiodła ta droga do stołecznego miasta Krakowa i ruch na niej bywał znaczny. Gdy tak zamyślony Bartek na wiejską drogę pogląda, ukazała się na niej gromada młodych chłopaków, tobołki podróżne niosących.

- Dokąd idziecie? - pyta ich Bartek.

- Do Krakowa! Do Krakowa! Do szkoły krakowskiej! Po naukę! odkrzyknęli chłopcy.

Jakoż, przypatrzwszy się im, ujrzał Bartek, że każdy książki niósł: ten w rzemieniu związane, inny między dwiema spojonymi z sobą deszczułkami, inny wreszcie po prostu pod pachą.

- A dużo z tą nauką roboty? - pyta Bartek młodzieńców.

Jeśli chcesz do wiedzy dojść - dużo. Napracować się zdrowo trzeba, a i życie ubogiego studenta - nielekkie.

Zamyślił się Bartek.

Po prawdzie nie był on pracowity. A i łatwiej mu przychodziło wykpić się od roboty niż ją rzetelnie wykonać.

Tymczasem młodzi oddalili się już od chaty i szli dalej w kurzawie drogi, studencką pieśń śpiewając.

- Hm... - mruknął Bartek. - Tu czy tam - robić trzeba. Ale tam w mieście, łatwiej dojść do złota i znaczenia niżli na tej pańskiej wsi. Może mi się i podstęp jakiś uda? Trzeba szczęścia spróbować... Hej, matko! - krzyknął ku izbie. - Sposóbcie mi tobolek z odzieżą, dajcie groszy parę. Pójdę do Krakowa po naukę! Wyuczę się na doktora, poznam się na lekach, które łykać, a którymi smarować się trzeba, chorych ludzi będę do zdrowia przywodził, was z łamania kości ulecę, zarobię kupę talarów - dobrze nam się działo będzie.

Kochała matka swego Bartka. Jęła tedy sposobić mu tobolek na drogę, myśląc:

"Kto wie? A może mu się poszczęści? Sprytny chłopak z niego, a choć więcej wykpisz, jak robotny, ale serce ma dobre, ludziom życzliwe. Ciężko nam, ubogo... Niechaj idzie. Może mu się los odmieni".

Związała matka synowi w tobolek odzież ubogą, dała mu chleba, słoniny płatek. Zapłakała.

- Idziesz, synku... Idziesz ode mnie?...

Bartek, choć wykpisz, matkę kochał szczerze. Objął staruszkę za zgięte w pracy ramiona, do szerokiej piersi przytulił, skroń zmarszczoną ucałował.

- Matko miła! Ostańcie w pokoju. Wróć do was i będziemy żyli w dostatku.

Po czym wziął tobolek, przez ramię go przerzucił i ruszył, świszcząc jak kos, drogą do Krakowa. Idąc mijal uczniów ubogich jak on, idących pieszo, nucących śpiewki. Mijał i studentów bogatych, jadących powózkami, ba! - kolasami lub konno. Odziani byli strojnie w płaszcze aksamitne, które gdy wiatr rozchyłał, widno było, iż są opasani pasami okutymi złotem, a przy nich dzwoniły im krótkie mieczyki.

- Ho - ho! - wołali i kłuli srebrnymi ostrogami konie, które gnały drogą królewską, aż pył spod kopyt bił na stąpających po przyrówkach ubogich kolegów.

- Ho - ho! - drwili idący pieszo. - Patrzcie no ich, orlików pazurzystych. Co to ciąc będą tymi mieczykami? Gramatykę?

I ściągali brwi nad oczami, w których błyskała pojętność i gniew. Bartek patrzył za paniczykami i myślał:

"Mają konie, pojazdy, płaszcze aksamitne. Matki ich chodzą szeleszcząc sutymi spódnicami po posadzkach dworów a pałaców. Ejże, moja matulu, w pracy przygarbiona, tak czy owak muszę zdobyć dostatek dla ciebie!"

Tak myśląc doszedł do bram krakowskich.

Mrok już był, a z wieży strażnik trąbił hejnał wieczorny. Ostatni dźwięk - zda się - uderzył o gwiazdy i rozprysnął się. Brzmiało to jakby rzucone w przestworze strzeliste zapytanie, które w pół słowa przerwał lęk czy zdumienie. Po czym zapadła cisza. Lecz wnet zadźwięczały w niej różne kroki wchodzących w miasto studentów. Szli ku domom krewnych, ku bursom. Bartek szedł z innymi, rozpatrując się, gdzie w której bursie o nocleg najłatwiej, ile groszy odłożyć na wpisowe, ile na życie, ile na noclegi.

Gdy tak szedł, postąpił zza uchylonych drzwi piwiarni brzęk lutni i śpiew. Wraz uderzył stamtąd smakowity zapach pieczenia.

- Hej! - zawołał któryś ze studentów. - A może byśmy na grzane piwo wstąpili do tej gospody?

- Wstąpmy! - wykrzyknął Bartek, którego ssała czczość po długiej wędrówce.

- Wstąpmy! - zawołał inni i pchnąwszy uchylone drzwi, w studenckiej gospodzie stanęli.

Był tam długi stół z drzewa surowego, na drewnianych stojakach oparty, a wokół niego na ławach siedzieli studenci. W głębi, na otwartym palenisku ceglanego pieca, piekł się kawał ociekającego tłuszczem mięsa, a tuż przy piecu, na szerokim zydlu, drzemał człowiek w sutej czarnej szacie, w jakie odziewali się wówczas doktorzy i uczeni. Chrapał on donośnie, kiwając się na zydlu w tył i naprzód, aż mu się chwiały kosmyki długich, sięgających ramion włosów. Studenci cisnęli swoje podróżne tłumoki pod stół i jęli pokrzykiwać na gospodarza, prosząc o jadło i piwo. Wnet zjawił się i on sam niosąc miski i dzbanki. Bartek jadł, aż mu się uszy trzęsły, nasłuchiwał pogwarek towarzyszy o pracy, o nielekkim życiu studenta i ciekawie na śpiącego człowieka popatrywał.

- Kto to u was przy kominie śpi? - spytał gospodarza.

- Doktor Medikus - odrzecz gospodarz. - Piwa się co nieco opił, śpi tedy przy kominie jako syty trzmiel przy róży kwiecie.

- Doktor? Medikus? - zaciekawiał się Bartek.

Wraz przyszło mu na myśl, że dobrze byłoby się na służbę do onego doktora zgodzić i przy nim doktorowania wyuczyć, prędzej i z mniejszym mozolem niż w szkole krakowskiej. Wpatrzył się więc w śpiącego. Miał on oblicze krągłe, dobroduszne i rumiane. Spał ufnie, wysunawszy spod czarnej szaty buty o nosach długich jak jaszczurowe ogony.

- Śpi doktor Medikus - powtórzył gospodarz frasobliwie. - A ja już piwiarnię zamykać muszę. Dziesiąta minęła, wnet mi tu zaczną stróże nocni w drzwi halabardami tłuc, wołając, że gospodę zamykać i spać pora.

- Wiecie co, gospodarzu? - rzecze Bartek. - Trzeba, by ktoś doktora do dom odprowadził, bo po piwie nogi człowiekowi źle służą, a krakowskie bruki nietęgą. Gdy nikt się nie kwapi - ja to uczynię.

Jakoż studenci zbierali już swe tobołki i mieli się ku wyjściu, na śpiącego doktora nie bacząc.

- Odprowadź go, chłopcze, odprowadź! - ucieszył się gospodarz. - Mnie grzeczność uczynisz, a doktorowi się przysłużysz.

- Gdzie to mam go odprowadzić?

- Niedaleko stąd, za prawym węglem ulicy jest dom doktorski. Poznasz go po drzwiach rzeźbionych. Dom to zasobny! Ho - ho! Dobrze się doktorowi wiedzie.

- Rozbudźcie go tedy. Wnet go do dom odprowadzę.

Podeszli więc Bartek z gospodarzem do śpiącego i jęli go lekko za ramiona potrząsać.

- Wstawajcie, doktorze! Wstawajcie! - Dbrum! Dbrum! - wstrząsnął się doktor i rozwarł oczy.

- Co się dzieje? Kraków płonie?

- Nie, nie płonie Kraków. Jeno wam do domu czas!

Dźwignął się doktor na nogi. Zachwiał się. Bartek go pod łokieć pochwycił.

- Co to za pocziwiec mnie podtrzymał? - pyta doktor.

- To ja, Bartek. Oprzyjcie się na mnie. Do dom was odprowadzę.

Wyszli na krakowską ulicę. Bartek doktora prowadzi, wyboje w bruku omija.

- Dzięki, dzięki, mój pocziwy chłopaku.

- Nie ma za co, doktorze. Lepiej spójrzcie pod nogi, byście się nie potknęli o ten brukowy kamuszek. Baczcież! Ho - op!

- Dzięki za opiekę. Czym ci się wywdzięczyć mogę?

- Ano, jeśli już koniecznie tego chcecie, doktorze, weźcie mnie na posługi. Wiernie wam służyć, wiernie dopomagać będę. Boć nic mnie na świecie tak nie ciekawi, jak doktorowanie.

- Chciałbyś się do mnie na posługi zgodzić? Niechaj! Zgoda. Sam jestem jak palec. Będiesz mi w doktorskiej robocie pomagał, a czasem do piwiarni po mnie wstąpisz i do dom odprowadzisz. Jak dziś.

Tak to się Bartek z doktorem zmówił i do dom go odprowadziwszy już tam z nim został. Dom doktora był zasobny, a to się bardzo Bartkowi podobało. Podobało mu się także, że chorzy srebrne talary do domu tego znosili. Przyglądał się bacznie, jak doktor doktoruje, nasłuchiwał, co na tę czy inną bolączkę radzi, bacząc, jak maść przykłada, jak smaruje, jak opukuje. Więc kombinując coś na oko, coś niecoś z doktorskim sposobem mówienia się obeznawszy, sądził, iż małym trudem sztukę doktorską posiadał. Rozumie się, że wszystko, o czym tu mowa, tyczy się tego doktorowania sprzed lat pięciuset i jeszcze stu. A było ono dziwaczne i cudaczne. Dziw prawdziwy, że nie pomarli od niego chorzejący ludziska. Widać jednak z tego jasno, że mocni byli ludzie, którzy znieśli owe obfite krwi puszczenie, proszków z żab suszonych polykanie, ziołami palonymi okadzanie i inne paskudztwa.

Patrzył na te leki Bartek, pomagał doktorowi ziołami kadzić, proszki ucierać, krew puszczać. A także na piwo go prowadził i do domu go z powrotem przywodził. Doktor nie mógł się go dość nachwalić. Po dwóch latach zdarzyło się, że doktor do jakiegoś wielmoży pod Kraków

wezwany był. Wyprowadził Bartek doktorską kobyłę, osiodłał, doktor odział się w najlepszą szatę, zabrał worek proszków, słoń pijawek, rycyny faskę i powiada:

- Słuchaj, Bartek. Jadę do tego obżartucha, co się zimnej gęsinie objadł i ledwie tchnie. Muszę zeń te zimne gęsie humory wypędzić! Ty zaś ostań, a żeś już w wiedzy doktorskiej osłuchany, gdy się jaki chory zjawi, to go lecz.

Bartek skłonił się doktorowi grzecznie i pyta:

- A talary za to leczenie czyje mają być? Moje czy doktora?

- Twoje! Twoje - rzecze doktor, szatę podkasał, na kobyłę skoczył i jedzie, aż się faska rycyny i wór z lekarstwami po kobylich bokach telepią.

Oto drogą się człapie doktor na swojej szkapie. Jedzie z doktorską miną, wiezie konew z rycyną i pełno leków w worze skutku życzym, doktorze! Tak oto nadjechał doktor do chorego. Bartek zaś izbę doktorską zamiótł, szatę szeroką wdział, w oknie stanął i chorych wygląda. Wnet zjawił się miejski rajca, któremu, że na przeciagu siadł, w uchu ból tykotał. Zajrzał Bartek do ucha rajcy, dmuchnął, chuchnął, zamamrotał:

- Na uchos strzykantos dobrze podmuchantos.

- Że co? - pyta rajca.

- To po łacinie - mówi Bartek z ważną miną.

Wziął mały mieszek, w ucho rajcy dmuchnął, aż temu sto świeczek w oczach pokazało się, ucho ziołami obłożył, chustą je przewiązał i powiada:

- Nowiu trza unikać, na lewym boku spać i ziołami, co wam z apteki doktorskiej dam, ucho okładać.

- A pomoże? - pyta rajca.

- Pomoże - nadał się Bartek dumnie.

- Piękne dzięki, doktorze. A co się za poradę należy?

- Za poradę - talara. A za zioła, co wam je z apteki doktorskiej wydam - także talara.

Zapłacił Bartkowi rajca dwa talary i postępując wyszedł. Przyszła potem burmistrzowa ciotka, na smutek, wzdychanie, serca trzepotanie się uskarżając.

- Unikajcie, pani, ludzi, co wam się przeciwiają - rzecze Bartek i oko przymruża.

Wiedział bowiem, co w mieście głośnie było, że burmistrzowa ciotka z całym domem siostrzeńca koty drze. Klasnęła w ręce stara pannica. Spodobała jej się ta rada.

- A to trzeba by mi z miasta wyjechać!

- Wyjedźcie, pani, a im rychlej, tym lepiej. Na wieś. Chodźcie tam po gaikach o wschodzie a zachodzie. Kwiatki wączajcie. Ptaszków słuchajcie. A tu wam ziółka dam. Flores na humores.

- Flores?

- Na humores. Przednie.

Podszedł Bartek do doktorskiej apteki, wyjął ciemierzycy garść, gorczycy garść, pieprzu dobrą szczyptę dołożył.

"No - myśli. - Jak się wykicha, wigor do awantur zgubi".

I pięknie jej te specyfiki upakował.

- Mam to parzyć? Pić? - pyta burmistrza ciotka.

- Wączajcie jeno to, pani. Pomoże.

Podziękowała pannica Bartkowi, który się do niej pięknie uśmiechnął, i złoty talar mu dała. Przyszła też wiejska kobiecina, która na krakowski targ przyjechała. Febra jakoś nią trzęsie. Przepisał jej Bartek zioła na poty. Chce się kobiecina wypłacić, lecz Bartek spojrzął na nią i głową potrząsnął. Zdała mu się uboga, drobna i stara właśnie jak własna matka. Ale babina nie chciała łaski doktorskiej. Dała mu więc gęś. Co było robić? Wziął Bartek gęś, upiekł ją i zjadł na obiad. Tak to leczył Bartek, wiedzę Medikusa stosując, a własnym dowcipem ją kraszając. Odwiedzało go też chorych co niemiara. Kwękających, kaszlących, spuchniętych, przygiętych. Zebrał więc Bartek talarów skrzynkę i pięknie się upaśł na znoszonych przez chorych ze wsi kurach, kaczkach, kielbasach.

Po dwu tygodniach powrócił doktor, swego chorego z zimnych gęsich humorów wyleczywszy.

- No, jak ci się wiodło, Bartek? - pyta. - Chyba dobrze, boś potłuścił zdrowo.

A Bartek pokazuje mu skrzynkę talarów i o swym leczeniu opowiada.

- Ha, kiedy tak - rzecze wysłuchawszy go Medikus - musim się rozstać. Bo na dwóch doktorów miejsca tu nie ma.

- Ano, cóż robić? - zgodził się Bartek. - Jużem się pięknie doktorowania wyuczył. Pójdę teraz w swoje strony. Teraz tam ludzi leczyć będę. Tych ze wsi i z miasta, i może z zamku. Bo jest opodal wsi zamek kasztelański o sześciu wieżycach. Bądźcie więc zdrowi, doktorze, a insi - niech wam na zdrowie chorują.

- Nawzajem, Bartku. Bądź zdrów.

Poszedł Bartek z Krakowa. Talary w tłumok wpakował, chleba, słoniny, kiełbas na drogę zabrał. Idzie. Wyszedł z bramy miejskiej, obejrzał się za siebie. Słońce stało nad Krakowem złocąc jego wieżycy i dachy. Korona na wysokiej wieży skrzyła jak złocisty otok. Wtedy postłyszał głos hejnału i zdawało mu się, że ostatni urwany dźwięk tknął go prosto w serce. Zabolalo. Obejrzał się Bartek na miasto raz jeszcze i westchnął. Po czym szybko odszedł drogą wiodącą ku rodzinnym stronom.

Szedł dzień cały, wieczorem doszedł do szerokiego rozlewu i jał stapać pomaleńku, bo choć znał zdradny moczar, iść tędy o zmroku było niebezpiecznie. Ciemne mgły snuły się nad grzęzawiskiem, nad trzciny dźwignął się pomaluśku rumiany księżyc. Bartek szedł rudą smugą blasku. Nagle przystanął. Za kępą drzew bielilo się coś niby postać kobiety w chuście. Wraz dobiegało stamtąd zawodzenie:

- Oj, żeby mnie kto przeniósł przez to bajorko...

Słucha Bartek. Serce mu drgnęło. Myśli:

"Przeniosę tę babinę przez mokradła. Wywdzięczy się czy nie -wszystko jedno. Przeniosę".

Podszedł do skulonej za wierzbą postaci i powiada:

- No, matka. Przeniosę was.

I przychyliwszy się do niej, wziął ją na plecy. Lekka była, a tak chuda, że gdy ją niósł, zdawało mu się, iż słyszy klekotanie jej kości.

- Piękne dzięki - odezwie się kobiecina. - Piękne dzięki, chłopaku. A jak ty się zowiesz?

- Bartek. - Więc: dzięki, Bartku. Suchą nogą przez trzęsawisko się przeprowadzę. He... he... Wielcem rada. Tedy sobie pośpiewam.

To rzekłszy poprawiła się na Bartkowych plecach i zawodzącym głosikiem śpiewać zaczęła:

Każdy o mnie niech pamięta, i hrabiowie, i książęta, rzemieślniki, pany, kupcy, wszyscy mędracy, wszyscy głupcy... Bo i cesarz, i władyka z mocą moją się spotyka.

- Takaś ty mocna, kobieto? - zaśmiał się Bartek.

- Mocnam! - odburknie kobiecina i na plecach Bartkowych się mości, znów swą zawodzącą piosenkę pośpiewując:

Bo i cesarz, i władyka z mocą moją się spotyka.

Echo niosło ten pośpiew po rozlewie i słyhać było tylko głos starej. Umilkły wreszcie inne: szelest liści i wody, szurpotanie trzciny na wietrze. Księżyc wzniósł się nad trzęsawiskiem, a jego światło zdało się Bartkowi martwe jak blask stali. Chłód go przejął i dreszcz przebiegł po grzbiecie.

- Nie drzyj, nie lękaj się, chłopaku - rzecze kobiecina. - Oddałeś mi przysługę, jać wdzięczna być umiem. Wieszże, kogo przez zalew niesiesz?

- Nie... - wybąkał Bartek, choć nagle zabłysła mu w głowie dziwaczna na pytanie kobiety odpowiedź.

- No, mój ty chłopaku, co tu dużo gadać: śmierć jestem. Toć nie ma się czego wstydzic. Śmierć. A ty kto?

- Ja - doktor.

- O! Tośmy się zeszli! Dobrze się składa. Posłuchaj! Łatwo mi będzie wywdzięczyć ci się za przysługę. Gdy przyjdiesz do chorego obłożnie, obaczysz mnie zawsze. Jeśli będę w nogach

łóżka stać - lecz chorego, jak tam umiesz. Bo tak czy owak - wyzdrowieje. Jeśli jednak w głowach będę stała, nie waz się go leczyć. Bo tak czy owak - ja go zabiorę. Tak się zrywamy. Zgoda?

- Zgoda - mówi Bartek.

- Jeślibyś jednak umowy nie dotrzymał i chciał tych chorych, co do mnie należą, leczyć, to choćbyś chorego z moich rąk nawet wydarł, sam to życiem przyplącisz. Zgoda?

- Zgoda - rzecze Bartek. - Czemu nie?

I nagle znów dreszcz po plecach mu przeleciał.

- Czemuś się, chłopie, zatrząś jak osika? - pyta śmierć. - Ciężko ci mnie nieść? Ale toć i koniec mokradła. Bywaj zdrów!

I nim się Bartek obejrzał, zeskoczyła mu z pleców, kośćmi zaklekotała i znikła.

Bartek wstrząsnął się. Lecz że nie był strachliwy, więc skrzepił się w sobie i ruszył dalej, myśląc:

"Cóż to? Czy mi się co złego przydarzyło? Gdzie zaś! Nie ma na świecie drugiego doktora, co by ze śmiercią był w znowie. Teraz mi się dopiero sypną talary! Teraz dopiero będziemy się dobrze mieli, ja i moja matka stara".

I prawda: wrócił Bartek do swojej wsi i zaraz z całej okolicy jęli doń chorzy ciągnąć, wozy, powózki, pojazdy, karoce po niego ślać. Doktor był z niego nad doktory. Gdy tylko do izby wszedł, zaraz mówił, czy chory umrze, czy wyzdrowieje. Nigdy się nie omylił. A o kim rzekł, że zdrowy będzie, nie zdarzyło się nigdy, by go nie wyleczył. Nic dziwnego, że takiemu doktorowi sypały się do szkatuły złote talary.

Żył tedy wielce dostatnio. On i matka jego.

Pobudowali sobie nowy szeroki dom z modrzewia, gontem kryty Koło domu zasadzili ogród cienisty, piękny warzywnik i sad. Pobudowali oborę, stajnię, stodołę, chlewy. Wszystkiego dobrego mieli w bród. Wszelako stare matczyisko dopytywało się nieraz:

- Jak ty, synisko moje, leczysz? Całkiem po głupiemu. Ni tak, ni siak. To samo ziele dajesz na zamróz, na gorączkę - to samo. Ej, coś mi się zda, Bartuniu, żeś tego doktorowania ledwo liźnął i rzecz jeno sprytem gonisz. A to długo trwać nie może. Skończą się dobre czasy!

Lecz Bartek śmiał się:

- Nie trapcie się, matko! Prędko zostałem doktorem, prędko do majątku doszedłem. Cieszcie się z tego.

- Otóż w tym rzecz, że to wszystko za prędko. Nazbyt krewki jesteś, synu. I od trudu wykpić się wolisz niż się z nim zmierzyć. Tedy się o ciebie lękam.

- Nie lękajcie się, matulu. Bogatym i sławnym!

Prawda, sławny był Bartek na całą okolicę. Nie zdziwił się więc, gdy któregoś majowego wieczoru zajechał piękny pojazd i wysiadł z niego wysłannik kasztelana, prosząc, by doktor co tchu na zamek z nim jechał. Zachorowała bowiem kasztelanka.

- Córka kasztelana? - zapytała Bartkowa matka widząc, że się syn koło odjazdu krząta.

- Córka? Ta pannica, co jej żadna prządka dość pięknie płótna nie utka? Żadna krawczyni krojem sukni nie dogodzi? Et!

- Taka ona czy inna, jechać muszę, gdy kasztelan wzywa. Bywaj zdrowa, matko!

Pożegnał Bartek matkę staruszkę i do pięknego pojazdu skoczył. Zagrzmiały kopyta końskie, ruszyły rumaki spod domu modrzewiowego do kasztelanii. Wieczór już był i majowe słowiki kłaskały w bzach i głogach. Rączo gnały bystre konie i wnet stanęły na dziedzińcu kasztelańskiego zamczyska. Wybiegli pacholki, drzwi pojazdu otwierają, doktora Bartka do chorej kasztelanki prowadzą.

Wchodzi Bartek do paradnej komnaty. Spoczywa w niej na łożu rzeźbionym bledziuchna dziewczyna. Ledwo tchnie. Któż by uwierzył, że te pobladłe usta wykrzykiwały krzywdzące stare prządki słowa? Któż by uwierzył, że te drobne, bezsilne ręce zaciskał w pięści gniew? Żal się zrobiło Bartkowi tej bledziuchnej dziewczyny, zbliżył się do niej - i zadrzał. W głowach rzeźbionego łoża stała śmierć. Tymczasem podszedł do niego okazały kasztelan, kasztelanowa, krewni i o zdrowie panny się dopytują.

- Ostawcie mnie z chorą samego! - rzecze Bartek. - Wnet się do doktorowania wezmę.

Wyszli rodzice panny na palcach, wyszli za nimi krewni obzierając się ciekawie na sławnego doktora. A Bartek do śmierci krewko rzecze:

- Ejże, moja jasnokoścista pani! Ustąp mi raz! Chcę, by ta dziewczyna żyła.

Śmierć wzruszyła ramionami.

- Chyba ci się język poplątał, chłopie! Jak do mnie mówisz! Pomniszże naszą umowę? Stoisz czy nie?

- Pofolgujcie ino raz, Kostuchna, Kostusieńka...

- Ej, Bartku, Barteczku! Ani mi w głowie! I dlaczego miałabym ci tym razem ustąpić? Dlaczego? Dla tej małowartej dziewczyniny? Cóż to? Urok na ciebie rzuciła?

- Czy ja wiem? Bledziusieńka, drobnusieńka. Odstąpcie mi ją, Kostuchna! Stańcie w nogach łóżka. Będę tę pannę leczył.

- Tak ty umiesz leczyć, jak umowy dotrzymywać. Chybkiś, a myśli w tobie mało. Wiatr ci w głowie śwista.

- Stańcie w nogach łóżka.

- Nie stanę.

- Stańcie!

- Chybaś do reszty rozum postradał! Gdybym to uczyniła, nie ta panna, ale ty sam wpadłbyś w moje ręce.

- Dajcie nam obojgu żyć, Kostuchna!

- Znów się chcesz wymigać. Ale ja nie ustąpię. Ani - ani!

- Kostusieńko!

- Nie!

- E! - krzyknie Bartek. - Kiedy wy mi tak, to i ja wam tak!

I chwyciwszy w mocne ręce rzeźbione łóżko, obróci nim: raz - dwa! Ani się obejrzała śmierć, a stoi w nogach łóżka.

- No, no! - kiwnęła głową. - Ale cię poniosło, krewki chłopie! Przecie z moim słowem igrać nie wolno. Jakeśmy się umówili, tak będzie. Wnet się zobaczymy, i to na wieki wieków. Bywaj, impetny kawalerze!

I rozwarłszy chude ramiona, na których rozpostarła się jej biała chusta, uleciała śmierć przez okno kasztelańskiego zamku. Spojrzał Bartek na kasztelanównę. Na jej twarzyczkę powrócił rumieniec, usta uśmiechnęły się psotnie. Otworzyła oczy ciemne, bystre jak ślepia sroki, siadła na łóżku, w ręce kłaśnie i wrzaśnie piskliwie:

- Lepiej mi! Ejże tam, Bogusia! Kachna! Rzepka! Dawać wieczerzę! Ale bułka świeża musi być, a mleko ani za zimne, ani za letnie, ani za gorące. Bogusia! Rzepka! Kasia! Prędeż, bo was za uszy wytargam! Już!

- Nagle ujrzała Bartka.

- Ktoście? - Doktor.

- Nie potrzeba mi doktora! Ozdrowiałam! Wynoście się stąd teraz! Tatuśko wam, co trzeba, zapłaci!

I odwróciła się od Bartka główką. Ścisnęło się serce Bartkowe. Ni to żalem, ni to goryczą, ni to zachwytem. Zdawało mu się, że słyszy jeszcze wykrzykiwane krzepkim głosikiem słówka, ostre jak cięcia ekonomskiego bicza. Spojrzał ostatni raz na pannę i wyszedł. W drzwiach natknął się na biegnące zastrachane dworki. Śpieszyły się, aż im brakło tchu, bo ostry głosik odezwał się znowu:

- Kachna! Bogusia! Prędeż! Bo jak was trzepnę!

Za dziewczętami biegł zdyszany kasztelan i wpadłszy na Bartka chwycił go za ramiona, radośnie wykrzykując:

- Zdrowa moja córuś, zdrowa! Już i po swojemu gada, wesolutka! Dzięki wam, doktorze!

I odpiąwszy od pasa złotem dzwoniącą sakwę, w garść ją Bartkowi wpycha. Lecz Bartkowi wydało się dziś to złoto czymś jeno na kształt blaszki połyskliwej. Odsunął sakwę pańską.

- Dzięki wam, panie kasztelanie - odpowiada. - Ale inne tu będą obrachunki za waszej córki zdrowie.

- A ile? Ile? - pyta niecierpliwie kasztelan.
- Jutro się policzym. Teraz mi do domu śpieszno.
- Niechaj więc będzie jutro. Do zobaczenia, doktorze.
- Żegnaj, panie kasztelanie.

Kasztelan złożył dłonie przy ustach i na cały zamek huknął:

- Ej tam! Pachołki! Podprowadźcie pojazd doktora!

Wyszedł Bartek na zamkowy dziedziniec, a tu konie rżą, kopytami o ziemię niecierpliwie biją.

Dwanaście tych koni - same najpiękniejsze siwki do szczerozłotej karocy wprzęgnięte. Znaj, doktorze, kasztelana! Oto dzisiaj jest ci dana szczerozłota ta kolaska i te konie - piękne czarty! Znajże kasztelańską łaskę, choć tyś tylko doktor Bartek!

Lecz doktora nie zdawał się radować ten dar wspaniały. Milcząc rzucił się na miękkie wyściełanie karocy i ręką na woźnicę skinąwszy, do domu wieść się kazał. Toczyła się karoca wiejską drogą, a Bartek myślał. Myślał, że dotąd wiodło mu się jeno dla sprytu jego a filuterii. Lecz krucha to była podpora. I przecież: pękła. Filuteria dziewczyny mocniejsza była snadź od niego, gdy go, choć w chorobie osłabła, zwyciężała.

- Zdrowa filutka... - powtórzył Bartek słowa kasztelana i uśmiechnął się gorzko. - Nigdy z sobą władać nie umiał - westchnął i wpatrzył się w leżący w mroku świat.

Karoca mknęła drogą obok drzew i krzewów w majowych kwiatach. Ozwała się w nich jak hejnał ptasi strzelista nuta słowiczego śpiewu. I umilkła niby nie dokończony zapytanie.

"Nie tak trzeba było żyć - pomyślał Bartek. - Nie tak. Zbłądziłem. Ha, trudno. Raz kozie śmierć!"

Rączo wbiegło dwanaście siwków na niziną drogę koło zalewu. Srebrzył się on pięknie, bo księżyc już był wstał. Mgły snuły się nad wilgotnymi trawami, z błot śpiewnie rechotały żaby.

Nagle zza wierzb ozwała się piskliwa jak brzęczenie komarów piosenka: Coś tam w lesie huknęło, coś tam w lesie stuknęło, a to komar z dębu spadł, złamał sobie w krzyżu gnata. Miał on pogrzeb niemały, wszystkie muchy płakały i śpiewały rekwije:

- Już nasz komar nie żyje!
- Iii... - zapiskoliły komary nad rozlewem niby wtór.
- Oho! - mruknął Bartek.
- Jest ci tu gdzieś Kostucha blisko!

Ledwo to rzekł, dwanaście koni wryło się kopytami w mokrą ziemię i jęło uszami strzyc i rzeć.

- Czekajcież - rzecze Bartek do woźnicy.

Wysiadł z karocy i po mrocznym mokradle się rozgląda. Za łożami mignęło mu coś niby płachetka biała.

"Ano jest - pomyślał Bartek. - Trzeba iść na jej spotkanie".

I odszedł od karocy w mokre łąki. Chmurka komarów kołowała nad nim, brzęcząc:

- I-dziesz? Iii-dziesz?

Bartek machnął pięścią w kołujące nad nim stadko.

- Idę. Innej rady nie ma. Jeśli do Kostuchy nie pójde, przyjdzie ona do mnie.

Już i zbliżył się do łoż. Wystąpiła zza nich śmierć i powiada:

- Pięknie to, że się z naszej umowy nie wykpiwasz. Chodźże za mną.

Poszedł Bartek.

Szli rozlewem długo, wreszcie stanęli przed wielką jamą, nad którą chwiały się płomień błędnego ognika.

- Chodź ze mną do tej jamy, Bartek - rzecze śmierć. - To moja chałupa.

Weszli oboje do niej.

Patrzy Bartek: na ścianach jamy, pajęczyną osnutych, przytwierdzone są police szerokie, a na nich goreją świecące płomyki. Jedne palą się równiuchno, jasne i strzeliste, inne ścielają się skwiercząc, inne całkiem przygasają.

- Co to za światełka? - pyta Bartek.

- To światła ludzkich żywotów - odrzeczcie śmierć. - Te jasne płonące palić się będą długo jeszcze. Inne, spójrz, już gasną.

- A które to światło życia kasztelańskiej córki? - pyta Bartek.

- To - wskaże mu śmierć jasno płonący, trzaskający wesoło jakby zalotny płomyczek.

- Ano, siła twojego płomyka snadź w ten pański przeszła, bo spójrz!

I ukazała śmierć Bartkowi płomyczek, który już gasł.

- Ano, tedy się śmierci nie wykpiłem! - zawołał Bartek i u nóg Kostuchy padł.

- Szczwany był chłopak, ale myśleć ni pracować mu się nie chciało - westchnęła śmierć. - O! skończyła się moja spółka z Bartkiem doktorem.

Tak to kończą się dzieje Bartka.

A działo się to, co się naprawdę działo, lat temu pięćset i jeszcze sto.

Dziś już, wiecie, inaczej jest z doktorami i trzeba by inaczej baśń o doktorze - chłopaku ze wsi i o płomykach żywota ułożyć. Ale niechajże stara baśń zostanie tam, w przeszłości, żartem i strachami sędziwych przątek ozdobiona, a dziś jeszcze w opowieści chłopskiej znana.

Jeśli zaś chcecie z ust ludzkich ją posłyszeć, jedźcie do Stanisławowic nad rzekę Rabę. Tam ją znają.

Hanna Januszewska

Ojcowska legenda



Było to w czasach Jagiełłowego panowania.

Na skalistym zboczu gór rycerz Bolech, zwany Wielgoszem, zbudował kamienny, wieżasty zamek. Skały barwę miały jasną niby księżycowe światło, a u ich podnóża płynął wartko srebrnobłękitny Prądnik. Zamek był piękny, jak przystało na rycerską siedzibę, i piękna była cała okolica. Tylko rycerz Bolech szczęścia tu nie zaznał. Jego ukochana małżonka zmarła przy urodzeniu córeczki, a on sam był ciężko chory. Nogi miał bezwładne i całe dnie spędzał w komnacie, na ławie pięknie rzeźbionej, wyłożonej wilczymi skórami. Mijały lata. Smutno było w zamku nad Prądnikiem - tylko czasem rozpraszał ten smutek perlisty śmiech jasnowłosej Elżbietki, jedynej córki Bolecha. Rycerz kochał swą jedynaczkę, ale najchętniej widział ją, jak ujeżdżała niespokojne konie, wywijając małym mieczem lub próbowała naciągnąć kuszę. Elżbietka zaś, cicha i spokojna, wolała zrywać kwiaty, haftować płótno złocistymi nićmi i spędzać wieczory przy kołowrotku. Pewnego dnia w słoneczny poranek dziewczyna, wraz z ulubioną dwórką Bedą, rada biegła po łące, zrywała stokrocie i bawiła się w gonionego. Ale zaledwie zmęczone dziewczęta przysiadły nad brzegiem Prądnika, aby chwilę odpocząć, usłyszały głośny tętent. To jakiś rycerz na czarnym koniu pędził w stronę zamku na czele małego orszaku.

- Któż to może być? - Beda podniosła się szybko. - Wracajmy, Elżbietko, zobaczymy, kto przybywa w gościnę!

Pochwyciły się więc za ręce i szybko pobiegły do zamku.

Gość siedział tymczasem przy łóżu Bolecha i powiedział:

"... przeto aby zgnieść potęgę zakonu krzyżackiego, król jegomość wzywa całe rycerstwo..."

Przystanąwszy za drzwiami ojcowskiej komnaty, Elżbietka słyszała potem, zmieniony przez rozpacz, głos ojca:

- Okrutnie mnie los doświadcza, zem niemocą złożony i w tej potrzebie nie mogę stanąć. Rany wojenne mi się odnowiły i moc wszelką w nogach mi odjęło. Konia dosiąść nie mogę. Gdybym miał syna, co by zamiast ojca za miecz mógł chwycić...

Elżbietka nie słuchała już dalej, tylko śpiesznie pobiegła do swojej komnaty. I z Bedą już więcej tego dnia nie rozmawiała ani do kołowrotka nie siadła, tylko chodziła po izbie nad czymś rozmyślając. Jeszcze potem w nocy Beda słyszała jej niespokojne kroki. Na drugi dzień od rana na próżno szukano Elżbietki. Nie było też jej w zamku ani w dolinie, ani w pobliskich zagajnikach. Nie było też w stajni jej jabłkowitego konia, a z zamkowej zbrojowni zniknęła zbroja z błękitnej stali i tarcza z godłem rodowym Wielgoszów. Nie było też i miecza, który ongiś Bolech Wielgosz zdobył, potykając się z frankońskim rycerzem. A Elżbietka, ukrywając pod hełmem jasne warkocze, ujęła w swoje dziewczynskie ręce ten miecz i - jak mówi legenda - zamiast chorego

ojca stała w grunwaldzkiej potrzebie. A że godnie wsławiła imię ojcowe i ojcową stała się dumą - od tego czasu zamek nad Prądnikiem i całą okolicę zaczęli ludzie nazywać Ojcowem, co do dzisiejszych dni pozostało.

Zaś jeszcze przeszło sto lat temu podróżni, którzy zwiedzali zamek ojcowski, mogli oglądać na jednej ze ścian zniszczone przez czas malowidło: wizerunek dziewczyny o jasnych warkoczach i łagodnej, zadumanej twarzyczce. W ręce trzymała kwiat stokroci.

Być może, waleczny rycerz Bolech, zwany Wielgoszem, pozwolił córce, gdy z wojny wróciła, zbierać kwiaty, wic wianki i zasiadać przy kołowrotku?...

Maria Krüger

Bonarowe denarki



Możny i bogaty był Jan Bonar z Balic, na Ogródzieńcu i Kamieńcu pan i dziedzic, wielkorządca Zygmunta Starego, mąż najświetniejszy i w kraju najpierwszy, słynny z gospodarności zwłaszcza i rozlicznych prac, jakich w swym życiu dokonał. On to bowiem dobra koronne i myta z zastawu wykupił, dworzanom króla zasługi z dawna nie płacone, jak i bieżące, uiścił, co sumę bardzo wielką na owe czasy stanowiło. Kopalnie olkuskie i wielickie urządził od nowa, by lepsze korzyści dawały. Zamek Wawel odnowił z Włocha Loriego pomocą i powznosił liczne a piękne po różnych miastach budowle.

Oświecony i sztukę wojenną znający, twierdze stawiać u granic nakazał, a miasta opasać murami, stąd mieszczanie krakowscy za rządność go bardzo chwalili, a królowie nagradzali szczerze to starostwami, z których wielka do skarbcza Bonarowego wpływała intrata, to żupienictwami, a nawet księstwem oświęcimskim samym.

Prosty lud na Podzamczu, w Ogródzieńcu i Kromołowie mniej go wprawdzie chwalił i niezbyt miłował, sępem bowiem go zwano i jastrzębiem żarłocznym, który się chowa przed prawem w jaskiniach zamkowych niby w gnieździe swoim drapieżca. Ale któż zważał na to? Kto bronił w tym czasie łupów jastrzębiom i sępom?

Zdobył tedyż Jan Bonar i prawo bicia monety, denarków, jak wiadomo, literką "B" oznaczonych. Wiele miało ich być w Ogródzieńcu po skrzyniach i schowkach tajemnych zamczyska. Tak wiele, że z czasem ród Bonarów Denarami lub Denarkami przezwano w okolicy.

Stara klechda powiada, że w zamku Ogródzieńcu przed laty dawnymi mieszkali dwaj bracia - rycerze, Denarkowie z przezwiska.

Miłowali się bardzo i wszędzie razem bywali, a nawet polecili swym sługom, by po śmierci pochowali ich w jednym grobie i właśnie na zamku, pod basztą, w najniższym podziemiu.

- Czemuż to? - dziwowali się słudzy. - Czyliż nie przystojniej by było dla takich rycerzy spocząć w krypcie kościoła?

- Nie! - odpowiedział im wtedy klucznik, mąż blisko wiekowy. - Oni spocząć nie zechcą w kościele, bo tam przecież nie zaniesiemy im worów i skrzyń z monetami. Nazbyt ciężkie są i nazbyt ich dużo! A bez swoich pieniędzy Denarkowie nie znajdą spokoju w grobie. Nie dla nich jest granie dzwonów. Nie dla nich pienia pobożne. Bo rabusie to są, zdierycy ludzi ubogich i żałowania niegodni. Ich występki są cięższe od skrzyń z denarami i liczniejsze od worków ze srebrem. Niech więc legną, jak chcą, obaj razem, na zamku i w najgłębszym podziemiu, a blisko swoich pieniędzy.

Zeszli bracia ze świata obaj jednego dnia i pochowano ich tak, jak tego sobie życzyli. Ledwie jednak z zamczyska rozjechali się możni panowie, którzy na pogrzeb Denarków przybyli, ledwie ostatnia zagasła u bramy pochodnia, tuż przed północą, kiedy na łące, która wioską Podzamcze od murów Ogródzieńca rozdziela, tętent podniósł się nagle i ozwało się granie na rogu. Wyjrżeli zza blanków strażnicy, wyjrżeli ze strzelnic - okienek na wszystkich trzech basztach kamiennych.

- Któż by to jechał na zamek tak późno? - pytali jeden drugiego w zdumieniu.

- Rycerze jacyś... Ze świata pewno dalekiego, bo takich tu nie widziano... - odpowiedzieli dwaj giermkowie Denarków, którzy dla ciekawości wybiegli za bramę, ale zaraz wrócili zdyszani.

- Dziwni to goście, osobliwi rycerze - mówili - noc przecież dokoła, a od nich żar czerwony bije jak z pieca. Iskry lecą spod kopyt ich koni, płomienie buchają z nozdrzy rumaków, a kiedy jeden z nich grać poczyna na rogu, to dym smrodliwy razem z głosem uchodzi, odurza i z nóg wali.

- To Zły! A z nim jego piekielna drużyna! - krzyknęli w lęku okrutnym strażnicy.

- To diabli, druhowie pomarłych braci - rabusiów i łotrów! - powiedział klucznik, który zszedł właśnie z baszty najwyższej ku bramie i tam stanąwszy na wale kamiennym spozierał na błonie.

Na jego ciało wystąpił zimny pot.

Szatani byli to w rzeczy samej. Straszni, kłapali zębami jak wilcy. Ogniste swe rumaki popędzali ogonami, hukając na konie i gwiżdżąc przeraźliwie.

- Na tryznę ściągnęli tutaj... Na śmiertelną ucztę... - szeptali ludzie na murach w ostatnim przerażeniu. - Na braci Denarków wspominki...

- Ojczce! - zawołał syn klucznika. - Ratujmy zamek!... Nie dopuszczajmy tu Złego z drużyną... Zginiemy wszyscy!

- Ale jak się ratować? - rozpaczały niewiasty. - Przecież się piekielników strzała i kula nawet nie mają! Sam oddech czarci porazi dziatki nasze! Pomrą!

- Co zrobić mamy?! - wołano.

Tymczasem Zły był już blisko bramy i wieścił swoje przybycie coraz głośniejszym graniem na rogu. Trzęsły się ściany zamku, pękała ziemia na dziedzińcu, zjadliwe dymy przenikały do baszt i komnat.

- Co zrobić, ojczce? - w trwodze pytał syn klucznika.

- Co nam zrobić?! - wołano ze wszystkich stron.

Starzec w odpowiedzi dobył wielki pęk kluczy ze swej głębokiej kieszeni, wybrał z nich najmniejszy, z dawna nie używany, śniedzią zieloną pokryty, podał go synowi i rzekł:

- Pójdź do małej komnatki bez okien, pod basztą wschodnią. Tym kluczykiem otwórz drzwi. Owa komnatka to dawna zbrojownia, od braci Denarków kiedyś zapomniana i pusta prawie, bo tylko cztery miecze wiszą tam na ścianie. To poświęcone miecze, bardzo stare. Wiem, że przenigdy do żadnych złych czynów broni tej nie użyto. Weź miecze i przynieś je tutaj.

Zadrżała brama na te klucznikowe słowa, osypał się z muru ukruszony kamień.

Wzmogły się wycia i chichoty piekielnej drużyny.

- Pospieszaj... - rzekł ojciec synowi.

Chłopak pobiegł i wrócił niebawem na dziedziniec przed bramę niosąc cztery poświęcone miecze.

- Weź jeden sobie - powiedział klucznik - a te trzy rozdaj swym druhom, takim, co są prawego serca i wielkiej odwagi.

Z mieczami nad grobem braci w podziemiu staniecie i strzec go będziecie, aż rozednieje. Poświęconego miecza ulęknie się Zły, odejdzie, gdy pozna, że mu tu tryzny odprawić nie damy.

Poszedł młodzieniec i miecze rówieśnikom swym rozdał. Żaden z nich rąk do przemocy nie przykładął w swoim życiu i ust kłamstwem nie kalał.

Stanęli nad mogiłą Denarków i skrzyżowali miecze ponad nią, w lochu głębokim, głuchym i ciemnym, w najgłębszej z piwnic Ogrodzieńca. Stojąc nad grobem z mieczami w ręku słyszeli strażnicy łomoty srogie, jakby taranem ktoś wielkim uderzał w mur, słyszeli wycie ochryple i chichoty, od których im po ciele przechodziło mrowie.

Drżała pod nimi ziemia, ale wtedy mocniej przywierały do siebie cztery skrzyżowane głównie mieczów żelaznych, poświęconych. Na koniec otwały się w grubym piwnicznym murze szczeliny głębokie, a z nich sączyć się zaczęła jasność jakby słoneczna. Patrzą młodzieńcy, patrzą zdumieni i przerażeni, a tu w głębi owych szczelin pieniądze błyszczą - denarki szczerozłote i srebrne, a tyle ich, że choć czapkami mierzyć! I słyszą głosy, jakby dwaj bracia mówili spod ziemi:

- Bierzcie je sobie... Bierzcie denarki złote... Na co czekacie? Tyle ich leży tutaj! Nie ubędzie wcale. Bo tam pod ziemią, jak zamek szeroki, leży ich jeszcze wiele w mocnych skrzyniach. W workach i garncach... No? Cóż stoicie? Opuśćcie już miecze! Toczyły się denary po jednym, po dwa, potem strumieniem całym popłynęły pod nogi czterech strażników.

- Odrzućcie precz ciężkie żelazo! - słychać było ciągle nie wiedzieć skąd dziwny głos. - Czy nie lepsze jest złoto? Czy nie miłsze wam srebro? Ustroi was ono i nakarmi. Ucieszy... Odrzućcie tylko żelazne miecze!

Nie usłuchali wartownicy namowy. Stali wciąż z mieczami w ręku, milczący, nieporuszeni, choć ramiona im mdlały i uginały się od strachu nogi. I długo to trwało, długo, aż jasny blask monet zaczął przygasać powoli, w lochu od nowa zagościł mrok, maleńkie bowiem lampki olejne ledwie się tliły wysoko pod sklepieniem, nikły i migotały blade jak ostatnie gwiazdy przed świtem. Słychać już było tylko zmęczone oddechy młodych strażników. Czuwali w tej ciszy, póki klucznik nie uchylił ciężkich żelaznych drzwi.

- Rozedniało już, chłopcy! - powiedział. - Przegnała gościa piekielnego jasność dnia! Chodźcie już stąd! Czas odpocząć wam teraz.

Młodzi opuścili miecze, a klucznik poprawił knoty u lamp. Pojaśniało w lochu. Syn klucznika powiedział:

- Ojcie! Widzieliśmy tutaj pieniądze... Dużo pieniędzy... Denary złote i srebrne... Tu były, i tu. Rozstąpiła się ściana, a one sypały się nam pod nogi.

- Jakie pieniądze? Skąd? - pytał starzec. - Bracia - rycerze nie powiedzieli nigdy nikomu, gdzie je ukryli. Wiemy tylko, że było tych pieniędzy dużo, że są gdzieś tu w zamku, a wy...

- Tu były! Sypały się ze szpar w murze - powtórzył syn klucznika i mieczem ukazał na ścianę. Nie było na niej widać nic prócz ciemnozielonych kłaczków mchu.

- Opoka tu sama, nic więcej, synku - pokiwał głową starzec - ot, gruba tylko, a krzepka budowa na zaprawie, co przetrwa jeszcze wieki. Mamiono was tak tylko, jak zwyczajnie kuszą diabłowie, aby człowieka powolnym sobie uczynić. Nie usłuchaliście, tedy i przeszło, a tym sposobem Zły mocy ani nad wami, ani nad zamkiem nie zyskał i poszedł sobie. Wrócić jednak może! Nie ustawajmyż w baczeniu! Przez wiele nocy czuwali jeszcze młodzi strażnicy w podziemiu stojąc nad grobem braci Denarków z poświęconymi mieczami. Odpędzali tym sposobem Złego. Kiedy odeszli strudzeni czuwaniem, ich miejsce zajęli inni, a wszystko ze wsi pobliskich spod Ogrodzieńca i okolicy.

Tak było przez wiele lat, póki zamek nie rozpadł się w gruzy i nie zasypał na wieki ciężkim rumowiskiem lochu pod wielką basztą, gdzie w mroku wiecznym i zapomnieniu po dziś dzień odpoczywają bracia Denarkowie.

Kornelia Dobkiewiczowa

Legenda o Wiśle



Wysoko nad szczytami gór wznosił się stary dwór króla Beskida, władcy całego pasma górskiego, i jego żony, Borany, władczyni okolicznych borów. Przez wiele lat oboje rządili mądrze i sprawiedliwie, toteż wszyscy z żalem przyjęli wiadomość o śmierci starego króla. Borana wezwała wtedy troje swych dzieci, by zgodnie z wolą króla podzielili się władzą.

- Ty, Lanie, jako syn najstarszy, opiekować się będziesz polami i łąkami. Wy zaś obie, Czarnocha i Białka, rozprowdzicie wodę z górskich strumieni po polach i łąkach Lana, by wszystko, co żyje, miało jej pod dostatkiem.

Żywa, zawsze pogodna i wesoła Białka uśmiechnęła się do siostry i skacząc, i tańcząc zbiegła po skałach ku widniejącym we mgle dolinom. Poważna i zasepiona Czarnocha skierowała się na drugą stronę góry królowej Borany i ostrożnie zaczęła schodzić po zboczu. Wkrótce obie siostry spotkały się u podnóża.

- Płyniemy dalej razem! - zawołała ucieszona Białka.

- Nigdy się już nie rozstaniemy - zapewniła Czarnocha.

Nagle przegrodziła im drogę skała, pod którą czekał rycerz Czantor w kamiennej zbroi.

- Zatrzymajcie się, piękne córki Beskida i Borany. Dokąd tak spieszycie? Po co chcecie iść do nieznannej, odludnej i dzikiej krainy? Zostańcie tu.

Siostronom podobała się ziemia Czantora. Zostały więc i z wdzięczności za gościnę zrosiły strumieniami zbocza doliny, aż zakwitły tysiącami różnobarwnych kwiatów, jakich nikt tu jeszcze nie widział.

Ale Ziemia rozkazała Czantorowi przepuścić córki Beskida przez skały, by poniosły wody dalej ku północy.

- Nie mogę pozwolić, byście obie popłynęły w obce strony. Wyślijcie przodem jedną falę na zwiady - poradził. - Niech się rozejrzy, a gdy wróci, opowie, co widziała...

Czantor rozsunał skały i pierwsza fala wyszła przez nie onieśmielona, niepewna, co ją czeka.

- Idź, falo, któraś wyszła - żegnały ją siostry. - Idź przed siebie i wracaj co prędzej z wieściami o tamtych borach i lasach, o tamtych łąkach i polach...

"Wyszła" - bo tak nazwały tę falę powstałą z połączonych wód - wypłynęła przez skalną szczelinę. Biegła żywo po kamieniach, pluszcząc i szemrząc beztrosko. Mijała ciemne bory i jasne zagajniki, zielone pola i ukwiecone łąki...

Wtem, gdy mijała skałę wawelską, wyskoczył ku niej zacząjony tam potwór okropny, smok ziejący ogniem. Przestraszona, bryznęła mu w oczy pianą wodną.

Zasyczało, zadymiło i oślepiiony smok skrył się na chwilę w pieczarze.

Gdy wyrzął, Wyszła była już daleko.

Płynęła teraz przez urodzajne ziemie ku północy, kręcąc się i wijąc to w prawo, to w lewo, byle jak najwięcej światła zobaczyć, jak najwięcej pól zrosić swą wodą. Przyłączyły się do niej

mniejsze strumienie i rzeczki, które nie miały odwagi same zapuszczać się w obce, nieznaną stronę.

Płynęła coraz wolniej, coraz szerzej, rozlewała swe wody, zmęczone długą drogą. "Czas już chyba zawrócić" - myślała nieraz, ale ciekawość pchała ją naprzód. Aż nagle zniknęły jej przed oczu lasy i pola. Poczła dziwny słony smak, nieznaną zapach dolatywał z północy.

Nad sobą miała szare niebo, przed sobą szarą, nieogarnioną wzrokiem, łączącą się z niebem wodę, spienioną białymi grzywami. To było morze.

- Jakże to groźne, potężne i piękne - szepnęła.

Ale jej cichy głos zagłuszył gwałtowny szum, jakaś siła pociągnęła ją ku sobie i Wyszła, pierwsza fala wysłana z dalekich gór Beskidu, połączyła się z falami morskimi.

Czarnocha i Białka na próżno czekały jej powrotu. Na próżno wysłały za nią jedną falę po drugiej. Wszystkie biegły jej śladem i wszystkie po długiej drodze gubiły się w słonych wodach Bałtyku. Z tych to fal płynących nieustannie powstała wielka rzeka, już nie "Wyszła", a Wisła, od której obie siostry przezwano Czarną i Białą Wiselką.

Hanna Zdzitowiecka

Legenda o Bełkotce



U podnóża gór należących do Beskidu Niskiego leży miejscowość uzdrowiskowa - Iwonicz. Biją tu z ziemi źródła, których woda leczy wiele chorób. Chorzy przybywają z dalekich stron, piją wodę, kąpią się w niej - i wyjeżdżają, jeśli nie całkiem zdrowi, to w każdym razie zdrowsi niż przed przyjazdem. W uzdrowisku wszędzie jest gwaro - ale chyba najgwarniej jest w pobliżu źródeł. Iwoniczkie wody cieszą się sławą nie od dziś. A najślawniejsza z nich - to Bełkotka, która swą nazwę zawdzięcza temu, że stale burzy się i bełkocze, jakby chciała coś powiedzieć.

Mało jest ludzi rozumiejących mowę źródeł (są jednak tacy) i właśnie od jednego z nich usłyszeliśmy ową ciekawą opowieść.

W dawnych czasach było w Iwoniczu źródło o niezwykle przezroczystej wodzie. Wszyscy okoliczni mieszkańcy znali je dobrze, gdyż nie było to wcale takie sobie zwyczajne źródło.

Otóż - rzecz nie do wiary - jego gładkiej i nieruchomej powierzchni nie zmarszczyła nigdy najdrobniejsza fala, choćby na świecie szalała najsrozsza wichura. Woda małego stawku, utworzonego przez źródło, nawet w czasie najgorszych burz była spokojna i gładka jak powierzchnia lusterka.

Zdarzyło się pewnego razu, że jeden Piorun rozgniewał się właśnie na ów Spokojny Stawek, gdyż wyglądało na to, że lekceważy on sobie zupełnie takie potęgi, jak Burza, Wicher, Pioruny i Błyskawice. No i Piorun postanowił dać nauczkę krnąbrnemu stawkowi. Przywołał do siebie Chmurę, usiadł na niej okrakiem i kazał się zanieść nad Spokojny Stawek. Lecąc ku Iwoniczowi spoglądał na ziemię z wielkiej wysokości.

W pewnej chwili Piorun ujrzał wśród drzew gładkie lustro Spokojnego Źródła. Jeszcze bardziej się nadał, jeszcze bardziej pojaśniał, wycelował w sam środek stawku i skoczył. Ostry błysk rozdarł powietrze, suchy trzask przygiął najgrubsze drzewa do ziemi. Piorun przebił powierzchnię wody i poleciał aż do samego dna. Stawek miał podobno dno w samym środku ziemi, a więc nic dziwnego, że Piorun leciał bardzo długo.

Gdy wreszcie dotarł do dna, zupełnie zabrakło mu sił, aby wrócić na powierzchnię. Szarpał się, ciskał, mącił muł zalegający grubą warstwą dna, ale nie mógł się wyrwać na wolność. Spokojny Staw pokazał, co umie: trzymał go z całych sił i nie puszczał.

Dumny Piorun, przyzwyczajony do tego, że się go wszyscy bali, jął z początku grozić:

- Puść mnie, bo cię zniszczę.

- W jaki sposób? - pytał Staw.

- Zagotuję twoją wodę i zamienię ją w parę. Znikniesz na zawsze. Staniesz się nic nie znaczącą chmurką, która będzie fruwać, dokąd zechcą Wiatry.

- Spróbuj - uśmiechnął się Staw. - Jeżeli potrafisz spełnić swe groźby, będę ci wiernie służyć.

Piorun poderwał się do ostatniej próby, zebrał wszystkie siły, ale nadaremnie. Zrozumiawszy, że nie potrafi pokonać olbrzymiej odległości dzielącej go od powierzchni, opadł zrezygnowany na dno Stawu. I od tego czasu Piorun stara się wydostać na wolność.

Świadectwem tych daremnych usiłowań są po dziś dzień wielkie bąble, które wylatują bez przerwy na powierzchnię źródła. Woda wygląda w nim, jakby się stale gotowała. Coś tam w niej bulgocze i bełkocze - i dlatego dawne Spokojne Źródło zostało przez ludzi przezwane Bełkotką.

Powiadają, że od tego czasu pioruny nie biją w to źródło. Nie mają ochoty na niewolę. Uczni twierdzą, że na dnie źródła nie ma wcale żadnego pioruna, a woda burzy się dlatego, że przechodzą przez nią różne gazy, wydostające się z głębi ziemi. Uczni na pewno mają słuszność i trzeba im wierzyć właśnie dlatego, że są mądrzy; ja jednak myślę, że nie pogniewają się na bajkopisarza za opowieść o uwięzionym piorunie. Ba, jestem nawet pewny, że wróciwszy z Bardzo Mądrych Wykładów zamkną się w domu na klucz, aby im nikt nie przeszkadzał, siądą przy biurku i otworzą książkę z legendami, aby sobie przeczytać bajkę o iwonickiej Bełkotce.

Uczni też byli niegdyś dziećmi i lubią sobie o tym od czasu do czasu przypominać...

Stanisław Pagaczewski

O śpiących rycerzach w Tatrach



Przewędrowałem w życiu wiele świata, góry widziałem niebotyczne, pokryte nie tającymi nigdy lodami; widywałem rzeki tak szerokie, że trzeba całej niemal godziny, aby łodzią przepłynąć z jednego brzegu na drugi, siadywałem po dolinach tak cudnych, że ziemia wydawała mi się rajem, patrzyłem na tęcze, które tworzą się w rozbitej na drobne pyły fali ogromnych wodospadów, a przecież tęsknota moja nigdzie nie znajdowała takiego ukojenia jak w naszych Tatrach.

Urok posiadają niewypowiedziany te nagie, granitowe szczyty, te ciemne lasy świerkowe, od wieków ludzką nie tknięte siekierą, te kępy kosodrzewiny, rosnące na zielonych upłazach, te szumne, głośnie siklawice, czyli potoki, po stromych spadające głązach, te turnie w przedziwne poszarpane kształty, te bujne trawy - te stada pasące się latem po halach, ci bacowie i juhasi, to jest pasterze i pastuszkowie, strzegący owiec po murawach lub pod wieczór spędzający je do ogrodzisk.

Słońce tu świeci promieniściej, wichry szaleją potężniej, mgły przewalają się kłęбами tak potwornymi, że zda się nieraz, jakoby chciały te wszystkie góry naokoło przygnieść, zmiażdżyć wilgotnym ciężarem. A przy tym pełno tu jest opowieści, których człowiek rad by słuchał bez końca, tak są piękne i tak głęboką myśl nieraz ukrywają w sobie. Zapewne nie ja sam, lecz także wielu innych wędrowców po górach lubi najbardziej Dolinę Kościeliską.

Przed laty, zawitawszy do niej po raz pierwszy, stanąłem na moście, rzuconym przez potok, i przyglądałem się rycerzowi wykutemu w szarej skale. W szyszaku na głowie, ze skrzydłami u ramion, z mieczem w rękę, pochylił się ten kamienny bohater i śpi. Zadumawszy się nad tą postacią, anim spostrzegł, kiedy za mną stanął długowłosey, osiwiwały góral i rzekł:

- Przypatrujecie się, panie, tej postaci, a pewno nie wiecie, co oznacza. Wykuli ją tu na pamiątkę, że w tych skaliskach, w wielkiej by kościół pieczarze, uspiione leży wojsko. Podobno polskie, a przywędrowało tu od Krakowa czy gdzieś od Poznania i Gniezna. Przewodził mu król znamienity, przesławny; od naszych dziadów i pradziadów mamy wieści, że nazywał się Chrobry. Za naszej pamięci nikt tego wojska tu nie ujrzał, bośmy jeszcze niegodni, lecz przed wiekami był

tu we wsi Kościeliskach czy też w Zakopanem mały chłopaczek, który na lato wyganiał stado ojcowskie do tej doliny na pastwisko. Owce szczypały sobie trawę, pilnował ich biały, piękny pies owczarski, a chłopiec, że był zręczny i niesłaby, wspinał się po tych skałach, zrywał szarotki i dzwonki, czasem i korzeń goryczkowy, dobry na leki, spod ziemi wygrzebał, przeróżne też napotykał jaskinie, do których przed nim nikt jeszcze nie dotarł.

Pewnego razu zabłąkał się w ustron nieznaną, niedostępną, w strasznie czarne urwiska, oślizłe od wody śniegowej, strzelające ku niebu spośród gęstwi kosodrzewiny, siwych świerków, drobnych żwirów i takich złomów kamienistych, że i sto koni nie ruszyłoby ich z miejsca. Rozejrzał się naokoło. Wszędy pustosz; ani śladu ścieżynki, którą przed chwilą przebył. Z początku przeraził się, ale po chwili pomyślał:

"Kiedym tu doszedł, to i wrócę, jak nie tą, to inną drogą".

I aby dodać sobie odwagi, a może i z uciechy, że z tej wyżyny ujrzał całą dolinę, wartkim przeciętą potokiem, a poza nią wszere i wzdłuż wszystkie niemal szczyty, jakie są w Tatrach, huknął na góry, na lasy, huknął raz i drugi. Odezwało mu się echo. Huknął po raz trzeci i skamieniał. Zdało mu się, że słyszy organy, które jakby grały wewnątrz turni. Bywał nieraz w kościele w niedalekim Chochołowie albo i w Czarnym Dunajcu - w Zakopanem świątynia Boża wówczas jeszcze nie istniała - ale równie potężnej muzyki nigdy jeszcze nie zasłyszał. Mury rozwaliby się od takiego głosu; chyba na dziesięciu albo na stu zagrano mu organach.

W tej samej chwili rozstały się gładne ściany, z przeraźliwym rozwarły się trzaskiem i łomotem i przed oczami pastuszka niewidziane wyrosło zjawisko: olbrzym cały zakuty w zbroję, z szyszakiem na głowie, ze skrzydłami u ramion, z ogromnym, prostym, szerokim mieczem w dłoni.

Staął ten rycerz w słońcu, jak w złocie, i zawołał:

"Kto ośmiela się budzić nas ze snu wiekowego? Czy nadszedł już czas?"

Ale chłopiec, oniemiały z przerażenia, odpowiedzi żadnej dać nie mógł, bo też i pytania tego jeszcze nie rozumiał.

Rycerz zaś, spostrzegłszy jego przestach, powiada:

"Nie lękaj się, nic złego ci nie uczynię, bom nie zbójnik, tylko wojownik, który krew przelewał za ojczyznę, a potem razem z towarzyszami przyszedł w te skały na sen wiekowy, aby się zbudzić do życia, gdy ludzie staną się tak dobrzy jak ty - bo widzę, żeś jest dobry! - gdy nabiorą takiej wiary i mądrości, że już nie będą mogli znieść jarzma, co ich gniecie. A gdy do tego dojdzie, wówczas zjawi się taki drugi chłopaczek jak ty, wybrany z tysiąca albo miliona, bo musi być najgodniejszy, zapuka do bramy złocistej i wielkim zawoła głosem:

"Wstańcie, rycerze, ze snu wiekowego, wstańcie i spłyńcie w doliny pomiędzy ludzi, którzy stali się już dobrzy i mądrzy i wielką mają wiarę, a pod panowaniem złego żadnym sposobem żyć już nie chcą dłużej! Wstańcie, rycerze skrzydłaci, podobni do aniołów z nieba!"

My to usłyszymy i uwierzemy, gdyż skłamać - on nie skłamię! Rumaki nasze zeprzemy ostrogami i z dobytym mieczem w dłoni popędzimy w świat jak wichur, jak burza. Zerwie się naokoło szum ogromny. Świerki jak rżysko łamać się będą pod kopytami naszych wierzchowców; wielkie głązy polecą ze szczytów jak drobne kamyki. Potoki i jeziora podniosą się ze swych łożysk i lejów, mgły się zakłębią tak, że świata spod nich widać nie będzie. Całe niebo i ziemia zatrzęsie się od grzmotów; błyskawice krzyżować się będą jak miecze ongi zastępów niebieskich, co walczyły z szatanami, pioruny walić będą bez ustanku, przestach pójdzie po wszystkim, co żyje, lecz potem nastanie spokój. Gromy ucichną, potoki i jeziora ułożą się w błękity, mgły w srebrną przemienią się rosę, błyszczącą na trawach i kwiatach, i iglicach drzew świerkowych, złote na niebie zajaśnieje słońce, a ludzie, zbawieni z niewoli, pieśni radosne zaśpiewają i dziękować będą niebiosom za cudowne zwycięstwo".

Tak mówił rycerz.

A pastuszek słuchał tego jakby dziwa: upadł przed nim na kolana i rzecze:

"Udam się między ludzi, pójdę choćby na krańce świata i obwieszczę im, com słyszał. A chciałbym też zdobyć taką wiarę i taką mądrość, iżbym ich mógł tej wielkiej wiary i tej wielkiej mądrości potrzebnej do wyzwolenia nauczyć".

Podniósł go wojownik z ziemi i rzekł:

"Dostąpisz jeszcze tej łaski, że zobaczysz nas wszystkich razem, abyś do ludzi, braci swojej, zawołał:

"Wierzcie mi, bracia moi, bom zbrojnych mężów tych na własne widział oczy".

I z tymi słowy powiódł go do jaskini napełnionej światłością.

A jaskinia była tak rozległa, że kilka godzin nie wystarczy, aby ją przejść, stokroć obszerniejsza niż ona grotta w Kobylim Wierchu na Spiżu, pod Białą. Ściany powyżłabiane w najdziwniejsze kształty, ni to kwiaty, ni to drzewa, ni to ściekające fale, ni to figury przecudne. Z góry zwieszały się jakby w kamień obrócone złotogłowie, co to ich pełno rośnie w Tatrach, albo paprocie przeróżne i inne zioła; z ziemi wyrastały żółtawe, przejrzyste niby alabaster, gładne pnie jakby jakichś świerków odartych z gałęzi, a tak dźwięczące, że kiedy rycerz, co wędrował z pastuszkami, dotknął się ich przypadkowo, to po całej jaskini rozległo się najgłośniejsze brzmienie organów.

Przebyli kilka krużganków, natrafili na kaplice, na ołtarze ze złocistego gładu, na skamieniałe wodotryski, na błękitne jeziora i stawy, a w niektórych miejscach jakby na nagrobki rozrzucone po cmentarzysku, aż wreszcie wkroczyli do sali tak wielkiej, że jej okiem nie wymierzysz. I tutaj ów pastuszek, już ośmielony, ujrzał przed sobą obraz, jakiego ani przedtem, ani potem nigdy w życiu nie oglądał. Nieprzeliczone rzędy rycerzy w hełmach i zbrojach, pozłocistych, ze skrzydłami u ramion, z szerokimi mieczami w ręku, na pięknych siedziały rumakach, przyodzianych kosztownymi kobiercami i skórami z lampartów, lwów i tygrysów. Na łbach konie te miały pęki białych piór, a podkowy ze złota.

Na widok rycerza - wartownika przeszło drżenie po szeregach, konie zaparskały, a ona zbrojna husaria poprawiła się na siodłach wysadzanych turkusami, nie odezwał się jednak żaden głos, tylko wszyscy, z wodzem królewskim na czele, pytające w przybyłych wlepili spojrzenie.

A gdy rycerz krótkie rzucił hasło:

"Jeszcze nie!", od razu bojowe hufy te skamieniały: przytulone do karków końskich na nowo zasnęły i śpią tak od wieków.

Zasię z chłopaczkiem stało się tak:

Rycerz, nim zasnął, kazał mu tą samą drogą wrócić na świat.

"Nigdy już tutaj - powiedział - nie będziesz, miejsca tego nie szukaj, bo go nie znajdziesz".

Z trzaskiem zawarła się za pastuszkami złocista brama, zapadła się od razu w ziemię, skały się spoiły, owinięte kosodrzewiną i świerkami, i błyszczwały na nich dalej szarotki i dzwonki. Zeszedłszy ku stadu, które pasło się, strzeżone przez pięknego, białego psa owczarka, pastuszek przemyślał nad tym, co widział i słyszał, i naprzód wiadomość o wszystkim dał ojcu, że musi iść pomiędzy ludzi i uczyć ich wielkiej wiary i wielkiej mądrości, aby wszystko spełniło się, tak jak mu rycerz o tej świętej godzinie wyzwolenia wyprorokował.

A ten, ponieważ dobry człowiek był, powiada:

"Snadź jesteś w łaskach u Boga, boś na własne oczy oglądał i na własne uszy postłyszał, co my tylko ze starodawnej znamy opowieści. Ale jakże ty ludzi będziesz uczył wielkiej wiary i wielkiej mądrości, kiedyś sam tego nieświadomy? Do szkół pójdiesz, oświecenia nabierzesz, a potem głosić będziesz tę cudną prawdę".

I tak było.

Pastuszek wyrósł na mędrca, a że dla siebie nic nie pragnął, jeno chciał żyć dla drugich, udał się w świat, w miasta i wioski i naprawiał ludzi. Siły jednak za mało posiadał, a życie za krótkie, iżby wszystkiego dokonał. Poszły za nim tysiące i pójdą jeszcze tysiące, ale póki wszyscy do ostatniego człowieka nie przejmą się jego nauką, nie spełni się proroctwo o śpiącym wojsku.

Myśmy dotąd jeszcze niegodni; nie wiemy na pewno, w której skale cud się ten mieści, lecz mamy nadzieję i ufność, że już niedługo mądrość i wiara w wyzwolenie po świecie się rozkrzewi i że wtedy natchnie Bóg takiego chłopaczka jak tamten, że chłopaczek ten znajdzie ową jaskinię, do bramy złocistej zapuka i będzie mógł śpiącym rycerzom słowo powiedzieć niekłamliwe:

"Już czas!"

Jan Kasprwicz

Legenda o Morskim Oku



Dawno, dawno temu za siedmioma górami, za siedmioma lasami żył żeglarz pewien, który wszystkie morza i oceany przepłynął w poszukiwaniu skarbu i bogactwa. A skarb ten potrzebny mu był, aby mógł z niewoli wykupić rodziców, dwoje staruszków przez złego pana do lochu wtrąconych. Szukał onego skarbu i tam, gdzie zima trwa wiecznie, a olbrzymie góry lodowe po oceanie pływają jak okręty bajecznych olbrzymów... Szukał go i wśród palm, na piaszczystych wybrzeżach palonych słońcem południa.

Wreszcie po wielu, wielu latach znalazł go - zebrał pełną złota i klejnotów szkatułę, która sama, przedziwną robotą w srebrze wykuta, za skarb poczytaną być mogła. Szczęśliwie wpłynął na Śródziemne Morze, a z niego na Adriatyk i już zbliżał się do wybrzeża, gdy nagle wybuchła burza straszliwa. Olbrzymie bałwany przelewały się przez okręt, rzucając go na prawo i lewo, wicher szarpał linami masztów...

Nie minęło wiele czasu, a okręt, strzaskany, powoli zanurzył się w wodzie. Szkatułka pełna złota zniknęła w głębinie. Tylko sam żeglarz, uczepiony złamanego masztu, ocalał. Na nic zdały się jego trudy... Nie wykupi już ojców z niewoli... Nie ma po co wracać w rodzinne strony... Ze ściśniętym sercem poszedł żeglarz prosto przed siebie przez siedem lasów i siedem gór, aby dalej od okrutnego morza, które mu skarb zabrało. Szedł o kiju żebraczym przez urodzajne doliny i jałowe skały, mijał szerokie rzeki i wąskie strumienie, aż zagroziły mu drogę jeszcze jedne góry, sięgające nieba. Począł się na nie wspinać znużony żeglarz, aż stanął wreszcie na przełęczy, z której widok był na jezioro ze wszystkich stron skałami otoczone, w blasku słonecznym mieniące się barwami szmaragdowymi, niczym morskie fale. A właśnie opodał na zielonej hali paść młody juhas stado owiec.

- Co to za jezioro? - spytał go żeglarz. - Morskie Oko.

- Morskie Oko?...

Zatrząsał się na tę nazwę żeglarz, bo mu ona niezmiernie morskie szlaki i skarb utracony przypominała. Ale coś go ciągnęło do tej wody tajemniczej, niby spokojnej, a jakby kryjącej w sobie grozę...

- Chciałem zejść na brzeg - powiedział, spoglądając na skały urwiska pod stopami.

- A czemuż by nie? Przed zachodem sprowadzę owce na dół, to ze mną pójdziecie - zachęcał juhas. - Samemu to wam niebezpiecznie, bo drogi nie znacie...

- Dobrze; poczekam do zachodu - zgodził się żeglarz i siadłszy na kamieniu, spoglądał na owo tajemnicze Morskie Oko pośród skał.

Woda w jeziorze raz po raz zmieniała swe barwy. To jaśniała błękitem i szmaragdami w słońcu, to ciemniała jak najciemniejsze szafiry, gdy długie cienie od gór kładły się na niej.

Wreszcie zapaliły się wszystkie szczyty różowym blaskiem wieczornej zorzy i całe jezioro zdawało się płonąć bijącym od wnętrza pożarem.

Wtedy to zszedł żeglarz z juhasem i jego owcami: Nim się znaleźli na dole, mrok zapadł. Siedli więc na tratwę, by się przy blaskach księżyca przepawić na drugi brzeg. Właśnie dopływali do środka jeziora, gdy spokojne dotąd fale wzburzyły się, choć wiatru nie było.

- Pewnie tam, na morzu, burza być musi ogromna - powiedział juhas rozglądając się niespokojnie. - Żeby i nas nie chwyciła w odmęty. Bo to, wiecie, panie, powiadają, że się to nasze Morskie Oko pod ziemią z morzem łączy, z jakimś Adriatykiem, i nieraz nocą woda w nim przybiera i na brzeg resztki zatopionych okrętów wyrzuca: to połamane maszty, to strzępy żagli zbutwiałych.

I znowu dreszcz przeszedł żeglarza na te słowa juhasa.

Pochylił się nad wodą, wpatrzył się w świetlistą smugę księżyca, sięgającą zda się do samej głębi... Coś błysnęło nade dnem... Jakaś ryba nie - ryba dziwnego kształtu...

W chwilę potem spieniona fala przewaliła się przez tratwę, zostawiając u stóp zatrwożonego wędrowca srebrną, misternie wykutą szkatułę, jego skarb najdroższy, za który miał rodziców wykupić z niewoli, skarb zatopiony przed wielu, wielu dniami w morskiej głębinie.

Hanna Zdzitowiecka

O czarnej księżnej i o chłopskim dzwonie



Była raz jedna księżna na cieszyńskim zamku, a nazywała się Czarna Księżna.

A dlatego tak się nazywała, gdyż była bardzo smutna i ubierała się w czarne suknie. Dlatego zaś była smutna, bo frysztacki dzwon nie chciał być jej dzwonem. A z tym dzwonem to była przedziwna historia.

Starzy ludzie opowiadali, że w tym miejscu, gdzie dzisiaj znajduje się przysiółek frysztacki, noszący nazwę Starego Miasta, było kiedyś wielkie, piękne i bogate miasto. Mieszkali w nim jednak strasznie źli ludzie. Ci ludzie byli tak źli, że trudno opisać. Napadali na przejeżdżających kupców i pątników, bardzo szpetnie klęli, rabowali w okolicznych wsiach, co się tylko dało, krzywdzili wdowy i sieroty, oszukiwali na wadze, dolewali do mleka wody i sprzedawali je jako dobre mleko ze śmietanką. Trwało to tak długo, aż się w końcu przebrała miarka złego i nadeszła kara. Oto ziemia zatrzęsa się, otworzyła szeroko i pochłonęła miasto wraz z tymi złymi ludźmi i nawet z kościołem. Z czasem ludzie zapomnieli o tamtym mieście, gdyż działo się to bardzo dawno.

Wtedy na świecie panował jeszcze brodaty król Gwóźdz, który miał czerwony, pijacki nos, a koronę przywiązywał sobie szpagatem do głowy. Niektórzy starzykowie i starki wiedzieli tylko tyle, że w tamtym miejscu było kiedyś piękne miasto, lecz już go nie ma, gdyż je ziemia pochłonęła. A na tym miejscu nie chciało nic rósć prócz pokrzyw, ostu i innego zielska.

I zdarzyło się pewnego razu, że pasły się tam frysztackie świny. Jedna ze świń ryła i ryła, aż wryła dzwon. A to był dzwon z tej kościelnej wieży, która zapadała się w ziemię wraz z niedobrym miastem.

Pasterka Jewka, pasąca owe świnię, pobiegła do Frysztatu i rzekła panu burmistrzowi, że jedna ze świń wyryła dzwon. Gdy to pan burmistrz usłyszał, ogromnie się zdziwił i kazał dzwonić na alarm.

Wszyscy frysztacczanie myśleli, że gdzieś pali się stodoła, lecz pan burmistrz im oznajmił, co powiedziała pasterka Jewka.

Uradowani poszli więc z panem burmistrzem i także ogromnie się dziwili, że świnia pana burmistrza wyryła taki piękny dzwon. Zawieźli go do miasta i zawiesili na wieży. A potem słuchali, jak pięknie dzwoni.

Dzwon zaś dzwonił tak:

Świnia mnie wyryła, Jewka mnie utrzyła, Serce moje bije, Ludzka krzywda żyje, żyje, żyje...

Nikt nie rozumiał, co ten dzwon dzwoni, tylko Jewka rozumiała.

Ponieważ jednak była pasterką świń, przeto nikt się jej o to nie pytał. A że pięknie dzwonił, przeto frysztacczanie byli bardzo ukontentowani i dumni. Byli nawet tak bardzo dumni, że odtąd z byle kim nie chcieli rozmawiać. A głos dzwonu był tak donośny, że słychać go było nawet w Cieszynie na zamku, gdzie smuciła się Czarna Księżna.

Przyszli dworzanie i pytali jej, czemu się smuci. A ona rzekła, że chciałaby mieć ów dzwon na swoim zamku, na zamkowej wieży w Cieszynie. Wtedy nie będzie już smutna, lecz wesoła, i wtedy będzie nazywać się Białą Księżną. Dworzanie bardzo się zafrasowali i przez trzy dni i trzy noce radzili, a gdy się w końcu naradzili, przyszli do Czarnej Księżnej i rzekli tak:

- Mości księżno! Uradziliśmy, że dzwon odkupimy od frysztacczan i przywieziemy go do Cieszyna.

- Dobrze! - rzekła księżna i leciutko się uśmiechnęła.

A wtedy wszystkim się wydawało, że to słońce na niebie zaświeciło, że wszystkie róże w zamkowym ogrodzie rozkwitły i że kawki, wrzeszczące na zamkowej wieży szczerbatej, przemieniły się w białe, gruchające gołębie.

A to tylko Czarna Księżna uśmiechnęła się leciutko.

Pojechali więc cieszyńscy dworzanie do Frysztatu i tak rzekli panu burmistrzowi i wszystkim rajcom:

- Sprzedajcie nam wasz dzwon!

A burmistrz napuszył się i przez chwilę drapał się po głowie, gdyż zastanawiał się, czy mu warto rozmawiać z tamtymi dworzanami.

Poradził się rajców i rajcowie uchwalili, że owszem, warto. Więc pan burmistrz tak powiedział dworzanom:

- Ani się nam śni sprzedawać dzwon!

- Zapłacimy hojnie!

- A ile?

- Tyle, ile żądacie!

Poszli więc rajcowie z burmistrzem na ratusz i zaczęli radzić, ile żądać za ów dzwon. Radzili przez trzy dni i trzy noce. Przez ten czas wytrąbili siedemnaście beczek piwa i zjedli pięć upieczonych baranów. Byliby radzili jeszcze dłużej, lecz mieszczanie już nie chcieli dać piwa i baranów. Burmistrz z rajcami wyszedł więc z ratuszowej sali i oświadczył cieszyńskim dworzanom, że owszem, czemu nie, dzwon mogą sprzedać, ale za tyle talarów, ile się ich zmieści na drodze z Frysztatu do Cieszyna, gdy się je ułoży jeden obok drugiego takim sznurem. Dworzanie podrapali się po głowie i teraz oni radzili przez trzy dni i trzy noce w przydrożnej karczmie. Wypili dużo beczek piwa, zjedli sporo upieczonych baranów, a gdy w końcu karczmarz już nie chciał im dać piwa i baraniny na kredyt, poszli do pana burmistrza i do rajców na ratuszu i rzekli, że owszem, czemu nie!

Będzie tyle talarów, tylko że muszą najpierw nałożyć na chłopów daniny, gdyż w zamkowej szkatule prześwieca dno. Wrócili więc do Cieszyna i zaczęli drzeć z chłopów daninę. A całą drogę od Frysztatu do Cieszyna wyłożyli tamtymi talarami, a co pozostało, podzielili między sobą. I przywieźli dzwon do Cieszyna.

Zawiesili go potem na zamkowej wieży i była wielka parada: Wszyscy ogromnie się radowali, a Czarna Księżna uśmiechała się i ubrała się na białe. A na wieży zamiast czarnych, wrzeszczących kawek, gruchały białe gołębie, a wszystkie róże rozkwitły w ogrodzie zamkowym, a rzeka Olza pod zamkiem kąpała w swej wodzie słońce, a w nocy gwiazdy i księżyc. A gdy dworzanie pociągnęli za powróż od dzwonu i dzwon zaczął dzwonić, wszyscy się zdziwili, że tak dziwnie dzwoni. I nikt nie rozumiał, dlaczego tak dziwnie dzwoni. Tylko świniarka Jewka, która wprosiła się na służbę do zamku, rozumiała jego głos.

A dzwon tak dzwonił:

Za talary mnie kupili, które z chłopca wydusili. Krzywdą ludzką mnie zmusili i na wieży powiesili płaczącego chłopca dzwon, dzwon, dzwon...

I chociaż nikt nie rozumiał, co ten dzwon dzwoni, nawet Czarna Księżna nie rozumiała, wszyscy się cieszyli, a najbardziej cieszyła się Czarna Księżna, w tym dniu przezwana Białą Księżną. Jedynie świniarka Jewka wiedziała, lecz nikt się jej o to nie pytał, przeto nic nie mówiła.

I gdy nazajutrz dworzanie znowu pobiegli do wieży i chcieli zadzwonić na "Dzień dobry, mości Biała Księżno!" - ujrzeni zdumieni, że dzwonu nie ma!

Okazało się, że w nocy uciekł do Frysztatu. Widział go bowiem miejski stróż, Balarus, gdy drzemał pod zamkowym murem oparty na halabardzie.

- Furgo! w powietrzu do Frysztatu, aż się za nim kurzyło! Widziałem na własne oczy!

Ha, jeżeli widział Balarus na własne oczy, to może tak temu będzie.

Lecz jakim cudem to się stało, nikt nie wiedział. Nie wierzyli jednak bardzo staremu Balarusowi, bo jemu się często w oczach dwoiło, jako że lubił zaglądać do gąsiorka z kwaśnym winem. Zawezwali więc zezowatego astrologa cieszyńskiego imci pana Pietrulę, który umiał czytać w gwiazdach i który lubił kminkówkę.

Astrolog Pietruła przyszedł z butelką kminkówki na zamek przed Czarną Księżną, wypił kminkówkę i przez szyjkę butelki popatrzył na gwiazdy.

- Oho! - rzekł tajemniczo.

Wszyscy ogromnie się zdumieli nad mądrością astrologa Pietruli i nawet zapłakana Czarna Księżna, przebrana znowu w czarne suknie, także się zdumiała.

Astrolog znowu spojrział przez szyjkę butelki na gwiazdy i rzekł:

- Uciekł!...

Tu wszyscy jeszcze bardziej się zdumieli i pomyśleli, że to wielka rozkosz słuchać takiej mądrości nad mądrościami.

Czarna Księżna jednak zapytała:

- Dokąd uciekł?

Astrolog Pietruła popatrzył na gwiazdy i rzekł, że nie wie. Będzie jednak wiedział, jeżeli mu ktoś przyniesie drugą butelkę z kminkówką. Dworzanie pobiegli więc do brzuchatego Fafuły na Starym Targu i kupili dla Pietruli drugą butelkę kminkówki. Pietruła wytrąbił ją do dna, popatrzył przez szyjkę butelki na gwiazdy i rzekł:

- Wiem!...

- Co wiesz? - zapytała Czarna Księżna tak smutnym głosem, że wszyscy zaczęli wycierać oczy z napływających łez.

- Do Frysztatu uciekł! - rzekł Pietruła.

Ha, jeżeli dzwon uciekł do Frysztatu, to trzeba poń jechać. I pojechali. Zdjęli go z frysztackiej wieży i przywieźli na wozie, zaprzężonym w cztery białe woły ze złoconymi rogami. I zawiesili go znowu na zamkowej wieży.

A dzwon tak dzwonił:

Za talary mnie kupili, które z chłopca wydusili. Nie będę wam dzwonił z tej cieszyńskiej wieży, bo z całego Śląska rzewny płacz tu bieży skrzywdzonego chłopca...

Nikt nie rozumiał, co ten dzwon tak dziwnie dzwoni. Tylko świniarka Jewka wiedziała. Wszyscy zaś byli radzi, że księżna jest rada, iż słucha głosu dzwonu, i uśmiecha się, i że znowu ubrała się w białą suknię, a czarne, wrzeszczące kawki na zamkowej wieży przemieniły się w białe, gruchające gołębie.

I gdy nazajutrz poszli na zamkową wieżę, by zadzwonić na "Dzień dobry, mości Biała Księżno!" - spostrzegli zdumieni, że nie ma dzwonu. Czyżby znowu uciekł?

Przywołali astrologa Pietrulę i kazali mu patrzeć na gwiazdy.

Pietruła popatrzył i rzekł:

- Oho!

Wszyscy teraz wiedzieli, że jeżeli powiedział "Oho!", to z dzwonem coś się stało. Ale co? To "oho!" Pietrułi było bowiem tak bardzo mądre, że nikt nie mógł się ani krzty domyślić, co to znaczy. Czekali więc, co dalej powie. A Pietruła znowu spojrzął na gwiazdy i rzekł tajemniczo:

- Uciekł!

- A uciekł, uciekł - wtrącił swoje trzy stróżowskie grosze stary Balarus.

- Widziałem, jak wyfrunął z wieży i poleciał prościuteńko w kierunku Frysztatu.

- Nie przerywaj mi, mamlasie! - ofuknął go zgorzony Pietruła. - Przecież widzisz, że czytam w gwiazdach! O, już widzę! O, już widzę! Do Frysztatu uciekł!

Dworzanie wybrali się więc po raz trzeci do Frysztatu i po raz trzeci przywieźli dzwon do Cieszyna. Powiesili go na wieży zamkowej, a potem chcieli zadzwonić. Lecz stał się dziw nad dziwami! Dzwon nie dzwonił, chociaż stu najsilniejszych mieszczan szarpało za powróż. Targali, kolebali dzwonem, a on nic! Milczy!

Wtedy Czarna Księżna bardzo posmutniała, a dworzanie przez trzy dni i trzy noce zastanawiali się w zamkowej komnacie, dlaczego dzwon nie chce dzwonić. Jewka słuchała pod drzwiami, jak tamci radzą, i pomyślała, że może jej uda się nakłonić dzwon, by dzwonił. Wtedy Czarna Księżna nie będzie płakać. Bo już tyle łez wylała, że podzamkowa rzeka Olza zaczyna powoli wzbierać i jeżeli to tak dłużej potrwa, powódź murowana! Poszła więc na wieżę i pociągnęła za powróż.

I o dziwy! Dzwon zaczął dzwonić, a dzwonił tak:

Za talary mnie kupili, które z chłopów wydusili. Wróćcie chłopom te talary, będę dzwonił na świat cały... na świat cały... na świat cały...

Czarna Księżna wtedy siedziała w oknie swej komnaty i płakała tak rzewnie, że wszystkim dworcom, dworzanom i mieszczanom krajało się serce na malutkie ćwierci. Gdy jednak zniecka posłyszała głos dzwonu, przestała chlipać i pociągać noskiem, i łzy wylewać, i słuchała. Nic jednak nie rozumiała, co on dzwoni. Tylko Jewka wiedziała. I kiedy wyjaśniła Czarnej Księżnej, co dzwon na zamkowej wieży dzwonił przed chwilą, Księżna zrozumiała wszystko i wielki kamień spadł jej z serca. Dwóch największych zamkowych osiłków z trudem go wyniosło z komnaty.

Potem księżna rozkurzyła wszystką zamkową hołotę na cztery wiatry za to, iż dzwon kupiono za ludzką krzywdę. Sprzedała dużo lasów, sprzedała sporo pola, nawet staw z karpiami i szczupakami, nawet swoje korale i perły, pożyczyła pieniędzy od swych braci-książąt i wszystko zwróciła chłopom. Bo tak jej poradziła świniarka Jewka, która teraz stała się prawą ręką księżnej.

A gdy już spłaciła wszystkie krzywdy do ostatniego grosika, poprosiła ochmistrzynię Jewkę, by teraz spróbowała zadzwonić. Jewka pociągnęła za powróż i dzwon zadzwonił, jakby ulany z czystego srebra i złota.

I tak dzwonił:

Świnia mnie wyryła, Jewka mnie utrzyma, serce moje bije, krzywda już nie żyje...

Odtąd dzwon frysztacki dzwonił na wieży cieszyńskiego zamku rano, w południe i wieczorem. Czarna Księżna zaś nazywała się teraz Białą Księżną.

Chłopom w jej państwie nie działa się krzywda, róże w zamkowym ogrodzie kwitły przez cały rok, swarliwe kawki na zamkowej wieży zamieniły się w gruchające gołębie, a ochmistrzyni Jewka stała się nadworną dzwonniczką. I dzwon dzwonił aż do śmierci Białej Księżnej. A po śmierci ją złożono do białej trumny, trumnę położono na wozie zaprzężonym w cztery białe woły i popędzono je białym biczem, a woły jechały i jechały, aż dojechały na cierplickie wzgórze i tam ziemia się otworzyła i białe woły z białą trumną zapadły się w głębi.

Wtedy dzwon na wieży zamkowej zadzwonił po raz ostatni i pękło mu serce.

I już wszyscy wiedzieli, że po śmierci Białej Księżnej przyjdzie jej syn, bardzo zły pan, który będzie gnębił chłopów.

I tak też było!...

I tak skończyła się przedziwna historia o frysztackim dzwonie, który z czasem przewano
chłopskim dzwonem.

Gustaw Morcinek

Jak górnik Bulandra diabła oszukał



Był sobie raz jeden górnik, zuch nad zuchami, czyli karlus nad karlusami.

Nazywał się Hanys Bulandra. Jak świat daleki i szeroki, wszędzie mówiono o jego odwadze.

Nawet sam król Gwóźdź słyszał o nim i zapragnął, by służył w jego wojsku. Bulandra jednak odpowiedział królewskiemu posłom, że ich króla Gwoździa ma w pięcie i że ani mu się śni, by swój stan górniczy zamienić na żołnierskie rzemiosło.

- Będziesz chodził naszemu królowi po tytoń do fajki! - namawiali go usilnie posłowie.

- Niech mu chodzi jego baba! Gwizdżę na waszego króla!

- Nasz król zrobi cię generałem!

- Gwizdżę na waszego generała!

- Nasz król ożeni cię ze swoją córką, królowną Gwoździówną!

- Nie ma głupich! Gwizdżę na jego zezowatą córkę!

- Gdy nasz król umrze, obwołamy ciebie królem! - kusili go. - Włożysz sobie koronę na głowę, w jednej dłoni będziesz trzymał berło, w drugiej królewskie jabłko i będziesz nam panował...

- A wynoście się do wszystkich diasków! - wrzasnął rozgniewany Bulandra. - Bo jak mnie rozgniewacie, to basama za kućki!

Przerażeni posłowie wynieśli się do wszystkich diasków, gdyż wiedzieli, że gdy Bulandra zacznie kłać: "Basama za kućki!" - to z nim nie ma co gadać. Gotów komuś kosteczki kilofem przetrącić, a co potem?...

Wrócili więc do króla Gwoździa i rzekli, że Hanys Bulandra, przezwany karlusem nad karlusami, gwizdże na królową i na tytuł generała, a królewską koronę ma w pięcie! Powiedzieli

jeszcze, co powiedział Bulandra, że gdyby chciał, to może sprawić sobie piękniejszą koronę, stokroć piękniejszą od tej, jaką nosi król Gwóźdź na głowie. Korona króla Gwoźdza jest bowiem z tektury, oblepiona pozłacanym papierem, a on, Bulandra, powie tylko staremu kowalowi kopalni jedno słówko, a kowal ukuje mu koronę ze złota...

- Czy Bulandra ma tyle złota? - zapytał zdumiony król Gwóźdź i podrapał się berłem po głowie.

- Nie ma, ale może mieć!

- Od kogo?

- Od samego diabła Rokitki!

- Ojej! - jęknął król Gwóźdź i podrapał się berłem dwa razy po głowie ze zdumienia.

Potem nasadził sobie koronę na głowę, przywiązał ją szpagatem, żeby nie zjechała na prawe lub na lewe ucho, i poszedł się martwić do altanki i wylizywać garnek z powideł. Lubił bowiem powidła.

Bulandra zaś żuł tytoń, strzykał misternie przez zęby i kłął:

- Basama za kućki!

Ostatecznie dałby się skusić tamtą obiecanką, że król Gwóźdź może mu dać za żonę swoją córkę. Nie miał mu bowiem kto koszuli wyprać, obiadu ugotować i kozy Strzygi napaść, a królewna w sam raz nadawałaby się do tej pracy. Że jednak była zezowata i szczerbata i utykała na prawą nogę, przeto pomyślał, że gwóźdze na nią, i skończone.

I gdy król Gwóźdź rozmyślał ciężko i martwił się z powodu odmowy Bulandry, Bulandra tymczasem kopał węgiel i nikogo się nie bał. Nie bał się nawet sztygara, chociaż szwandrosił po niemiecku.

Przepędzał utopce taplające się o północy w rzece Brynicy. Gniewał się na jaroszków, które, gdy się tylko pokazały, uciekały z piskiem pod ziemię. Bały się, że im nabije guza kilofem. Ludzie myśleli, że Bulandra boi się przynajmniej diabłów. Lecz gdzież tam! Diabłów uważał za strachy na wróble!

Gdy miał wolną chwilę w kopalni, szedł do zawaliska, gwizdał trzykrotnie i w tej samej chwili wyłaził ze ściany duch Skarbnik, brodaty, stary i naburmuszony.

- Szczęść Boże, panie Skarbniku! Zagrajmy sobie w karty.

Skarbnik zgadzał się i grał z nim w karty. Siadał na kamieniu, Bulandra na drugim kamieniu i obaj walili kartami spoza głowy. Skarbnik świecił sobie lampką z czerwonym światłem, a Bulandra żuł tytoń i strzykał przez zęby koło nosa Skarbnika na znak, że nic sobie z niego nie robi. I gdy skończyli grę, Bulandra zawsze wygrał.

Skarbnik musiał wtedy za Bulandrę pracować, a Bulandra siedział na kamieniu i popędział go:

- No, wio, stary! Przegrałeś w karty, więc pracuj za mnie, a mocno!...

W końcu już to dosmoliło Skarbnika, powiedział sobie, że ma dosyć Bulandry i jego kart, i wyniósł się na sąsiednią kopalnię. Tam polazł w zawaliska i nikomu się nie pokazywał. Od tej chwili Bulandrze już tak nie darzyło się w pracy i mniej zarabiał. I dlatego też Bulandra nie mógł przeboleć oszustwa jaroszków. Jaroszki, takie małe diabełki z prosięcymi ogonkami, zwiniętymi w obwarzanek, strzegły zbójnikowych talarów zakopanych w ziemi na Wydmuchowie. Rósł tam stary dąb, liczący już chyba z tysiąc lat. Na owym dębie wieszano kiedyś łotrzyków i zbójników. A pod owym dębem kryły się talary. W noc świętojańską przyłaziły jaroszki i suszyły owe talary. Mieszały je warzających w kotliczku, a nad kotliczkiem unosił się niebieski płomycek.

Wracał raz Bulandra w noc świętojańską ze szychty z kopalni i ujrzał pod dębem jaroszki nad talarami. I niewiele myśląc polazł do nich, by coś z tych talarów uszczknąć dla siebie. Jaroszki skrzeczały, pluły na niego, parskały i zamierzały go pobóść swymi różkami. Gdy jednak Bulandra krzyknął na nie:

- Basama za kućki! - przerażone uciekły z piskiem.

Bulandra poszedł za nimi. Wyszedł do jakiejś ogromnej jamy. W tej jamie stały beczki z talarami. Na największej siedziała ropucha tak duża, jak krowa. Rozdziawiła na niego pysk, wytrzeszczyła duże, okrągłe oczy i zaczęła szpetnie skrzeczeć.

- Basama za kućki! - wrzasnął na nią Bulandra i zamierzył się kilofem.

To wystarczyło. Ropucha pękła ze strachu i już nie było ropuchy. Bulandra nabrał talarów, ile zmieściło się w kieszeniach i w czapce. Potem wyszedł z jamy i udał się do domu. Ogromnie się radował, że teraz ma więcej talarów aniżeli król Gwóźdz i że obejdzie się bez pomocy Skarbnika. W domu jednak spostrzegł, że zamiast talarów ma w kieszeniach i w czapce zeschnięte liście dębowe! Odtąd nazywał jaroszki oszustami i zawsze w noc świętojańską nakładał drogi na Wydmuchów i przepędzał je kilofem.

Z utopcami w Brynicy miał także swoje porachunki. Wracał raz ze szychty i zmęczony usiadł nad brzegiem Brynicy, by sobie trochę odpocząć. Bolały go bowiem kości, gdyż napracował się w kopalni, że aż strach. A księżyc pięknie świecił, a słowiki śpiewały bardzo pięknie, a woda w Brynicy szemrała i łuszczyła się srebrem. Naraz Bulandra patrzy, a tu z rzeki wyłażą utopce, utopcule i utopczęta. Takie małe stworzonka, podobne trochę do jaroszków, z małpimi mordkami, w czerwonych kabatkach, z palcami nóg i rąk spiętymi błoną jak kacze łapki. Skakały, prycały, baraszkowały, kwiczały, spychały się do wody, tańczyły, piszczały, fikały koziółki i robiły różne głupstwa. A Bulandra nic. Tylko się patrzy i czeka, co będzie dalej. Naraz jeden z utopców dostrzegł Bulandrę. Gwizdnął na utopce, utopcule i utopczęta i stałaby się rzecz straszna, gdyby to nie był Bulandra.

Podskoczyły bowiem wszystkie i chciały go ściągnąć do głębiny, żeby go utopić.

- A basama za kućki! - wrzasnął rozszoszczony Bulandra i jak nie zerwie się, i jak nie zacznie prać kilofem po ich małpich mordkach i po grzbiecie, i gdzie tylko trafiło!

Zrobiło się straszne piekło, przerażone utopce hyc! Jeden za drugim do wody i już ich nie było. Tyle tylko, co ten najstarszy ukradł Bulandrze fajkę, którą był położył obok siebie na trawie. Odtąd uciekały na zbity łebek, gdy tylko zobaczyły Bulandrę nad brzegiem Brynicy. Bulandra zaś groził kilofem i obiecywał połamanie ich kosteczek.

Na granicy między Szpluchowem a Rajskim Podlesiem straszyl ognisty koń bez głowy. Była to pokutująca dusza jednego barona, który worywał się w chłopskie pola. Po śmierci musiał w kształcie ognistego konia bez głowy biegać po tamtych miedzach i straszyć ludzi, i skamlać o boskie zmiłowanie.

Przyszli chłopci z Rajskiego Podlesia i ze Szpluchowa do Bulandry i zaczęli prosić:

- Złoty Bulandro! Uwolnijcie nas od tamtego ognistego konia bez głowy!

- A kto to jest?

- To jest pokutująca dusza tego barona, co kiedyś tu żył i worywał się w nasze pola!

- Robi się! - rzekł Bulandra i wracając z nocnej szychty nałożył znowu drugi i poszedł na granicę Szpluchowa i Rajskiego Podlesia.

Idzie, idzie, a w prawej dłoni trzyma kotliczek ze święconą wodą i kropidło. Pożyczył mu je kościelny Brachaczek za kęs węgla. Doszedł już na granicę Szpluchowa i Rajskiego Podlesia, patrzy się i widzi! Miedzą leci ognisty koń bez głowy! Pędzi prosto na Bulandrę. Inny na ów widok uciekłby co prędzej, Bulandra jednak zanurzył kropidło w święconej wodzie i czeka! Ognisty koń dobiegł i już skacze kopytami na Bulandrę.

Bulandra wtedy pokropił go święconą wodą raz i drugi, i trzeci i zawołał:

- Basama teremtete za kućki!

I stał się wielki dziw! Bo oto ognisty koń stracił się w tym okamgnieniu, a nad głową Bulandry unióś się szary gołąb, zafurkotał skrzydłami i poleciał do nieba. A to była wybawiona dusza barona, który już swoje grzechy odpokutował.

W piekle słyszano o odwadze Bulandrowej i nikt z diabłów nie ośmieliłby się stanąć mu w drodze. Był tylko jeden diabeł, strasznie chytry i przebiegły. Nazywał się Rokitka. Gdzie nikt z diabłów nie mógł niczego dokonać, tam wysyłano Rokitkę. I co wrócił z ziemi do piekła, wiózł w taczkach pełno ludzkich dusz, by je smażyć w smole. Innymi słowy, był to diabeł nad diabłami. Chudy, cienki, z dużym krogulczym nosem, z rogami zakręconymi jak u barana, z krowim ogonem i z jednym końskim kopytem zamiast prawej stopy. Gdy mu wypadło łowić ludzkie dusze, przybierał postać człowieka. Poznać można było jednak, iż to diabeł, bo miał zarośnięte dziurki od nosa.

Pewnego razu rzekł do swych kamratów w piekle:

- Przygotujcie spory kotlik smoły, rozniećcie pod kotlikiem porządny ogień, bo jeszcze dzisiaj przywlokę w worku duszę Hanysa Bulandry!

Wszyscy diabli ogromnie się ucieszyli, nalali pełny kociołek smoły i rozniecili pod nim ogień, a Rokitka tymczasem powędrował na ziemię. Bulandra zaś wiercił świdrem dziury w caliźnie węglowej. Wiercił i wiercił, a gdy już wywiercił, usiadł pod ciosem, żeby sobie trochę spocząć i zjeść kawałek suchego chleba. Gdy tak je i odpoczywa, skąd się weź, to się weź, przed nim stanął Rokitka, przebrany za sztygara.

- Glück auf, Bulandro! - pozdrowił uprzejmie po niemiecku.

- Szczęść Boże! - odpowiada Bulandra i widzi, że sztygar skrzywił się, jakby się napił octu. Patrzy lepiej i widzi, że ten sztygar ma zarośnięte dziurki od nosa, że prawy but ma ogromnie śmieszny i że z lewej nogawki wystercza postrzępiony koniuszek krowiego ogona.

"Ach Rokitka!" - pomyślał i już powziął plan.

- Jak wam się fedruje, Bulandro? - zapytał Rokitka.

- Marnie, panie sztygar, bo węgiel twardy, że aż strach. Zaledwie na słoną wodę zarobię!

- Hm, żal mi was, Bulandro! A chcielibyście dużo zarobić pieniędzy?

- Czemu nie?

- Ja wam mogę pomóc w rwaniu węgla!

- A za co?

- Gdy mi zapiszecie waszą duszę, to wam będę pomagać w fedrunku!

- Wy, panie sztygar?

- Jako mówię! Z gęby nie robię cholewy!

- I to wy, panie sztygar, potraficie urwać więcej węgla naraz niżeli ja?

- To się wie, że więcej!

- Wiecie co, panie sztygar. Zróbmy taki zakład! Ja wam zapiszę swoją duszę, ale wtedy, jeżeli narwiecie więcej węgla ode mnie. Jeżeli zaś narwiecie mniej, duszy mojej nie otrzymacie, a pomagać musicie!

- Zgoda! - wrzasnął uradowany Rokitka.

- No to ręka na zgodę!

- Ręka! - rzekł diabeł i wyciągnął kosmatą łapę do Bulandry.

Bulandra trzasnął w nią dłonią spoza głowy i układ już był zawarty.

- To już przegraliście, panie sztygar! - rzekł teraz Bulandra.

- Po jakimu?

- Bo za chwilę będę miał tyle węgla, że aż uciecha!

- Nie wierzę! - zarechotał Rokitka, przekonany, że Bulandra przegra zakład.

- Jak nie wierzycie, panie sztygar, to stańcie sobie przy ścianie, żeby dobrze widzieć, jak będę rwał węgiel.

- Dobrze! - powiedział Rokitka i stanął sobie przy caliźnie węglowej.

Bulandra zaś wpełznął w wywiercone dziury dynamit, połączył go z lontem, lont zapalił i szybko schronił się do pobliskiej niszy. Lont pali się, pali, płomyczek sunie i sunie, Rokitka zaś stoi przy caliźnie i patrzy, ile też tego węgla zdoła Bulandra urwać. I już dłonie zaciera z ukontentowania, że za chwilę jego duszę powlecze w worku do piekła. Bulandra zaś wychylił głowę z niszy i patrzy. Widzi, płomyki na lonce dochodzą już do wywierconych dziur, za chwilę dojdą do dynamitu, za drugą chwilę...

- Rokitko! - zawołał kpiąco. - A uważaj dobrze, jak posypie się węgiel!

I zaledwie wyrzekł te słowa, jak nie strzeli, jak nie gruchnie, jak nie zatrząśnie się wszystko naokoło! O jerum pajtasz! Lampa Bulandry zgasła, lampa Rokitki zgasła, a tu dym gęsty, a rumor ogromny, bo węgiel się wali i sypie... I nic!

- Rokitka! Żyjesz? - woła Bulandra.

Rokitka - nie odpowiada. Gdy dym już się rozszedł, Bulandra zapalił lampę i poszedł do przodka, by zobaczyć, co się stało z Rokitką. Patrzy, a tu węgla do chwały Bożej, a Rokitka stoi przylepiony do stempla, spłaszczony jak rozdeptana żaba, jedno oko ma na brodzie, drugie na

kamizelce, a - wszystkie zęby wyleciały mu tyłkiem. Aż litość wzięła Bulandrę, gdy patrzył na biedaka Rokitkę. A że miał dobre serce, więc odlepił go od stempla, pomógł pozbierać zęby, wcisnął mu do garści i zapytał:

- No i co, Rokitko?

- Przegrałem! - wybełkotał Rokitka i powlókł się pod szyb.

Wracał jak kupa nieszczęścia.

- A pamiętaj, że od jutra masz mi pomagać rwać węgiel! - zawołał jeszcze za nim Bulandra.

- Bo jak nie, to basama teremetete za kućki! Do samego piekła pójdę i wywlokę cię za ogon.

- Przyjdę! - jęknął Rokitka i pokuśtykał z płaczem do piekła.

Odtąd Bulandra dużo zarabiał, bo Rokitka musiał mu pomagać rwać węgiel. Bulandra siedział na kamieniu, pokrzykiwał tylko:

- Basama za kućki! Wio, stary diable! Fedruj jak się patrzy! A bez kamienia! Bo jak nie, to ci przyłożę styliskiem!

Rokitka pocił się, rwał węgiel, a Bulandra żuł tytoń, strzykał śliną koło jego nosa, popędzał go i raz po raz zdzielił mocno styliskiem, jeżeli ociągał się w pracy.

Odtąd Bulandra miał się dobrze, dużo zarabiał i jeżeli nie umarł, to jeszcze żyje.

Gustaw Morcinek

O tym, jak Zuzanka poszła w kumy do utopców



W Wiśle pod Skoczowem mieszkały utopce. Tych utopców była spora gromada. Były stare utopce, utopcuły i utopczęta. W słoneczny dzień utopczęta baraszkowały w Wiśle, fikały w niej koziołki, pluskały się i oblewały wzajemnie wodą. Piszczwały wtedy jak młode myszy i były ogromnie śmieszne. A stare utopce śmiały się i powiadały:

- Ha, nasze utopczęta są bardzo wiezgierne!

Rozmawiały bowiem ze sobą w gwarze śląskiej, a słowo "wiezgierny" oznacza tyle, co figlarny. Nie były one większe od krasnoludków. Miały małe mordki, zadarte noski, palce u przednich łapek spięte błoną jak u kaczki i ubrane były w czerwone kabatki i porcięta albo w czerwone sukienki. Poza tym wszystkie miały wielkie brzuszki i były tak grube, jak kudłaty pies Karuś gazdy Kurzejki.

Gazda Kurzejka był bardzo bogaty, lecz ogromnie skąpy. Niczego nie skąpił jedynie kudłatemu Karusiowi, który wylegiwał się w paradnej izbie na jedwabnej poduszce i chrapał jak stary koń. U gazdy Kurzejki służyła Zuzanka, sierota, co nie miała już ani ojca, ani matki. Była sama jak ten kołek w płocie. Gazda po śmierci jej matki, gdy już nikogo nie miała, tak powiedział:

- Nie becz, a chodź ze mną! Będziesz u mnie pasła gęsi i krowy!

Zuzanka poszła więc do gazdy Kurzejki i jego gęsi i krowy. Karuś miał się jednak lepiej aniżeli Zuzanka. Karuś zjadał rogaliki z masłem, Zuzanka suchy chleb. Karuś chleptał śmietaną, Zuzanka miała do chleba chudą wodziankę. Karuś sypiał na jedwabnej poduszce w paradnym pokoju, Zuzanka na starym, wyliniętym sienniku w stajni przy krowach...

Gazda Kurzejka nie miał serca, tylko kapuściany głąb w piersi. Zuzanka zaś miała dobre serce napełnione miodem. Jej serce pragnęło, by nikomu nie było krzywdy na świecie. Cóż z tego, kiedy jej działa się krzywda!

Utopce wiedziały wszystko. I o tym także wiedziały, że Zuzance dzieje się krzywda, i o tym, że gazda co wieczora liczy wysypane do skrzyni talary i nie może ich policzyć. I że potem sypia na owej skrzyni i lęka się, by mu jej złodzieje nie ukradli. Skąd utopce wiedziały o tym wszystkim, trudno się domyślić. Widać wychodziły w księżycowe noce z wody i zaglądały przez okno do izby gazdy Kurzejki.

Gdy Zuzanka pasła krowy nad Wisłą, utopce wylaziły z wody i przyglądały się jej ciekawie. Już dawno bowiem nie oglądały człowieka, który by miał dobre serce, a w tym sercu przelewał się rzetelny miód. - Kiwały więc głowami i drapały się za uchem. Myślały bowiem, jak przyjść Zuzance z pomocą. Zuzanka zaś nie widziała utopców, bo gdy chcą, to stają się one

niewidzialne dla człowieka. Czasem zapuszczały się na łąkę, jeżeli była noc księżycowa i duża rosa. Chodziły wtedy od kwiatka do kwiatka, wachały je, zaglądały w kielichy i kichały. Raz wybrał się w taką księżycową noc na przechadzkę po łące sam król utopców podobny do wielkiej ropuchy. Podpierał się berłem, kolebał się szeroko, przytrzymał sobie koronę na głowie, by mu nie spadła. Wachał każdy napotkany kwiat, potem kichał i głaskał się po brzuszku. Że jednak był już stary, rychło się zmęczył. Usiadł pod liściem łośnianu i zasnął.

Król utopców spał i spał i nie wiedział, że słońce już dawno wyszło na niebo i zlizawało rosę z łąki. Nadleciała pszczoła, zabrzęczała mu nad uchem i król zbudził się zdumiony.

I zaczął narzekać:

- Ojej, ojej! Co ja teraz zrobię? Co ja, biedny, teraz pocznę?

Zuzanka pasła niedaleko krowy. Posłyszała jakieś narzekanie w trawie pod liściem łośnianu. Podeszła więc, nachyliła się i ujrzała płaczącą ropuchę, bardzo brzydką i wycierającą kaprawe oczy.

- Czemu tak narzekasz, ropuszek? - zapytała. - Boli cię brzuszek?

- Wcale mnie nie boli brzuszek! Ojej, ojej!

- Głowiczka cię boli, ropuszek?

- Nie boli mnie głowiczka, tylko wyschła mi rosiczka!

- I cóż z tego, że rosiczka wyschła? W nocy będzie nowa!

- Bo ja nie jestem ropuchą, lecz królem utopców i teraz nie dojdę do Wisły.

- Czemu byś nie doszedł? Przecież Wisła niedaleko!

- Ha, bo ty nie wiesz, Zuzanko, że my, utopce, możemy chodzić po łące tylko wtedy, gdy jest jasna noc księżycowa i gdy jest duża rosa. Gdy nie ma rosy, jesteśmy zgubieni! Ojej, jej, jej!...

- zaczął znów narzekać i płakać.

Zuzanka, mająca dobre serce, rzekła mu, by już nie narzekał, bo się jej serce kraje z żalości.

Przecież nic łatwiejszego, jak zanieść go do rzeki.

- Zaniesiesz?

- Zaniosę! Czemu nie?

- A nie będziesz się mnie brzydziła?

- Dlaczego miałabym się brzydzić?

- Przecież jestem podobny do brzydkiej ropuchy!

Zuzanka zaśmiała się, wzięła króla utopców ostrożnie w dłonie i zaniosiła do Wisły. A król był wciąż ropuchą bardzo brzydką. Nachyliła się nad głębiną i ostrożnie bardzo zsunęła go z dłoni do Wisły. Wtedy w Wiśle stał się wielki hałas, woda rozkłębiła się i z głębin jęły wylać zatroskane utopce. Już bowiem wszystkie myślały, że ich króla zjadł bocian, który łaził po łące. I w całym wodnym państwie utopców narzekano, płakano, wywieszano czarne chorągwie na podwodnym zamku na znak wielkiej żaloby i nawet myślano o obwołaniu najstarszego utopca nowym królem. Teraz już jednak były ogromnie uradowane, że bocian nie zjadł ich króla i że sierotka Zuzanka przyniosła go w dłoni.

Stary król zaś, ledwie dotknął się wody, stał się prawdziwym królem utopców ze złotą koroną na głowie, z berłem w dłoni, w czerwonym płaszczu królewskim, w czerwonych porciętach pięknie wyszywanych, z wielkim brzuchem i w złotych pantoflach.

- Cicho! - zaskrzeczał na utopców, utopcule i utopczeńta, gdyż robiły zbyt wielki jarmark hałaśliwy z powodu jego przybycia. Skrzeczały bowiem wszystkie jak ogromny kierdel żab w stawie.

- Cicho! - wrzasnął bardzo groźnie i walnął berłem o wodę.

Nastała cisza, jakby ktoś mak siał. A wtedy król ukłonił się Zuzance bardzo dwornie złotą koroną i tak powiedział:

- Zuzanko, przeznacza dziewczyno! Powiedz, jaką dać ci nagrodę za to, że mnie wyratowałaś!

Zuzanka zachichotała ubawiona i rzekła tak:

- Dziękuję ci bardzo pięknie, roztomiły królu utopców, lecz nie chcę żadnej nagrody!

Utopce długo nie mogły się nadziwić takiej odpowiedzi Zuzanki. Najbardziej zdumiał się król i aż podrapał się berłem za uchem z tego zdumienia.

- Chcesz pieniędzy, klejnotów, pereł? - zapytał.

- Dziękuję bardzo pięknie - rzekła Zuzanka - lecz nie chcę.

- Więc co byś chciała w nagrodę? - zapytał zafrasowany król utopców.

- Zwiedzić twoje podwodne królestwo!

- Zgoda! - zaskrzeczał król. - Lecz kiedy już chcesz wejść w moje podwodne królestwo, to uczyn mi tę wielką łaskę i bądź matką chrzestną, czyli kumą, bo wczoraj urodziło mi się małe utopcę - królewiatko!

- Bardzo chętnie! - rzekła Zuzanka. - Tylko mam jedno zmartwienie.

- Jakie?

- Kto przez ten czas, gdy będę w twoim królestwie, upilnuje moich gości i krów? Jeżeli wejdą w szkodę, gazda będzie mnie bił, nie da mi jeść.

Król utopców podrapał się berłem za uchem i przez chwilę myślał. A gdy już skończył myśleć, tak powiedział:

- Nie martw się, Zuzanko! Nie mam królewskiej głowy od parady!

I ponieważ nie miał królewskiej głowy od parady, przeto polecił utopcom, by strzegły krów, nie dopuszczały ich do rzeki i uważały, żeby się pasły na trawniku koło drogi. A gości mają utopce odpędzić od rzeki, by ich woda nie porwała. I już wszystko było dobrze. Utopce pasły więc krowy i odpędzały gości od rzeki. Zuzanka zaś poszła z królem w najgłębszą głębinę. Wcale się nie bała, że się jej coś złego stanie.

W głębinie znajdował się pałac króla utopców i całe jego królestwo. Były tam komnaty pełne złota, marmurów, alabastrów, diamentów, srebra i dywanów. Tron był uformowany misternie ze złota i diamentów. Ze wszystkich stron płynęła słodka muzyka, a z muzyką sączyło się księżycowe światło. Zamiast latających ptaków pływały naokoło złote rybki o słonecznym połysku, inne były purpurowe, a wszystkie miały ogony szerokie, złociste, strzępiaste. Owe rybki były podobne do precudnych kwiatów, do złotych i purpurowych chryzantem i dlatego ich widok radował serce Zuzanki. Na tronie zasiadł król utopców, a obok tronu, w złotej kołysce, nabijanej perłami tak dużymi jak fasola, leżało malutkie utopcę. Takie niemowlę z wielkim brzuszkiem, owinięte w czerwone pieluszki. Bawiło się dużą konchą muszlową, która szumiała przedziwną muzyką.

Cóż z tego wszystkiego, kiedy owo niemowlę było brzydkie jak każdy utopiec.

- Wyjmij je z kołyski, pocałuj trzykrotnie w czoło i przytul do serca! - rzekł król do Zuzanki.

Zuzanka wyjęła niemowlę z kołyski, pocałowała trzykrotnie w czoło i przytuliła do serca.

I wtedy stała się dziwna rzecz!...

Utopcę, podobne do małej, brzydkiej ropuchy, przemieniło się w śliczne dzieciątko o niebieskich oczach. Tyle tylko, że palce u rąk miało spięte błoną jak u kaczki.

- Dobra z ciebie dziewczyna! - rzekł zadowolony król, a wszystkie złote rybki zaczęły nad Zuzanką tańczyć śląski taniec, który nazywa się "trojak".

Muzyka z konch muszlowych zaś wyciekała i układała się w melodię trojaka. I to było bardzo piękne.

- Dobra z ciebie dziewczyna! - rzekł powtórnie król utopców. - A teraz muszę cię wynagrodzić za to twoje dobre serce. Wiem, że gazda bije cię i głodzi. Jeżeli chcesz, to powiem tylko jedno słówko swym dworzanom, a oni go wciągną do Wisły i utopia, gdy będzie wracał pijany do domu. Chcesz?

- Nie, królu! Nie chcę i bardzo cię proszę, nie rób tego! - prosiła dziewczyna.

Wtedy znowu król ogromnie się zdziwił i zaczął się w tym zdziwieniu drapać berłem za uchem. A wszystkie utopce aż otworzyły szerokie gęby ze zdumienia. A tańczące złote rybki wytrzeszczyły swoje wybałuszone oczy na Zuzankę, gdyż także dziwiły się niezwykle.

- Jeżeli nie, to nie! - rzekł król. - A teraz pięknie dziękuję ci, Zuzanko, za to, żeś mnie wyratowała i że byłaś chrzestną malutkiego królewicza. Możesz już wracać na ziemię! Ale, ale! -

przypomniał sobie. - Zaraz, zaraz! Jeżeli nie chcesz, żeby moi dworzanie utopili w rzece twojego gazdę, to w nagrodę za twoje dobre serce weźmij sobie tyle złota i diamentów, ile zechcesz! - i wskazał berłem na ogromną pozłocistą skrzynię, wypełnioną kopytami złotem i diamentami. Bił z tej skrzyni taki blask, że Zuzanka musiała aż oczy przymrużyć.

- Dziękuję ci, królu! Za serce nie płaci się ani złotem, ani diamentami, tylko sercem. Nie wezmę więc twojego złota i twoich diamentów.

Ponieważ król nie mógł pojąć odpowiedzi Zuzanki, przeto podrapał się berłem za uchem, podrapały się wszystkie utopczęta, utopcule i utopce także za uchem, złote rybki wytrzeszczyły znowu ślepka na dziewczynę w zdumieniu, a potem król rzekł do jednego z dworzan:

- Przywołaj mi tu nadwornego filozofa, żeby mi wyjaśnił odpowiedź tej dziewczyny!

Przyszedł utopiec, który był filozofem. Tym się różnił od innych utopców, że na nosie miał okulary i że był cienki i chudy. A pod pachą niósł wielką księgę. Otworzył ją i długo szukał wyjaśnienia słów Zuzanki. Znalazł w końcu i powiedział, że w jego księdze mądrości stoi napisane, iż Zuzanka ma złote serce napełnione miodem i dlatego tak powiedziała, jak powiedziała.

- A co powiedziała, bo ja już zapomniałem? - rzekł król.

- Powiedziała, że za serce, czyli za dobry uczynek, nie płaci się ani złotem, ani diamentami, tylko także sercem, czyli dobrym uczynkiem...

- Aha! - rzekł król z ulgą, bo już wszystko zrozumiał.

A za nim cały dwór i wszystkie utopce i utopcule, i utopczęta także rzekli pospólnie:

- Aha! A złote rybki i purpurowe rybki też chciały rzec: "Aha", lecz nie umiały i tylko takie srebrne bańki wyleciały im z pyszczków.

Potem król z całym swym dworem odprowadził Zuzankę na próg swego królestwa. Zuzanka zaś rzekła:

- Gdym szła na próg twego królestwa, o królu utopców, to przypomniałam sobie coś, o co pragnęłabym cię prosić.

- Słucham, Zuzanko, mów, o co chcesz prosić! - rzekł król.

I nastąpiła wielka cisza, jakby ktoś mak siał, gdyż każdy chciał słyszeć, o co Zuzanka będzie prosić.

A Zuzanka rzekła:

- Widzisz, królu! Rzeka Wisła rokrocznie wylewa, zabiera brzegi, zabiera ludziom pole i ludzie są krzywdzeni. Uczyn tak, by Wisła już ich więcej nie krzywdziła! O to tylko proszę cię, królu!

Król podrapał się znowu berłem za uchem ze zdziwienia, gdyż nie spodziewał się takiej prośby. Oto zamiast złota i diamentów i zamiast pomsty na złym gaǳdzie, dziewczyna prosi, by Wisła nie robiła krzywdy ludziom.

- Stanie się, o co prosisz! - powiedział i skinął berłem.

A wtedy utopce wyprowadziły Zuzankę na brzeg i Zuzanka znowu pasła gęsi i krowy aż do wieczora. Wieczorem, gdy zjadła chudą wodziankę z kromką suchego chleba, poszła do stajni, by się położyć na swym sienniku bardzo wyliniałym. Spała aż do rana, lecz gdy się rano zbudziła, zauważyła, że się jej jakoś niewygodnie spało. Jakby słoma w sienniku stwardniała, zesztyniała. Popatrzyła i aż się za głowę złapała ze zdziwienia! Przecież to nie słoma ze słomy, lecz słoma ze złota. Każde ździebełko jest złote! Zaciekawione krowy, a były to Kwiatula, Srokula, Kontesa i Łaciata, podeszły i także zaczęły się ogromnie dziwić i w tym zdumieniu wołać:

- Mhu! Mhuuu!

Przyszły gęsi, wyciągnęły szyje i także się dziwiły i wrzeszczały, i gęgały:

- Gę! Gę! Gę!

Gazda posłyszał ryczące krowy i gęgające gęsi. Pomyślał, że tchórz wlaź do stajni, porwał więc lagę i pospieszył zobaczyć, co się dzieje. Wpadł i aż usiadł ze zdumienia. O jerum pajtasz! Samo złoto! Pełny siennik złotych słomek, a każda słomka ze szczerego złota!... Porwał ich pełną garść, lecz w tej samej chwili złote słomki przemieniły się w zwykłą słomę. Spróbował po raz drugi, po trzeci raz znowu i nic z tego nie wyszło. Zamiast złota trzyma słomę. A gdy ją porzuci, przemienia się w złoto.

- Czary czy jakiego diabła? - mruknął.

- To nie czary, gazdo! - rzekła Zuzanka. - To zrobiły utopce w nagrodę za to, że poratowałam ich króla...

- Co ty mówisz? Powiedz, jak to było z tym królem!

Zuzanka opowiedziała wszystko, co a jak. O tym też, jak była w kumy u króla utopców. I o tym, jak prosiła króla, by Wisła nie wylewała corocznie i nie robiła ludziom szkody. I o tym, jak król przyrzekł, że już nie będzie powodzi. I o wszystkim opowiedziała. Gazda posmutniał ze zmartwienia i poszedł liczyć swoje talary w skrzyni. Liczył je i liczył, i nie mógł się ich doliczyć. I myślał, że gdyby tak jemu przytrafiło się takie szczęście z tym królem utopców, to także by miał pełno złota w sienniku.

O Zuzance dowiedział się jeden król i wysłał do niej posłów z prośbą, czyby chciała wyjść za jego syna. Zuzanka zgodziła się, bo pomyślała, że gdy będzie królową, to może dużo dobrego zrobić dla ludzi. Wzięła więc siennik ze złotą słomą do królewskiej karocy i pojechała na królewski dwór. Potem było tam wielkie wesele i Zuzanka została królową. Gazda zaś siwił ze zmartwienia, że to on nie ma tego siennika ze złotą słomą. I gdy tylko była noc księżycowa, a na łące dużo rosy, to wczesnym rankiem łąził w trawie i szukał starego króla utopców. Przypuszczał bowiem, że go znajdzie śpiącego pod liściem łopianu. Łąził tak i łąził, aż pewnego razu posłyszał narzekanie pod liściem łopianu. Pobiegł tam szybko i ujrzał brzydką ropuchę.

Ropucha bardzo narzekała, że stało się jej nieszczęście, powiedziała, że jest królem utopców i bardzo pięknie prosi o zanieśenie do rzeki. Gazda brzydził się ropuchą. Splunął, wziął chusteczkę, ujął przez nią ropuchę i zaniósł do rzeki. Tam, zamiast zsunąć do wody, wrzucił ją z obrzydzeniem. I zaledwie ropucha wpadła do rzeki, przemieniła się w króla z koroną na głowie, w czerwonym płaszczu, ze złotym berłem w dłoni i w złotych pantoflach. W wodzie zaś powstał radosny zgielk, bo wszystkie utopce, utopcule i utopczęta zbiegły się wielką kupą i ogromnie się radowały, że król wrócił do ich królestwa rzecznego.

Król zaś uklonił się dwornie, zdjął przed gazdą koronę i zapytał:

- Gazdo! Wyratowałeś mnie, zaniósłeś do wody, mów, czym cię wynagrodzić?

Na to tylko czekał gazda. Wrzasnął więc uradowany:

- O królu nad królami! Wynagrodź mnie, jak wynagrodziłeś Zuzankę!

- Hm, zobaczymy! - rzekł król i zniknął w wodzie.

A z nim wszystkie utopce, utopcule i utopczęta. Gazda poszedł do domu, napchał do siennika słomy i położył na skrzyni, w której były talary. A gdy już nadeszła noc, położył się na owym sienniku i strasznie się radował na przebudzenie. Bo gdy się rano obudzi, będzie spał nie na słomie, lecz na złocie!...

Spał i spał, aż się wyspał, i gdy słońce wyszło na niebo, obudził się. Pomacał siennik, zajrzał do środka, a tu nic! Nie ma złota, tylko zwykła słoma! Ogromnie się zmartwił, że zamiast słomy nie ma złota. I postanowił więc uradować swoje serce...

Nie, serca nie miał, tylko głąb kapuściany! Postanowił więc uradować ów kapuściany głąb w piersi i przeliczyć talary w skrzyni. Otworzył ją i struchlał. Zamiast talarów widzi sieczkę. Stoją woreczki w skrzyni, a w woreczkach sieczka! Nie ma talarów!

I już teraz nie miał talarów, tylko srogą biedę w domu.

Gustaw Morcinek

O tym, jak owczarz ukarał ciekawą babę



Był raz jeden owczarz, człowiek bardzo sprawiedliwy.

Miał dobre serce, miłował ludzi i zwierzęta i chociaż ludzie go nieraz krzywdzili, mawiał uśmiechnięty:

- No, niech tam.

Za to zwierzęta nigdy mu nie okazywały złego serca. Sarny i jelenie jadły z jego ręki, wilki nie napadały na jego owce, niedźwiedzie podchodziły doń i mrucały przyjaźnie i jeżeli dał im trochę miodu polizać, to w ogóle nie chciały od niego odejść. Wróble i inne ptaki siadały mu na głowie i na ramionach i także jadły chleb z jego ręki, a nigdy się nie zdarzyło, by nawet najsroższy orzeł porwał się na jagnię z jego owczego kierdela. Co więcej, owczarz wiedział wszystko, co się działo na świecie. Wystarczyło mu się na upłazie w słońcu, wygrzewać twarz i swoje stare kości i słuchać, co szczebiocą ptaki, co piszczą myszy, co szczeka jego pies, Bosek, o czym pobekują owce, jakie dziwy mruczy niedźwiedź, no i wszystko. Nie wolno mu jednak było nikomu zdradzić tego, co słyszał i rozumiał z ptasiej i zwierzęcej mowy, bo w przeciwnym razie musiałby natychmiast umrzeć.

Żył on kiedyś ze swoją babą w dolinie, ale ją opuścił, bo to była niedobra stwora. Doszło do tego, że ją nawet sprął powozem we czworo złożonym, a potem powiedział do niej:

- Miej się dobrze, niedobra babeczko. Nie chcę z tobą żyć. - I poszedł w góry pasać owce góralom.

A to miało swoją przyczynę, że jej tak powiedział.

Bo gdy raz orał, to pług ciągnęła para koni. Był to Siwek i Meluzyna. I oba konie z sobą rozmawiały po swojemu. On zaś słuchał i nic. Potem przyszła jego baba z obiadem i gdy ją konie zobaczyły, to ta kobyła Meluzyna rzekła:

- Chwała Bogu, że już przyszła ta gruba baba, bo sobie trochę spocznę.

A na to odrzekł Siwek:

- Bo z ciebie jest pieroński leń. Ty byś nic nie chciała robić, jak tylko spoczywać. Gdy pług ciągniemy, to ty tylko udajesz, że ciągniesz, a ja muszę za ciebie drzeć, aż mi oczy wyłażą z głowy.

- Bo nie jestem głupia! - rzekła kobyła Meluzyna, - Wszak sami ludzie powiadają, że z nadmiaru roboty konie zdychają. A ja nie mam ochoty zdychać.

- Idź, a nie faflej po daremniczy - obruszył się rozżłoszczony Siwek.

Rozmowę tę słyszał i rozumiał owczarz, który wtedy jeszcze był gazdą, i roześmiał się głośno.

- Czemu się śmiesz, chłopczku? - zapytała jego baba.

- Ech, nic - chciał ją zbyć gazda, bo nie umiał kłamać.
- Przecież tylko powiedz, czemu się roześmiałeś - nalegała.

Ale on nie chciał, gdyż wiedział, że musi umrzeć, jeżeli się zdradzi, że rozumie mowę zwierząt. I im dłużej wzbierał się powiedzieć, czemu się śmiał, tym dłużej baba jego nalegała i nalegała. W końcu już mu to dogryzło i tak jej powiedział:

- Słuchaj, babeczko. Jeżeli ci powiem, dlaczego się śmiałem, to muszę umrzeć.
- To umrzyj, a powiedz mi, bo nie wytrzymam z ciekawości.

Siwek i Meluzyna przysłuchiwały się tej rozmowie. Siwek powiedział tak do kobyły Meluzyny:

- Ten nasz gazda, jaki jest, to jest, ale jest głupi.
- A po jakiemu? - zapytała Meluzyna.
- Że gotów ustąpić swojej babie i zdradzić, że rozumie naszą końską mowę.
- No, wielkie rzeczy. To niech powie.
- No tak, powiedzieć to on może. Ale słyszałaś przecież, jak jej tłumaczył, że jeżeli powie,

to musi umrzeć.

- Ojej, to byłoby szkoda naszego gazdy! - zarżała Meluzyna.
- Pewnie, że szkoda. Wiesz, Meluzyno, co ja bym zrobił, gdybym był gazdą?
- Co byś zrobił, aże co?

- Ja bym sprął powrozem gaździnę, co by się zmieściło. I wybiłbym jej z głowy tę ciekawość.

Słyszał to i rozumiał nasz gazda, i znowu roześmiał się głośno.

A jego baba w te pędy:

- Znowu się śmiejesz? Powiedz, czemu się śmiejesz, bo jeżeli nie powiesz, to mi pypeć na języku wyskoczy.

- Powiedziałem ci już, że nie mogę, bo jeżeli powiem, to muszę umrzeć.
- A ja ci już mówiłam, umrzyj zaraz, tylko mi powiedz.

Konie słuchały i lekko się podśmiewały z gazdy. To znaczy, leciutko rżały. A Siwek wciąż powtarzał:

- To jest głupi gazda. Spralbym taką ciekawską babę.

Gazda zaś rzekł do swej baby:

- Więc dobrze, powiem ci, ale dopiero wieczorem, gdy wrócę do domu. Ty zaś przygotuj mi łóżko i śmiertelną koszulę. Ja się w nią przebiorę, położę się w łóżku, żeby mi się lżej umierało, i wtedy ci powiem, dlaczego się śmiałem.

- Dobrze, chłopczku. Dobrze! - uradowała się baba i pognęła do domu przygotować gaździe łóżko do umierania i śmiertelną koszulę.

Gazda zaś myślał, że niemożliwe, by jego baba nie opamiętała się i nie namyśliła. Przypuszczał, że zanim nadejdzie wieczór, wszystko to sobie rozważy i powie tak: "Już nie chcę wiedzieć, chłopczku, czemu się śmiałeś, bo nie chcę, żebyś umierał!" I dobrze.

Gazda orał aż do zachodu słońca i słuchał, jak Siwek wciąż powtarza kobyłe Meluzynie, że na miejscu gazdy spralby gaździnę powrozem we czworo złożonym. Wieczorem wrócił gazda do domu, wyprzągł konie i poszedł do izby. A tu patrzy - łóżko pięknie zaścielone, nakryte bielutkim prześcieradłem, na prześcieradle leży przygotowana śmiertelna koszula, a na stoliku obok łóżka pali się już gromnica wetknięta do szyjki butelki.

- Toż kładź się, chłopczku - mówi baba - a powiedz mi nareszcie, czemu się śmiałeś. Bo już nie mogę wytrzymać z ciekawości!

Gazda się rozebrał, wdział na siebie śmiertelną koszulę, położył się do łóżka, a baba kręciła się i czekała niecierpliwie, kiedy nareszcie jej powie, czemu się śmiał.

- Ale jeszcze jedno! - rzekł gazda. - Zanim ci to powiem, to weź mocny powróż, złóż we czworo, zanurz we wrzącej wodzie, a potem mi go przynieś!

- A potem mi powiesz?
- Powiem, powiem...

Baba skoczyła więc do komory, wyszukała najmocniejszy powróż, zanurzyła go we wrzącej wodzie. A tymczasem gazda leżał i słuchał, co sobie Siwek z Meluzyną opowiadają. Już wszystkie wróble zwiedziały się, że gazda za chwilę umrze. Zwiedziały się także o tym największe plotkarki sroki, zwiedziały jazgotliwe kury na podwórzu i kogut także, i teraz konie, wróble, kawki, kury i kogut zaczęły narzekać, że ich gazda umrze. I gdy kawki latały po całej okolicy i roznosiły plotkę o tym, że ich gazda już umarł, a wróble ćwierkały żałośnie na kalenicy i narzekały, a kury pogdakiwały żałośliwie, to kogut wyleciał na grzędę i zawołał:

- Kukuryku! To jest stomilioński niedołęga ten nasz gazda! Ja mam dwadzieścia kur i wszystkie muszą mnie słuchać, a on ma tylko jedną babę i musi być jej posłuszny. Ale sprabym taką babę, aż by strzępce leciały. Żal mi tego gazdy!

- A mnie jak bardzo żal! - wtrącił koń Siwek. - Taki porządny i dobry człowiek, a z powodu babskiej ciekawości musi umierać. Ja, bym też sprab taką babę.

- Ojej, jej, jej! - narzekały kury zbite w gromadkę. - Szkoda naszego gazdy!

- Ćwir, ćwir, ćwir! - lamentowały wróble i skakały po kalenicy. - Nasz gazda już jest na drugim świecie! Już umarł! Widziałyśmy, jak jego dusza w białej koszuli uleciała kominem - wrzeszczały kawki, latały po całej wsi i roznosiły dyrdymałki.

Gazda wszystko słyszał i rozumiał, lecz tylko się uśmiechał. Nareszcie baba wpadła z powrozem we czworo złożonym, dobrze namoczonym we wrzącej wodzie.

- Tu masz, chłopczyku, a teraz mów, bo już mi pypeć rośnie na języku z ciekawości.

Wtedy gazda porwał powróż i sprab babę, jak mu radzili Siwek i kogut, a potem zabrał się i poszedł. Po prostu udał się w świat, bo nie chciał żyć z taką żoną, której nie było żal męża.

Gustaw Morcinek

Trębacz ratuszowy i król kruków



Opowiem wam dziś pewną piękną historię o ratuszu poznańskim.

Ratusz poznański znacie z pewnością wszyscy, a przynajmniej znacie wy wszyscy, którzy mieszkacie w Poznaniu, a wy kochani, mieszkający tam dalej, poza Poznaniem, widzieliście już zapewne ratusz poznański choćby na obrazku, na fotografii. Jest to najpiękniejszy gmach Poznania, a jeden z najpiękniejszych w całej Polsce. Wznosi się on na starym rynku od sześciuset lat, a dumna jego, wysoka, niebotyczna wieża pamięta jeszcze chwały pełne czasy Jagiellońskie. Z wieży tej roztacza się piękny widok na całe miasto i daleką okolicę. W wieży, tuż pod wielkim zegarem, znajduje się od dawien dawna izba tak zwanego trębacza ratuszowego.

Trębacz ratuszowy był w dawnych czasach wartownikiem miejskim, to znaczy - czuwał stale we dnie i w nocy nad bezpieczeństwem miasta. Jeżeli na przykład gdzieś w mieście wybuchnął pożar, wtedy trębacz ratuszowy trąbił na alarm, wzywając mieszkańców do gaszenia pożaru. Otóż przed wielu, wielu laty takim strażnikiem ratuszowym był zacny i wierny Przemko. Miał on synka Bolka, dla którego największą radością było przebywanie na galerijce wieży. Przesiadywał tam też codziennie całymi godzinami. Przyglądał się ze swej wysoczyzny ludziom chodzącym ulicami, takim maleńkim jak karzełki. I przyglądał się chmurkom na niebie, które przybierały kształty różnych wielkoludów i koni, i smoków fantastycznych.

I przysłuchiwał się głośnemu tykaniu zegara ratuszowego, który powtarzał bez przerwy swoją mowę tajemniczą: Tyk - tak, tyk - tak, tyk - tak, było tak, jest tak, będzie tak! A potem huczał: Bam - bam - bam, ludzie tam, ludzie tam, a ja sam, służę wam, bam, bam...

Ach, śliczny był świat tam wysoko, na wieży ratuszowej, całkiem inny niż ten mały, tam na dole, na rynku i ulicach miasta. Toteż Bolko postanowił zostać, gdy dorośnie, jeno trębaczem ratuszowym, podobnie jak ojciec jego, Przemko.

Jednego razu, kiedy Bolko siedział jak zwykle na galerijce wieży i rozmarzonym okiem w dal patrzył, nagle coś czarnego runęło u nóg jego. Bolko przeraził się ogromnie, ale uspokoił się niebawem, gdy spostrzegł, że był to tylko ptak, czarny kruk. Ptak leżał u stóp jego bezsilny, z obwisłym i skrwawionym skrzydłem. Bolko był chłopcem bardzo dobrym i litościwym dla

wszelkich zwierząt. Toteż nie namyślając się długo, podniósł ostrożnie rannego kruka, pogłaskał czule po czarnym, lśniącym łebku i zaniósł do izby ojcowej. Tu wymyśl mu troskliwie zranione skrzydło, ranę wysmarował tłuszczem gojącym i ułożył na miękkim wełniaku, w kącie obok swego łóżeczka. Bolko siadywał teraz całymi dniami przy krukami i pielęgnował go z serdeczną litością. I jakaż była jego radość, gdy po kilku dniach kruk wyzdrowiał już o tyle, że mógł się jako tako ruszać. Od tej chwili - skacząc zabawnie, kruk chodził wszędzie za Bolkiem, niby piesek wierny za swoim panem.

Aliści minął dalszy tydzień, kruk zupełnie już wyzdrowiał i wtedy jednej nocy zdarzyło się coś bardzo niezwykłego. Oto kruk wskoczył na łóżeczko i dziobem uderzył Bolka lekko kilka razy w rękę. Bolko zbudził się, otworzył oczy szeroko - i nagle stała się światłość.

Przed nim stał kruk, który niebawem zmienił się w małego karzełka, w długim płaszczu purpurowym i ze złotą koroną na głowie. Bolko oniemiał z przerażenia. Ale w tej chwili karzełek przemówił do niego głosem smutnym a pełnym miłości:

- Nie lękaj się, Bolku. Ja jestem królem kruków, któremu uratowałeś życie. Pewien strzelec miejski strzelił do mnie z samopału i przestrzelił mi skrzydło. I gdyby nie twoje serce litościwe i twoja troskliwa opieka, byłbym na pewno umarł. Ale teraz nadeszła chwila, kiedy musimy się rozstać. Muszę już wracać do mego ludu kruczego. Tobie zawdzięczam dziś życie, a w podzięk za okazaną mi litość i miłość pozostawiam ci ten oto mały upominek.

Powiedziawszy to, wręczył Bolkowi małą srebrną trąbkę, po czym rzekł jeszcze:

- Gdy będziesz kiedy w potrzebie, zatrąb na tej trąbce z wieży ratuszowej, zatrąb z każdego narożnika wieży na cztery strony świata i czekaj na mnie z ufnością. A teraz żegnaj mi!

I karzełek zmienił się z powrotem w kruka, skoczył na okno, rozpostarł skrzydła i zniknął w przestrzeni, wśród ciemnej nocy...

Po odlocie kruka Bolko posmutniał bardzo, żal mu było ptaka, który stał mu się towarzyszem najmilszym i zabawką i do którego przywiązał się całym sercem. Nazajutrz wyszukał w domu mocną tasiemkę, przywiązał do trąbki, po czym trąbkę zawiesił na piersi. Odtąd już nie rozłączał się z trąbką ani na chwilę. Minęły lata i Bolko wyrósł na dzielnego młodzieńca; pomagał ojcu w czuwaniu na wieży nad bezpieczeństwem miasta, a poza tym ćwiczył się w rzemiośle wojennym jako żołnierz miejski dla obrony miasta.

I wtedy to nastąpiły ciężkie czasy dla Poznania. Wojska nieprzyjacielskie wtargnęły do Polski, stanęły przed murami Poznania i zaczęły uderzać na nie ze wszystkich stron. Poznańscy bronili się dzielnie, a najdzielniej walczył Bolko. Ale nieprzyjaciół było bardzo wielu. I kiedy wojska nieprzyjacielskie z wielką siłą uderzyły na bramę Wrocławską, wtedy zdawało się, że maluczko, a miasto zdobędą. Kobiety, dzieci i starcy w popłochu chronili się do kościołów i pałacu arcybiskupiego na wyspie tumskiej, a przy bramie zagrożonej zostali jeno mężczyźni. Walczyli jak lwy, ale szeregi ich malały coraz bardziej. Bolko, widząc dokoła siebie tak straszne spustoszenie, szalał z rozpaczy na myśl, że ukochane miasto padnie ofiarą wroga.

Ale wtedy właśnie przypomniał sobie z lat dziecięcych trąbkę i słowa karzełka, króla kruków:

"Gdy będziesz w potrzebie, zatrąb na tej trąbce z wieży ratuszowej na cztery strony świata i czekaj na mnie z ufnością".

I Bolko powiedział sobie:

"Wszakże jestem teraz w wielkiej potrzebie, wszakże miastu mojemu i wszystkim mieszkańcom grozi straszne niebezpieczeństwo od wroga. Pokaż więc, trąbko moja, swoją moc!"

Po czym Bolko zawołał do swych walczących towarzyszy:

- Wytrwajcie, bracia, na stanowisku! Nie dajcie się! Ja śpieszę po pomoc! Nasze będzie zwycięstwo! Wytrwajcie! Bóg i Ojczyzna! - krzyknął i pobiegł co tchu w stronę ratusza, wbiegł po krętych schodach na wieżę ratuszową i na swej srebrnej trąbce zagrał z całych sił na wszystkie cztery strony świata.

Gdy przebrzmiał ostatni dźwięk trąbki, Bolko wyteżył wzrok i słuch. Z zapartym oddechem czekał na to, co teraz powinno nastąpić. Hen, na dole, na murach koło bramy Wrocławskiej toczyła się dalej walka zażarta i nic nie zaszło takiego, co by zapowiadało bliski ratunek dla obłożonych.

Bolko niecierpliwił się coraz więcej, każda chwila oczekiwania wydawała mu się wiecznością. Okrzyki walczących wzmagają się, rosną, aż w pewnej chwili wybuchają potężnym rykiem zwycięstwa. To wojska nieprzyjacielskie zaczynają przełamywać opór walecznych obrońców. Bolko, zobaczywszy to, myślał już tylko o tym, że nie wolno mu stać tu bezczynnie, że musi podążyć co prędzej naprzeciw wrogom -i choćby zginąć śmiercią walecznych.

I już odwrócił się, by zbiec z wieży ratuszowej, gdy wtem ktoś przytrzymał go za kurtkę. Bolko spojrzął za siebie i jakież było jego zdziwienie, kiedy ujrzał króla kruków w płaszczu purpurowym na ramionach i w koronie złotej na głowie.

- Przywołałeś mnie - rzekł do Bolka. - Uspokój się, pomoc już bliska. - A powiedziawszy to, przyłożył do ust maleńką złotą trąbkę i zatrąbił swój sygnał królewski.

I w tejże chwili na krańcach nieba pokazały się chmury czarne, które zbliżały się z błyskawiczną szybkością. Były to olbrzymie, niezliczone, tysiączne stada kruków, nadlatujących ze wszystkich stron. Bolko, zobaczywszy to, oniemiał całkiem ze zdumienia.

Zafurkotało w powietrzu, załomotało, jak gdyby grzmot szalejącej burzy i tysiące kruków, kracząc złowieszczo, runęły z góry wprost na wojska nieprzyjacielskie. Mocnymi skrzydłami biły w twarze napastników: I wtedy stało się coś całkiem nieoczekiwanego. Wrogowie sądząc że to sam diabeł wystąpił przeciwko nim na czele swych wojsk piekielnych, rzucali broń i uciekali w popłochu. Ale kruki nie zaprzestały walki, a przeciwnie - rzuciły się w pogoń za uciekającymi i zabijały ich swoimi dziobami. Bolko nie posiadał się z radości. Pałającymi oczyma śledził przebieg tej dziwnej walki i ostateczną klęskę wojsk napastniczych.

A kiedy ostatni już wróg legł pod ciosami potężnych kruków, wtedy dopiero ocknął się i odwrócił się, ażeby podziękować swemu wybawcy. Ale króla kruków już nie było. Znikł niepostrzeżenie. Bolko dojrzał go w oddali; lecącego wysoko na czele swych zwycięskich wojsk kruczych. Zerwał więc czapkę z głowy i krzyknął za odlatującymi:

- Żegnaj mi, królu kruków! Dzięki ci, dzięki stokrotne za zwycięstwo!

Radość wielka zapanowała w mieście z powodu pogromu wroga. Bolka w nagrodę za uratowanie miasta od wroga obnoszono tryumfalnie po wszystkich ulicach i obrano wójtem miasta Poznania. A dla uczczenia tego niezwykłego zwycięstwa postanowiono, ażeby trębacz ratuszowy od tej pory grał hejnał zwycięski króla kruków stale, co godzinę z czterech narożników wieży.

Hejnał ten słyszemy po dziś dzień.

Kruki co prawda już nie przylatują, ponieważ srebrna trąbka króla kruków zaginęła bezpowrotnie. Bolko upuścił ją z wieży przerażony widokiem zbliżających się stad kruczych. I mimo poszukiwań trąbki czarodziejskiej już nie znaleziono. Przepadła bez śladu.

Pozostał jednak hejnał, który nam gra.

Czesław Kędzierski

Zatopione miasto



W tym miejscu gdzie dziś rozlewa swe wody jezioro pod miasteczkiem Pszczewem, w województwie poznańskim, rozciągało się przed setkami lat duże miasto. Po czystych ulicach, przy których stały piękne domy, chodzili bogato odziani mieszczanie. Wszędzie dosyć było jadła, nikt nie miał w tym mieście powodu do smutku i zgrzyoty.

Aż któregoś dnia, w letnie syte popołudnie, szedł ulicami obcy człowiek. Był obdarty i wynędzniały, wspierał się na dużym kiju, wystruganym z gałęzi lipowej. Szedł ubogi i nieznany, łaknący widać pożywienia. Ale mieszczanie i mieszczeni mijali go obojętnie, spoglądając z pogardliwym uśmiechem na jego nędzę. Gdy więc nikt nie kwapił się, aby mu okazać gościnność, nieznany przybysz sam zapukał do pierwszych z brzegu drzwi. Uchyliły się i wyjrzała zza nich rumiana, okrągła twarz gospodyni. Wędrowiec pokłonił się i powiedział:

- Strudzony jestem daleką drogą i głodny. Czybyście nie dali mi schronienia i posiłku?

Ale gospodyni zatrasnęła drzwi.

W innym zaś domu gruby gospodarz ofuknął nieznajomego, a w jeszcze innym nawet obiecali psami wyszczuć, gdyby upominał się o pożywienie i chciał dłużej stać przy wejściu. Poszedł więc dalej i dopiero na przedmieściu ośmielił się zapukać do jakiegoś niedużego domku.

Mieszkała w nim staruszka. Przyjęła gościnnie wędrowca, podzieliła się z nim chlebem i postawiła przed nim misę dymiącej kaszy. Wyszedł potem podróżny przed dom, pokłonił się pięknie gospodyni, podziękował za przyjęcie, opodal jej domu wbił w ziemię swój kij lipowy, sękaty. Kiedy patrzyła na to zdumiona, rzekł:

- Niechaj z tego kija wyrosnie przy twoim gościnnym domu piękne drzewo lipowe. Ale gdy drzewo to uschnie, wraz z nim zginie i to miasto okrutne, i jego nielitościwi mieszkańcy!

Odszedł potem nieznajomy gościńcem w szarzącym mroku, a nazajutrz stara kobieta ujrzała na miejscu, gdzie był wbity kij - piękną, rozłożystą lipę, wonnym kwieciem okrytą. Pokochała to dziwne drzewo gospodyni z domku na przedmieściu, siadywała w jego cieniu i pamiętając o słowach nieznajomego wędrowca - pielęgnowała, aby nie uschło.

I było piękne, i zieleniło się jeszcze przez kilka lat. Ale potem, gdy umarła stara kobieta, zaczęło schnąć, gdyż nikt już o nie nie dbał. Nikt nie pielęgnował pięknej lipy, mimo że gospodyni z domku na przedmieściu powtarzała wielokrotnie mieszczanom słowa dziwnego przybysza. Aż wreszcie w pewien dzień pochmurny i ponury... zerwał się ogromny wicher. Targana jego podmuchami lipa runęła, a jednocześnie małe jeziorko rozlało się nagle szeroko i jego ciemne, spienione fale pochłonęły złe miasto.

Zapadło się ono, hen, w głąb ziemi i tylko jeden dom ocalał na przedmieściu.

Dom starej kobiety.

Później do tego domu wprowadzili się jacyś ludzie i zbudowano jeszcze inne domy w pobliżu - i tak z czasem powstało miasteczko Pszczew.

Nigdy jednak nie osiągnęło ono świetności zatopionego miasta. I tylko czasem starzy ludzie w tamtej okolicy, gdy zaczną wsłuchiwać się w ciszę wieczorną - twierdzą, że słyszą bicie dzwonów w jego kościołach i gwar rozmów na podwodnych ulicach.

Maria Krüger

Wieża Trzech Płaszczy



Dawne to były czasy, pradawne, bo zdarzyło się to jeszcze zanim król Kazimierz Wielki kazał Lublin otoczyć murem obronnym i wznieść tam zamek.

Otóż, jak niesie wieść, zanim ten królewski zamek zbudowano, przedtem jeszcze nie kto inny, ale księżę Bolko, zwany Krzywoustym, postanowił tam postawić wieżę wysoką i mocną, aby ostała się napaściom wroga i aby z jej wierzchołka można było ogarniać wzrokiem ziemie leżące dokoła. Tak to sobie Bolko Krzywousty zamierzył i kazał wieżę wznosić co najzdolniejszym budowniczym.

Budowali ją więc z wielkich głazów, które na samym jej dole stanowiły podstawę, a dalej wznwyż kładli ciosane kamienie, tak że wieża miała mury grube i mocne. Budowali ją szybko, bo takie było Bolkowe rozkazanie, aby jak najprędzej została wzniesiona. A kiedy już wreszcie stała wysoka i potężna, kazał Bolko ogłosić, że temu odda wieżę w posiadanie, kto podejmie się nad piękną i żyzną ziemią lubelską czuwać.

Ledwie więc pachołkowie tę wieść obwołali, zjawił się przed księciem rycerz o wspaniałej postaci i wyraził gotowość podjęcia się tej opieki. Słowo rycerskie na to dawał, że pilnie i sprawiedliwie będzie spełniać swoją powinność. A potem, okryty pięknym, fałdzistym płaszczem z zielonego sukna, podarowanym mu przez księcia, wszedł na wieżę, aby ogarnąć spojrzeniem podległe mu ziemie.

Ledwie jednak ukazał się na jej wierzchołku, wiatr się zerwał, załopotał zielonym płaszczem i huk się rozległ, jakby gromy biły. Wieża się wtedy zachwiała jak wąż drzewina i w jednej chwili runęła. Kamienie, choć przecież były mocno spojone, rozsypały się jak garść żwiru, a rycerz zniknął nie wiadomo gdzie, jakby się w powietrzu rozplątał. Tak więc wszyscy pojęli, że był to człowiek niegodny zaufania księcia i że nie dałby tej ziemi ani opieki, ani obrony.

Zmartwił się księżę Bolko, Krzywoustym zwany, ale że nie lubił od swoich zamierzeń odstępować, po raz drugi kazał wieżę wznosić. Na nowo więc ludzie zaczęli się przy jej budowie krzątać, a spieszenie, aby księżę nie czekał długo na wykonanie swojego rozkazu.

I wkrótce wieża znów stanęła piękna i mocna.

I tym razem znowu ogłoszone zostało, że dzielny i szlachetny woj może się ubiegać o objęcie w posiadanie wieży, a także i opieki nad lubelską ziemią. Zjawił się więc wkrótce drugi rycerz. Był nie mniej wspaniały od tamtego pierwszego, a otrzymany od księcia czerwony płaszcz pięknie zdobił jego wyniosłą postać. Cóż jednak z tego, kiedy ledwie wszedł na wieżę i stanął na jej wierzchołku, wiatr zaraz zerwał się potężny, czerwonym płaszczem zaczął szarpać, a gromy znów się rozległy. Wieża zachwiała się i tym razem także runęła w gruzach. Zaś rycerz zniknął nie wiadomo jak.

Pokręcił głową książę Bolko i po raz trzeci kazał wieżę wznosić.

Budowali ją więc po raz trzeci budowniczy nie żałując wysiłku, aż wreszcie po raz trzeci stanęła w tym samym miejscu. I po raz trzeci książę wezwał do stawienia się tego spośród rycerzy, który okazałby się godnym pozostania na wieży i objęcia opieki nad ziemią.

Mimo jednak, że dwukrotnie wezwanie było ogłoszone, nikt się nie zjawił, aż dopiero po trzecim wołaniu stanął przed Bolkiem rycerz nikomu nie znany. Smukły był jak topola i postać miał młodzieńczą. Twarzy jego nie było widać, gdyż hełm ją zasłaniał, ale głos miał młody i pięknie brzmiący, gdy księciu przyrzekał, że ziemi tej nie opuści i postara się być jej godnym opiekunem. Że zaś już książę podarował swoje dwa płaszcze tamtym rycerzom, a trzeciego równie pięknego nie miał, więc zarzucił młodzieńcowi na ramiona szarą opończę, którą podczas podróży zwykł się okrywać. I tak tą opończę okryty wszedł ów rycerz na wieżę.

Zaś opodał czekał tłum ludzi niepewnych, co się też dalej stanie. Jakoż wiatr się zerwał i tym razem i gromy się także odezwały, tyle że wieża nie zachwiała się. Trwała mocna, wyniosła, a na jej wierzchołku stał rycerz nieznany. Stał tak przez chwilę, aż wreszcie, gdy wiatr załopotał jego szarym płaszczem, on ręce rozłożył jak ptak do lotu, odbił się stopami od kamiennych murów i uniół się w powietrze.

Okrzyk zdumienia wyrwał się ze wszystkich piersi.

A on zakołował w tym locie nad wieżą i wtedy wszyscy obecni dostrzegli, że jak orzeł unosi się w powietrzu. Więc już teraz nawet nikt nie krzyknął, bo tak to dziwne było niezmiernie, i tylko w milczeniu patrzyli ludzie z okolicy i książęca drużyna, i sam książę - co dalej dzieć się będzie. Tymczasem srebrnoszary ptak trzykrotnie zakreślił swym lotem koło nad wieżą, aż wreszcie przysiadł na jej wierzchołku.

Zdumienie wtedy ogromne zapanowało, a książę Bolko, zwany Krzywoustym, tyle tylko rzekł - że widać tak ma być i niechaj tak już po wieki wieków zostanie.

Zaś wieża, nazwana Wieżą Trzech Płaszczy, trwała potem przez długie wieki i opierała się najazdom Jadźwingów i Tatarów, aż wreszcie czas ją skruszył i tylko pozostała po niej ta stara, prastara legenda.

Maria Krüger

Jabłoń



Dawno, bo prawie sześć wieków temu, o milę od królewskiego miasta Parczewa zaczynał się las ogromny i nieprzebyty, Czarnym zwany. Drzewa gęsto tam rosły i zakrywały niebo tak, że nawet w południe ciemno pod nimi było jak w nocy.

Od dawien dawna przez Czarny Las wiódł trakt szeroki, którym kupcy z południa i zachodu przewozili swe towary na Litwę i Ruś. Ale odkąd zaczął tam grasować zbój Sławój, trakt przestał być bezpieczny. Sławój, pośród gromady swoich kompanów, którym przewodził, był najwyższy, najzręczniejszy, ale i najbardziej okrutny. Miał ogromną, ciężką, z drzewa jabłoniowego sporządzoną maczugę, w której tkwiły ostre krzemienie. Czyhał na przejeżdżających ludzi, grabił, co tylko mieli, a kto mu próbował się oprzeć, tego zabijał. Najchętniej napadał na kupców. Ale zdarzało się, że i co zamożniejszym kmieciom nie darował. Rozeszła się wieść o okrutnym zbroju i trwoga ogarnęła okolicę. Niejeden, komu wypadło jechać tamtędy, wołał nawet kilka mil drogi nałożyć, byle ominąć ów niebezpieczny trakt.

Jednego razu zdarzyło się, że gościńcem przez Czarny Las przejeżdżał król Polski i Litwy Władysław Jagiełło wraz z niedawno poślubioną, młodziutką żoną Jadwigą.

Sławój, znęcony bogactwem strojów, postanowił ograbić nadjeżdżający orszak. Na dany znak zgraja zbójców z dzikim wrzaskiem wypadła na drogę i otoczyła królewską karocę. W mgnieniu oka zbójce powalili na ziemię nie spodziewających się niczego i przerażonych pachołków.

Ale ciągnący za królem o kilka stajni hufiec rycerski przybył królowi z pomocą.

W walce padł ciężko obuszkiem raniony herszt zbójców Sławój. Jeden z rycerzy królewskich chciał go dobić i już się nań czekaniem zamierzył, ale przeszkodziła temu królowa Jadwiga.

- Powalonego nie godzi się zabijać! - zawołała.

* * *

Minęło wiele lat.

O okrutnym zbroju Sławoju zapomniano i tylko starzy ludzie opowiadali o nim nieraz wieczorami przy łuczywie. Król Władysław, bawiący akurat wczesną jesienią w Parczewie, wyruszył pewnego dnia na łowy. Czarny Las huczał graniem myśliwskich rogów, aż złociste liście sypały się z drzew. Zapędził się król za śmigłym jeleniem w gęstwinę, gdy nagle doszedł go zapach dojrzałych jabłek. Zapach był tak przyjemny i mocny, że król zapragnął skosztować owoców i wstrzymał nieco konia. Oczom królewskim ukazała się mała polana, a na jej brzegu drzewo rozłożyste, a gałęzie na nim ugięły się od ciężkich, złocistorumianych jabłek.

Pod jabłonią klęczał starzec wychudły, podobny do pnia, o który głową był wsparty. Włosy siwe okrywały mu nagie ramiona, biała jak mleko broda spływała aż do ziemi.

- Hej, człowieku! - zawołał król. - Ktoś ty?

Starzec poruszył się. Popatrzył na króla wyblakłymi oczyma i odrzekł powoli, z wysiłkiem:

- Poznaję was, panie. Wyście wtedy przed laty jechali gościńcem. Jestem tym, którego niegdyś zwano Sławojem.

Zdumiał się król Władysław.

Przypomniał sobie ów dzień, kiedy jechał tędy z królową Jadwigą, która w niedługi czas zmarła młodo... I dawna, przygasła już boleść obudziła się na nowo w królewskim sercu. Nadjechali dworzanie i stanawszy kołem słuchali, jak Sławój, klęcząc i obejmując jabłoń, trzęsącym się głosem wyznawał królowi swe winy.

- Byłem okrutny i chciwy. Stawałem na gościńcu, grabiłem, zabijałem. Aż wtedy nie udało się i sam ległem. Jasna pani, co z wami jechała, nie dała mnie zabić. Wiele dni przeleżałem w niemocy. Potem zatknąłem w ziemię swoją skrwawioną pałkę i uczyniłem ślub, że już nigdy nikogo nie ukrzywdzę. Każdego dnia czyniąc pokutę, polewałem łzami tę pałkę, że zazieleniła się i jabłonią wyrosła. Te jabłka na niej to ludzie, których kiedyś pobiłem.

- Straszne są twoje winy - zawołał król. - Ale i długoś za nie pokutował. Mów, czego żądasz, człowieku.

- Mnie nic nie trzeba, umieram... - odrzekł gasnącym głosem starzec i osunął się na ziemię nieżywy.

- Pogrzebcie go - rozkazał po chwili król dworzanom, po czym nawrócił konia i ruszył z wolna ku traktowi.

* * *

Mijały lata i wieki.

O strasznym zbroju Sławoju ludzie pieśni śpiewali. Czarny Las wytrzebiono niemal doszczętnie. A w tym miejscu, gdzie rosła jabłoń, o dwie mile na północny wschód od Parczewa, znajduje się dziś miejscowość o nazwie Jabłoń.

Apolinary Nosalski

Jak Bartek gęsi roztropnie dzielił



W pewnej wiosce mieszkał przed wielu laty pewien chłop.

Bartek mu było. Bartek i tyle - a nazwiska nikt nie pamiętał. Wiadomo tylko, że źle mu się wiodło. I pracowity był, i zapobiegliwy, ale co z tego, kiedy coraz to jakaś bieda na niego spadała. A to grad zboże mu wybił, a to wilk owcę mu porwał. A miał Bartek do wyżywienia i żonę, i chyba ze czworo dzieci. No, to co zrobić? Z całego inwentarza tylko jedna, jedyna gąska siwa mu została.

Zawinął Bartek pieczoną gęś w czystą szmatkę i do dworu idzie.

Przyszedł przed ganek, a tam akurat dziedzic z rodziną przy stole do obiadu się zabiera. Pokłonił się Bartek i podarunek daje.

- Ho, ho, a toż piękne pieczyste - zadziwił się dziedzic.

I Bartka do stołu zaprosił. A potem tak powiada:

- Zjemy tę gęś razem, ale że o dowcipie twoim i roztropności dużo słyszałem, więc proszę, abyś tę gęś sprawiedliwie podzielił.

Trochę się Bartek tym żądaniem stropił, ale wziął nóż do ręki i gęś dzielić zaczyna. Najpierw odciął gęsią głowę i tak do pana powiada:

- To dla was, panie dziedzicu, boście rodziny całej głowa. Dla małżonki twojej ogonek się należy, bo w ogoniastych sukniach po domu się przechadza. Dwóm waszym synom - po nóżce na talerz kładę, by chodzili tymi ścieżkami, którymi ich ojciec dotychczas sam koło gospodarstwa chodził. Dwóm panienkom po skrzydełku - aby prędko wyrosły i za mąż z domu jak najszybciej wyleciały, a reszta... reszta to chyba dla mnie będzie, bom najgłodniejszy.

Roześmiał się dziedzic.

- Dobrze podzieliłeś, bracie. A że roztropny i sprawiedliwy jesteś, to ci dopomogę.

I dał Bartkowi krówkę łaciatą i prosiaka, i żyta worek.

Dowiedział się o tym Walek, Bartkowy sąsiad, który nie był biedny, tylko był chciwy i zazdrosny niezmiernie. I zaraz sobie pomyślał, że jeśli Bartek za jedną gęś dostał tyle, to chyba on za pięć pieczonych gęsi dostanie dużo więcej.

Dziedzic pięknie za dar Walkowi podziękował i do stołu go prosi, a mówi przy tym:

- Podzielcie teraz te gęsi, mój Walenty, ale tak, aby nikomu krzywdy nie było.

Walek w głowę się skrobie i myśli, jakże podzielić te pięć gęsi? Roześmiał się dziedzic i powiada:

- Ech, widzę, że twojego sąsiada będziemy musieli zaprosić, żeby znów sprawiedliwie podzielił. - I po Bartka posłał.

Przyszedł Bartek, pokłonił się pięknie, przy stole siadł i tak powiada:

- Kiedyście, panie, kazali, to dzielić będę po mojemu. A więc tak: Pan, pani i jedna gąska - to troje. Dwaj synkowie i jedna gąska - to też troje. Córeczki dwie nadobne i jedna gąska - to znów troje. Bez niczyjej urazy i krzywdy - ja i dwie gąski - to też trójka. Cóż, panie, jakże uważacie, czym dobrze podzielił?

A tak się potem ta gadka o gęsiach Bartkowych rozeszła po całej okolicy, że wioskę podobno od tego czasu Gąsewem ludzie zaczęli nazywać.

Maria Krüger

Kwiat paproci



Od wieków wiecznych wszystkim wiadomo, a szczególnie starym babusiom, które o tym szeroko a dużo opowiadają wieczorem przy kominie, gdy się na nim drewna jasno palą i wesoło potrzaskują, że nocą Świętego Jana, która najkrótsza jest w całym roku, kwitnie paproć, a kto jej kwiatusek znajdzie, urwie i schowa, ten wielkie na ziemi szczęście mieć będzie. Bieda zaś cała z tego, że noc ta jest tylko jedna w roku, a taka niezmiernie krótka, i paproć w każdym lesie tylko jedna zakwita, a to w takim zakątku, tak ukryta, że nadzwyczajnego trzeba szczęścia, aby na nią trafić. Ci, co się na tych cudowiskach znają, mówią jeszcze i to, że droga do kwiatu bardzo jest trudna i niebezpieczna, że tam różne strachy przeszkadzają, bronią, nie dopuszczają i nadzwyczajnej uwagi potrzeba, aby zdobyć ten kwiat. Dalej jeszcze powiadają, że samego kwiatka w początku rozeznąć trudno, bo się wydaje maleńki, brzydki, niepozorny, a dopiero urwany przemienia się w cudownej piękności kielich. Że to tak bardzo trudno dojść do tego kwiatuseka i ułapić go, że mało kto go oglądał, a starzy ludzie wiedzą o nim tylko z posłuchów, więc każdy rozpowiada inaczej i swojego coś dorzuca.

Ale to przecież pewne, że nocą świętojańską on kwitnie, krótko, póki kury nie zapieją, a kto go zerwie, ten już będzie miał, co zechce.

Pomyśli tedy sobie, choćby najcudowniejszą rzecz, ziści mu się wnet. Wiadomo także, iż tylko młody może tego kwiatu dostać, i to rękami czystymi. Stary człowiek, choćby nań trafił, to mu się w palcach w próchno rozsypie.

Tak ludzie bają, a w każdej baśni jest ziarenko prawdy, choć obwijają ludzie w różne szmatki to jąderko, że często go dopatrzeć trudno, ale tak i ono jest.

I z tym kwiatkiem to jedno pewna, że on nocą Świętego Jana zakwita.

Pewnego czasu był sobie chłopak, któremu na imię było Jacuś, a we wsi przezywali go ciekawym, że zawsze szperał, szukał, słuchał, a co było najtrudniej dostać, on się najgoręcej do tego garnał... taką już miał naturę. Co pod nogami znalazł, po co tylko ręką było sięgnąć, to sobie lekceważył, za ba - i - bardzo miał, a o co się musiał dobijać, karku nadłamać, najwięcej mu smakowało.

Trafiło się tedy raz, że gdy wieczorem przy ogniu siedzieli, a on sobie kij kozikiem wyrzynał, chcąc koniecznie psią głowę na nim posadzić - stara Niemczycha, baba okrutnie rozumna, która po świecie bywała i знаła wszystko, poczęła powiadać o tym kwiecie paproci... Ciekawy Jacuś słuchał i tak się zasłuchał, że mu aż kij z rąk wypadł, a kozikiem sobie omal palców nie pozarzynał. Niemczycha o kwiecie paproci rozpowiadała tak, jakby go sama w żywe oczy widziała, choć po jej łachmanach szczęścia nie było znać.

Gdy skończyła, Jacuś powiedział sobie:

- Niech się dzieje, co chce, a ja kwiatu tego muszę dostać. Dostanę go, bo człowiek, kiedy chce mocno, a powie sobie, że musi to być, zawsze w końcu na swoim postawi.

Jacuś to często powtarzał i takie miał głupie przekonanie.

Tuż pod wioską, w której stała chata rodzicieli Jacusia z ogrodem i polem - był niedaleko las i pod nim właśnie obchodzono Sobótki, a ogień palono w noc świętojańską. Powiedział sobie Jacuś:

- Gdy drudzy będą przez ogień skakali i łydki sobie parzyli, pójdę w las, znajdę ten kwiat paproci. Nie uda mi się jednego roku, pójdę na drugi, na trzeci i będę chodził póty, aż go wyszukam i zdobędę.

Przez kilka miesięcy potem czekał, czekał na tę noc i o niczym nie myślał, tylko o tym. Czas mu się strasznie długim wydawał. Na ostatek nadszedł dzień, zbliżyła się noc, której on tak wyglądał; ze wsi wszystka młodzież się wysypała ogień palić, skakać, śpiewać i zabawiać się. Jacuś się umył czysto, wdział koszulinę białą, pasik czerwony, łapcie lipowe nie noszone, czapkę z pawim piórkiem i jak tylko pora nadeszła, a mrok zapadł, szmyrgnął do lasu.

Las stał czarny, głuchy, nad nim noc ciemna z mrugającymi gwiazdami, które świeciły, ale tylko sobie, bo z nich ziemi nie było użytku. Znał Jacuś dobrze drogę w głąb lasu po dniu i jaka ona bywała w powszedni czas. Teraz gdy się zapuścił w głąb - osobliwsza rzecz, nie mógł ani wiadomej drożyny znaleźć, ani drzew rozpoznać.

Wszystko było jakieś inne. Pnie drzew zrobiły się ogromnie duże, powalone na ziemi. Kłody powyrastały tak, że ani ich obejść, ani przez nie przeleźć; krzaki się znalazły gęste a kolące, jakich tu nigdy nie bywało; pokrzywy piekły, osty kęsały. Ciemno, choć oczy wykol, a wśród tych zmroków gęstych coraz to zaświeci para oczu jakichś i patrzą na niego, jakby go zjeść chciały, a mienia się żółto, zielono, czerwono, białe - i nagle - migną i gasną. Oczu tych, na prawo - na lewo, w dole, na górze, pokazywało się mnóstwo, ale Jacuś się ich nie uląkł. Wiedział, że one go tylko nastraszyć chciały, i pomrukiwał, że to strachy na Lachy!

Szedł dalej, ale co to była za ciężka sprawa z tym chodem! To mu kłoda drogę zawałiła, to on przez nią się przewalił. Drapie się, a gdy na wierzch wlaź i ma się spuścić, patrzy, a ona się zrobiła taka mała, że ją mógł nogą przestąpić. Dalej stoi na drodze sosna, w górze jej końca nie ma, dołem pień jak wieża gruby. Idzie wokoło niego, idzie, aż gdy obszedł, patrzy, a to patyk taki cienki, że go na kij wyłamać by można...

Zrozumiał tedy, że to wszystko było zwodnictwo nieczystej siły.

Potem stanęły na drodze gąszcze takie, że ani palca przez nie precisnąć, ale Jacuś jak się rzucił, pchnął, machnął: zduślił je, zmiętosił, połamał i przedarł się szczęśliwie. Idzie, aż moczar i błota. Obejść ani sposób. Spróbował nogą, grzęźnie, aże ani dna dostać. Gdzieniedzie kępiny wyrastają, więc on z kępy na kępę. Co stąpi na którą, to mu się ona spod stóp wysuwa, ale jak począł biec, dostał się na drugą stronę błota. Patrzy za siebie, aż kępiny wyglądają gdyby ludzkie głowy z błota i śmieją się... gdyby przyszło powiedzieć, którądy nazad do wsi, już by nie umiał rozpoznać, w której stronie leżała.

Wtem patrzy, przed nim ogromny krzak paproci, ale taki jak dąb najstarszy, a na jednym liściu jego, u spodu, świeci się, gdyby brylant, kwiatusek jak przylepiony... pięć w nim listków złotych, w środku zaś oko śmiejące się, a tak obracające ciągle jak młyńskie koło...

Jacusiowi serce uderzyło, rękę wyciągnął i już miał pochwycić kwiat, gdy nie wiedzieć skąd, jak... - kogut zapiał.

Kwiatek otworzył wielkie oko, błysnął nim i - zgasnął.

Śmiechy tylko dały się słyszeć dokoła, ale czy to liście szemrały tak, czy się co śmiało, czy żaby skrzeczały, tego Jacuś rozpoznać nie mógł, bo mu się w głowie zawieruszyło, zaszumiało, nogi jakby kto podciął, i zwałił się na ziemię. Potem już nie wiedzieć, co się z nim stało, aż się znalazł w chacie na pościeli, a matka płacząc mówiła mu, że szukając go po lesię, nad ranem półżywego znalazła.

Jacuś sobie teraz wszystko dobrze przypominał, ale do niczego się nie przyznał.

Wstyd mu było.

Powiedział sobie tylko, że na tym nie koniec, przyjdzie drugi Święty Jan, zobaczymy... Przez cały rok tylko o tym dumał, ale żeby się z niego ludzie nie śmieli, nikomu nic nie mówił. Znowu tedy umył się czysto, koszulę włożył białą, pasik czerwony, łapcie lipowe nie noszone - i gdy drudzy do ogni szli, on w las. Myślał, że znowu mu się przyjdzie przedzierać jak za pierwszym razem, aż ten sam las i ta sama droga zrobiła się zupełnie inną. Wysmukłe sosny i dęby stały porozstawiane szeroko na gołym polu kamieniami posianym... Od jednego drzewa do drugiego iść było potrzeba, iść, i choć zdawało się tuż blisko, nie mógł dojść, jakby uciekało od niego, a kamienie ogromne, mchem całe porośłe, śliskie, choć leżały nieruchome, jakby z ziemi wyrastały.

Pomiędzy nimi paproci stało różnej: małej, dużej, jak zasiał, ale kwiatu na żadnej. Z początku paproci było po kostki, potem po kolana, aż w pas, dalej po szyję - i utonął w niej nareszcie, bo go przerosła... Szumiało w niej jak na morzu, a w szumie niby śmiech słychać było, niby jęk i płacz. Na którą nogą postąpił, syczała, którą ręką pochwycił, jakby z niej krew ciekła...

Zdawało mu się, że szedł rok cały, tak długą wydawała mu się ta droga... Kwiatu nigdzie... nie zawrócił się jednak i nie stracił serca, a szedł dalej. Na ostatek... patrzy, świeci, z dala ten sam kwiatek, pięć listków złotych dokoła, a w środku oko obraca się jak młyn... Jacuś podbiegł, rękę wyciągnął, znowu kury zapiały - i znikło widzenie. Ale już teraz nie padł ani omdlał, tylko siadł na kamieniu. Z początku na łzy mu się zbierało, potem gniew w sercu poczuł i zburzyło się w nim wszystko.

- Do trzech razy sztuka! - zawołał z gniewem.

A że zmęczony się czuł, położył się między kamienie na mchu i zasnął. Ledwie oczy zmrużył, gdy mu się marzyć poczęło.

Patrzy, stoi przed nim kwiatek o listkach pięciu, z oczkiem pośrodku i śmieje się...

- A co? Masz już dosyć - mówi do niego - będziesz ty mnie prześladował?

- Com raz powiedział, to się musi stać - mruknął Jacuś - na tym nie koniec, będę cię miał!

Jeden listek kwiatka przedłużył się jak jęczyzek i Jacusiowi się wydawało, jakby mu na przekorę się pokazał, potem znikło wszystko i spał snem twardym do rana. Gdy się obudził, znalazł się w znajomym miejscu na skraju lasu, niedaleko od wioski, i sam nie wiedział już, czy to, co wczoraj było, snem miał zwać czy jawą.

Powróciwszy do chaty zmęczony się tylko czuł tak, że położyć się musiał, i matuś mówiła mu, że wygląda jak z krzyża zdjęty. Przez cały rok, nic nie mówiąc nikomu, myślał ciągle, jak by tego dokonać, żeby kwiatu dostać. Nie mógł jednak nic wydumać, trzeba było spuścić się na szczęście swoje, na dolę lub niedolę.

Wieczorem znowu koszulę wdział białą, pasik czerwony, łapcie nie noszone, i choć go matka nie puszczała, jak tylko ściemniało, pobiegł do lasu. Stała się znowu inna rzecz, las był taki jak zawsze pospolitych dni, nic się już w nim nie zmieniło. Ścieżki i drzewa były znajome, żadnego cudowiska nie spotykał, a paproci nigdzie ani na lekarstwo. Ale lżej mu było wiadomymi ścieżkami dostać się daleko, daleko w gąszcze, gdzie pamiętał dobrze, że paprocie rosły... znalazł je na miejscu i nuż w nich grzebać, ale kwiatu nigdzie ani śladu. Po jednym łąziły robaki, na drugim spały gąsienice, inne liście były poschłe. Już miał Jacuś z rozpaczki porzucić daremne szukanie, gdy - tuż pod nogami zobaczył kwiatek, pięć listków miał złotych, a w środku oko świecące. Wyciągnął rękę i pochwycił go. Zapiekło go jak ogniem, ale nie rzucił, trzymał mocno.

Kwiat w oczach rosnać mu poczynał, a taką jasność miał, że Jacuś musiał powieki przymykać, bo go oślepiała. Wciągnął go zaraz za pazuchę pod lewą rękę, na serce...

Wtem głos się odezwał do niego:

- Wziąłeś mnie - szczęście to twoje, ale pamiętaj o tym, że kto mnie ma, ten wszystko może, co chce, tylko z nikim i nigdy swoim szczęściem dzielić mu się nie wolno...

Jacusiowi tak się w głowie z wielkiej radości zaćmiło, że niewiele na ten głos zważał.

"A! Co mi tam! - rzekł w duchu - byle mnie na świecie dobrze było..."

Poczuł zaraz, że mu ów kwiat do ciała przylgnał, przyrósł i w serce zapuścił korzonki...

Ucieszył się z tego bardzo, bo się nie obawiał, aby uciekł albo by mu go odebrano. Z czapką na bakier; podśpiewując, powracał nazad. Droga przed nim świeciła jak pas srebrny,

drzewa ustępowały, krzaki się odchyłały, kwiaty, które mijał, kłaniały mu się do ziemi, z głową podniesioną stapał i tylko roił, czego ma żądać. Zachciało mu się naprzód pałacu, wioski ogromnej, służby licznej i straszego państwa; no i ledwie o tym pomyślał, gdy znalazł się na skraju lasu, ale w okolicy zupełnie mu nie znanej...

Spojrzawszy sam na siebie poznać się nie mógł. Ubrany był w suknie z najprzedniejszej sajety, buty miał na nogach ze złotymi podkówkami, pas sadzony, koszulę z najcieńszego śląskiego płótna. Tuż stał powóz, koni białych sześć w chomątach pozłocistych, służba w galonach - kamerdyner rękę mu podał kłaniając się, wsadził do karety i - wio! był u ganku, na którym służba liczna czekała. Tylko ani znajomego nikogo, ani przyjaciela, twarze wszystkie nieznane, osobliwe, jakby poprzestraszone i pełne trwogi. Miał za to na co patrzeć, wszedłszy do środka...

Strach, co to był za przepych i jaki dostatek - tylko ptasiego mleka brakło.

- No! Będę teraz używał! - mówił Jacuś i opatrzywszy kąty wszystkie naprzód poszedł do łóżka, bo go sen brał po tej nocy pracowitej.

Jak w puchu legł na białej cieniutkiej, przykrywszy się kołdrą jedwabną; i gdy usnął - sam nie wiedział, ile godzin tam przeleżał. Obudził się, gdy mu się strasznie jeść zachciało. Stół był zastawiony, gotowy i taki osobliwy, że co Jacuś pomyślał, to mu się na półmisku sunęło samo. I jak spał bardzo długo, tak teraz, począwszy jeść a popijając, nie przestał, aż dalej już nie było co wymyślić i smak stracił do jada.

Szedł potem do ogrodu.

Cały on był sadzony takimi drzewami, na których kwiatów było pełno razem i owoców; a coraz to nowe odkrywały się widoki. Z jednej strony ogród przypierał do morza, a z drugiej do lasu wspaniałego; środkiem płynęła rzeka. Jacuś chodził, usta otwierał, dziwił się, a najbardziej to mu się wydawało niezrozumiałym, że nigdzie swojej znajomej okolicy ani tego lasu, z którego wyszedł, ani wioski - dopatrzeć się nie mógł. Nie zatęsknił jeszcze za nimi, ale - ot, tak jakoś chciało mu się wiedzieć, gdzie się one podziały.

Wkoło otaczał go świat zupełnie mu obcy, inny, piękny, wspaniały, ale nie swój. Jakoś mu zaczynało być markotno. Na zawołanie jednak, gdy się ludzie zbiegać zaczęli a kłaniać mu nisko, a co tylko zażądał spełniać i prawić mu takie słodcze, że po nich tylko się było oblizywać - Jacuś o wsi rodzinnej, o chacie i rodzicach zapomniał.

Nazajutrz zaprowadzono go na żądanie do skarbcza, gdzie stosami leżało złoto, srebro, diamenty i takie różne malowane papiery szczególne, za które można było dostać, co dusza zapragnie, choć były robione z prostych gałganków, jak każdy papier inny.

Pomyślał sobie Jacuś:

"Miły Boże, gdybym to ja mógł garść jedną albo drugą posłać ojcu i matysi, braciom i siostrze, żeby sobie pola przykupili albo chudoby" - ale wiedział o tym, że jego szczęście takie było, iż mu się z nikim dzielić nim nie godziło, bo zaraz by wszystko przepadło.

"Mój miły Boże! - rzekł sobie w duchu - co ja mam się o kogo troszczyć albo koniecznie pomagać; czy to oni rozumu i rąk nie mają? Niechaj każdy sobie idzie i szuka kwiatu, a daje radę jak może, aby mnie dobrze było".

I tak żył sobie Jacuś dalej, wymyślając coraz to co nowego na zabawę. Więc budował coraz nowe pałace, ogród przerabiał, konie siwe mieniał na kasztanowe, a kare na bułane, posprowadzał dziwów z końca świata, stroił się w złoto i drogie kamienie, do stołu mu przywozili przysmaki z za morza, aż w końcu sprzykrzyło się wszystko. Więc po pulpetach jadł surową rzepę, a po jarząbkach schab wieprzowy i kartofle, a i to się przejadło, bo głodu nigdy nie znał.

Najgorzej z tym było, że nie miał co robić, bo mu nie wypadało ani siekiery wziąć, ani grabi i rydła. Nudzić się począł wściekle, a na to innej rady nie znał, tylko ludzi męczyć, to mu robiło jaką taką rozrywkę, a i ta w końcu się uprzykrzyła...

Upłynął tak rok jeden i drugi - wszystko miał, czego dusza zapragnęła, a szczęście to mu się wydawało czasem tak głupie, że mu życie brzydło. Najwięcej go teraz gnębiła tęsknica do wioski swojej, do chaty i rodziców, żeby ich choć zobaczyć, choć dowiedzieć się, co się z nimi tam dzieje...

Matkę kochał bardzo, a jak ją wspominał, serce mu się ścisnęło. Jednego dnia zebrało mu się na odwagę wielką - i siadłszy do powozu pomyślał, aby się znalazł we wsi przed chatą rodziców. Natychmiast ruszyły konie, leciały jak wichry i nie opatrzył się, gdy zatrzymał się przed znanym mu dobrze podwórkiem. Jacusiowi łzy się z oczu puściły. Wszystko to było takie, jak porzucił przed kilku latami, ale postarzałe, a po tych wspaniałościach, do których nawykł, jeszcze mu się nędzniejszym wydawało. Żłób stary przy studni, pieniek, na którym drewno rąbał, wrotka od dziedzińca, dach porośnięty mchem, drabina przy nim... stały jak wczoraj. A ludzie?

Z chaty wychyliła się stara, przygarbiona niewiasta, w zasmolonej koszuli, z obawą spoglądając na powóz, który się przed chatą zatrzymał. Jacuś wysiadł; pierwszy spotykający go w podwórku był... stary Burek, jeszcze chudszy, niż był niegdyś, z sierścią najeżoną. Szczekał na niego zajadle, przysiadając na tyle i ani myślał poznać. Jacuś postąpił ku chacie, w progu jej wsparta o uszak drzwi stała matka wlepiając w niego oczy, ale i ta nie zdawała się w nim swojego rodzzonego domyślać...

Jacusiowi serce biło wzruszeniem wielkim.

- Matuś - zawołał - ta toć ja, wasz Jacek!

Na głos ten drgnęła staruszka, oczy zaczerwienione od dymu i płaczu skierowała ku niemu i stała oniemiała. Potrzęsła potem głowę.

- Jacuś? Wolne żarty, jasnie panie! Tamtego już na świecie nie ma. Gdyby żył, toćby przecie przez lat tyle do biednych rodziców się zgłosił, a gdyby jak wy we wszystko opływał, z głodu nie dałby im umrzeć.

Pokiwała głową i uśmiechnęła się szydersko.

- Gdzie tam! Gdzie tam! - rzekła. - Jacuś mój miał serce poczciwe i nie chciałby nawet szczęścia, którym by się nie mógł podzielić ze swoimi.

Zasromał się mocno Jacuś, oczy spuścił...

Kieszenie miał pełniusienkie złota - ale co ręką sięgnął, żeby garść jego rzucić w fartuch matce, to strach go brał wszystko razem utracić...

I stał tak, stał upokorzony, zawstydzony, a starucha na niego spoglądała...

Poza nią zbierało się rodzeństwo, pokazała się głowa ojca... Jacusiowi serce miękło, ale jak spojrzął na swój powóz, konie, ludzi, a pomyślał o pałacu, znowu twardniało - i czuł, że kwiat paproci leżał na nim jak pancierz żelazny...

Odwrócił się od starej matki nie mówiąc słowa, nie patrząc, i wolnym krokiem poszedł, słysząc tylko za sobą wściekle ujadającego Burka... Siadł do powozu i kazał jechać na powrót do raju. Ale co się w nim i z nim działo, tego język nie wypowie, żadne pióro nie opisze. Słowa starej matki, że nie ma szczęścia dla człowieka, jeżeli się nim dzielić nie może, brzmiały mu w uszach jak przekleństwo.

Powróciwszy do pałacu kazał kapeli grać, panom swoim tańcować, zastawiać stoły - upił się nawet trochę, kilku ludzi kazał oćwiczyć, ale to wszystko nie pomogło, pozostał bardzo markotny...

Przez cały rok, choć jak zwykle we wszystko opływał; w gębie mu czegoś było gorzko, a w sercu jakby kamień dźwigał... Nie mógł w końcu wytrzymać, po roku znowu pojechał do wsi swojej i chaty... Spojrzął, wszystko, jak było: żłób, pieniek, dach, drabina, wrota i Burek z sierścią najeżoną - ale stara nie wyszła.

W progu pokazał się w koszulinie najmłodszy brat jego, Maciek.

- A matuś gdzie? - zapytał przybyły.

- Chorzy leżą - rzekł malec wzdychając.

- A tatuś?

- Na mogiłkach...

Choć Burek mało go za pięty nie chwycił, wszedł Jacuś do chaty.

Stara matka stękając leżała w kątku na łóżeczku. Podszedł do niej Jacuś... popatrzyła nań, nie poznała... Mówić jej trudno było, a on o nic pytać się nie śmiał. Serce mu się krajało. Już sięgał do kieszeni, aby złotem sypnąć na ławę - ale dłoń mu się ścisnęła, strach go paskudny ogarnął, że własne szczęście utraci. Niegodziwy Jacuś począł mędrkować.

- Starej już się niewiele na świecie należy, a jam młody. Ona się długo męczyć nie będzie... a przede mną... życie, świat, panowanie.

I wyrwał się z chaty do powozu, a z nim do pałacu - ale przybywszy tu zamknął się i płakał. Pod żelaznym pancerzem na piersi; który włożył na niego kwiat paproci, związane i skrepowane budziło się sumienie... i gryzło mu wewnątrz serce.

Więc kazał kapeli grać, a dworni skakać, i pić zaczął, aby je zagłuszyć. Chwilami zdawało się, że go już nie słyhać, a potem - jak wrzasło, Jacuś o mało nie oszalał. Ale nazajutrz i dni następnych ani na moment nie spoczywając nużył się ciągle czymś, latał, jeździł, strzelał, słuchał wrzasków różnych, jadł, pił... hulał... Nic nie pomagało...

W uszach ponad wszystkie wrzaski brzmiało:

"Nie ma szczęścia dla człowieka, jeżeli się nim z drugim podzielić nie może!"

Rok nie upłynął, aż Jacuś wysechł jak szczapa, wyżółkł jak воск - i w tym swoim dostatku i szczęściu męczył się nie do zniesienia. W końcu po jednej nocy bezsennej nakładłszy złota w kieszenie kazał się wieźć do chaty. Miał to postanowienie, choćby wszystko stracił, a matkę i rodzeństwo poratować.

- Niech się już dzieje, co chce! - mówił. - Niech ginę, dłużej z tym robakiem w piersi żyć nie mogę.

Stały konie przed chatą.

Wszystko tu było jak przedtem: żłób stary u studni, pieńki, dach, drabina - ale w progu chaty żywej duszy nie było. Jacuś pobiegł do drzwi - stały kołkiem podparte; zajrzał przez okno - chata była pusta... Wtem żebrak, stojący u płota, wołać nań zaczął:

- A czego tam szukacie, jasny panie... Chata pusta, wszystko w niej wymarło z biedy, z głodu i choroby...

Jakby skamieniały stał ów szczęśliwiec u progu - stał i stał...

Z mojej winy zginęli oni - rzekł w duchu - niechże i ja ginę!"

Ledwie to rzekł, gdy ziemia się otworzyła i zniknął - a z nim ów nieszczęsny kwiat paproci, którego dziś już próżno szukać po świecie.

Józef Ignacy Kraszewski

Najpiękniejsze ręce



Siedział stary książę na ławie dębowej, przykrytej skórą niedźwiedzią.

W kominie płonęły jasno drwa, a on czuł chłód przenikliwy w każdej starej kości.

"Czas już mi odejść - pomyślał ze smutkiem - na zawsze. Odejść..."

Powoli wstał z ławy i podszedł do małego okienka. Piękne drzewa rosły wokół, przez uchylone drzwi dolatywał zapach jałowcowego dymu, w którym wędziło się mięso. Opodał budowano nowe domostwo. Ludzie w grubych, lnianych koszulach dźwigali bierwiona. Dalej biegały dzieci, wesoło się nawołując.

- Mądrych i spokojnych rządów trzeba dla tej ziemi - rzekł cicho.

On sam starał się panować sprawiedliwie. Często nie wstydził się zasięgać rady u swej małżonki, bo białogłowa to była mądrze myśląca. Radą swą służyła i dobrocią wspierała. Odeszła za wcześnie... za wcześnie. Niechby teraz syn pojął podobną. Ale gdzie teraz takiej szukać? Słońce zaszło. Za oknem coś załopotowało w mroku. Wyjrzał książę przez otwarte drzwi i zdumiał się mocno. Na gałęzi najbliższego drzewa siedział potężny orzeł.

Orły to były ptaki, które nad wszystko miłował, które chroniła puszcza i które miały w sobie dziwną szlachetność i majestat królewski. Skądże tu orzeł?

A orzeł zakrakał:

- Kniaziu, nie zasmucaj serca troską o losy tej ziemi. Wyślij młodego Dobromira, aby w świecie poszukał sobie dobrej, mądrej i szlachetnej żony.

- A jakże pozna, że to ta, a nie inna mu sądzona?

- Po rękach. Po rękach, które będzie miała najpiękniejsze. Sam musi rozpoznać te ręce wśród wszystkich napotykanych rąk kobiecych. A wtedy, bądź spokojny o jego los i o los tej ziemi.

Szary mrok przesłonił gąszcz drzew. Kiedy stary książę oprzytomniał, orła już nie dostrzegł. Czyżby tu był naprawdę? A może to jakiś czar, zwid...

Zamyślił się książę głęboko.

"Najpiękniejsze ręce".

To przecież wyraźnie słyszał. Czy jego żona Dobrochna miała ręce piękne? Była mądra, dobra, a jej ręce zawsze były pracowite, przy krośnię, przy wrzecionie... - Czy były najpiękniejsze - nie umiał sobie odpowiedzieć.

Rano wezwał syna do siebie. Długo patrzył na młodego. Rosły i mocny był, czoło miał wysokie, a oczy bacznie i uważnie patrzące, jasne i dobre. Stał przed ojcem i czekał, co mu powie.

A stary książę rzekł:

- Synu, moje życie dobiega końca. Pragnę, abyś ty mocnym i sprawiedliwym ramieniem objął władanie nad tą ziemią. Ale przedtem pragnąłbym, abyś pod dach nasz przywiózł mi synową. Abyś za żonę pojął dziewczynę godną ciebie i tej krainy. Aby ci radą sprawiedliwą służyć umiała i była przyjacielem w dobrych i złych chwilach.

- Ojciec - zaczął młody, ale stary kniaź przerwał: - Pojedziesz w świat i znajdziesz taką, jaką dla mnie twoja matka była. Jeden jest warunek: musi mieć najpiękniejsze ręce. Pojmujesz?

Młody Dobromir nie rzekł ani słowa.

Patrzył na ojca i nie mógł wymiarkować, co za dziwny warunek mu stawiał. Nigdy się dotąd nie sprzeciwiał jego woli. Ojciec całe życie rządził mądrze i sprawiedliwie, mężnie wrogom stawiał opór, gdy przychodziła potrzeba. Na łowach też mocniejszego nad siebie nie miał.

A stary kniaź ciągnął dalej:

- Dam ci bransoletę. Liście dębowe na niej splecione połyskują, patrz, jak dziwnie. Stara jest, babka twojej matki od księcia Mieszkowej żony Dobrawy w darze ją otrzymała. Matka twoja nosiła ją. Niechże więc obejmie i ozdobi rękę twojej białki. Pamiętaj jednak - najpiękniejsze to mają być ręce. Od tego zależy los twój. Najpiękniejsze...

Pochylił się młody kniaź do kolan ojcowskich. Stary za głowę go uściśnął. Nazajutrz ruszył młody Dobromir w drogę. Konia miał rączego, zbroję na sobie godną książęcego syna. Jechał leśnymi i polnymi drogami, przez puszcze się przedzierał, z niedźwiedziem i rysiemi walczył. Noce spędzał przy ognisku, słuchając szumu starych dębów.

Spotykał karawany kupców wędrujących z daleka. Mijał osady i grody. Nieraz otwierały się przed nim gościnne wrota i bramy, nieraz spotykał piękne z urody dziewczęta i patrzył na ich ręce. Jedne gładkie i białe, które nie dotykały cięższej pracy, inne smagłe i mocne, umiejące łuk naciągnąć bez trudu. Raz spotkał dziewczę o pięknej twarzy. Na luteńce grała. Przebierała drobnymi paluszkami dźwięczące struny.

Myślał noc całą o tych małych rękach, ale... czy to były te najpiękniejsze? Chyba to, co ojciec mówił, miało oznaczać coś innego niżli powierzchowną piękność... Czy uda mu się kiedyś znaleźć to, czego szukał?

Jechał teraz przez bór. Był bardzo zmęczony. Nagle mrok leśny zaczął się rozjaśniać - ujrzał osadę. Dojechał do pierwszej chaty.

Zeskoczył z konia, otworzył stare, skrzypiące drzwi i znalazł się w mrocznej izbie.

Pod okienkiem siedziała dziewczyna o włosach rudych jak kitka wiewiórcza, spływających na ramiona. Na kolanach jej leżał kawałek szarego płótna, a na nim wykwitał czerwony kwiat maku. Obok niej kruczowłosa dziewczyna kończyła właśnie nizanę na szarą nić złocistych jak słońce odłamków bursztynu. Zerwały się obie i zdumione patrzyły na pięknego rycerza. Skąd się tu nagle zjawił? Z jakich stron zawitał?

Dobromir pozdrowił piękne dziewczęta.

- Same tu mieszkacie? - zapytał.

Dziewczyna rudowłosa roześmiała się.

- O nie, panie, z matką i trzecią siostrą naszą.

- Pozwolicie, że spocznę. Utrudzony jestem podróżą.

Czystym ręcznikiem ławę dla niego zasała starsza dziewczyna. Zauważył, że ręce miała białe i delikatne, nie znać było na nich śladu ciężkiej pracy wiejskich kobiet. Druga też miała piękne, słońcem opalone ręce.

- Rad bym waszą matkę pozdrowić, siostrę poznać.

Spojrzała czarnowłosa w okienko.

- Słoneczko zachodzi, zaraz wrócą z pola. Od rana len wyrywają. Wyrósł tego roku pięknie.

- Nie pomagacie im? - zagadnął.

- We lnie ostu sporo, bardzo to zielsko kłujące i ręce nasze nie nawykły. Tkać lubię, kolorową tkaninę przetykać, ale przy lnie za ciężka to praca, a ręce szorstkie do krosienek potem niezdatne - rzekła rudowłosa. - Nasza najmłodsza siostra Miłka za nas i za siebie matce pomaga przy takiej trudnej pracy. Matka nasza dobra jest i miłuje nas wielce, rada by za nas i za siebie cięższą pracę wykonać, ale Miłka jej nie pozwala. O, patrzcie, panie, idą już z pola.

Skrzypnęły drzwi chaty, weszła stara kobieta o łagodnej, bruzdami poranej twarzy i młoda, smukła dziewczyna z warkoczem jasnym jak len, którego snopek ze sobą do izby przyniosła. Oczy błękitne uśmiechały się wesoło.

Matka spostrzegła gościa. Pozdrowiła go, kłaniając się zwyczajem kobiet wiejskich nisko, niziutko, dziewczyna stanęła zmieszana widokiem nieznanego rycerza.

- Witaj nam, gościu! - powiedziała stara kobieta. - Zaraz ogień na kominie rozpalę, mleka świeżego przyniosę.

- Ja matko, ja przyniosę! Jesteś zmęczona, a ja mam młode ręce.

Znikła w mrocznej sieni. Matka obrus lniany na dębowym stole rozesała, dziewczęta z policy zdjęły miski gliniane i dzbanki, łyżki drewniane ułożyły na obrusie.

Matka wniosła pachnący bochen chleba na klonowych liściach upieczony. Z mrocznej sieni jak promyk słońka zajaśniał warkocz najmłodszej dziewczyny. Ostrożnie niosła w dłoniach duży dzban pełen mleka.

Dobromir spojrzął na jej ręce.

Były drobne i ciemne, pokłute ostrym zielskiem, porysowane miejscami do krwi łodygami lnu, który rwała cały dzień. Zachodzące słońce ozłociło gliniany dzban i ręce dziewczyny i wtedy Dobromir uczuł, że mu serce zabiło mocno, tak mocno, jakby się nie mogło w piersi pomieścić.

W tej jednej przedziwnej chwili zrozumiał wszystko.

Wiedział już, wiedział teraz na pewno, co miał na myśli stary ojciec. To przecież były najpiękniejsze ręce - ręce, które nie bały się pracy, które pragnęły nieść pomoc starej matce, ręce tak piękne, jak piękne też musiało być serce dziewczyny.

Wstał młody rycerz Dobromir, pokłonił się dziewczynie nisko, a potem, gdy postawiła na stole dzban z mlekiem, ujął jej rękę i włożył na nią starą bransoletę, najcenniejszą pamiątkę swego rodu.

Irena Kwintowa

Rzepula



Przednówek był ciężki.

Nie opowiedzieć, jak bardzo dokuczał ludziom głód, jak trudno się żyło wszystkim tamtego roku. Zbierano młode pokrzywy i lebiodę na polewkę, a już radość była wielka, jeśli zasypać ją można było choćby garsteczką otrąb lub kaszy. Ten i ów szukał smardzów pod brzoźami albo i słodkich korzonków na łące. Niełatwo było i starej Rzepuli. Zagroda jej stała z dala od ludnych wsi i przysiółków, sama jedna nad rzeką Rydzą, która wije się wstęgą przez bory przepastne i głuche, a do Bystrzycy kędyś uchodzi. Ani więc rady, ani pomocy żadnej na takim ustroniu znikąd oczekiwać nie mogła Rzepula, tak jak i wieści ze świata. Pozostawić zagrody nie chciała, bo i zboże jare weszło jej gęsto na polu, i bób wąsaty porastał wysoko na zagonach obok grochów i lnu. Kozy dwie z kozłętami, piękny kozioł do tego, chowały się zdrowo Rzepuli na wonnym sianie i trawach soczystych, a dnie całe słychać było na łące za chatą, jak brzękają im dzwonki zawieszane na szyjach.

Było więc w leśnej zagrodzie i dobra nieco, a Rzepula strzegła go pilnie dla synów, których wczesną wiosną jeszcze wywołały z matczynej chaty do grodu Legnicy wici po całej ziemi śląskiej rozesłane. Ogniste wici... Na strach, na niedolę. Wywiodły ich, nim rozedniało, bo bardzo śpieszył grodowy posłaniec. Niewiele gadał, a i Rzepula sama i jej pachołcy zbytnio go też wypytywać nie śmieli. Po nocy prawie, o ledwie szarzejących niebiosach, wzięli sulice z komory i jesionowe łuki. W chłodnym deszczu wiosennym do rąk się matczynych schylili i tyle ich widać było. Kiedy szli z domu, serce zamarło w Rzepuli, a łzy gorące napłynęły starce do oczu. Trzeba było jednak księciu wojów krzepkich - o tym wiedziała Rzepula - trzeba było i jej synów. Otarła więc szybko łzy szorstką dłonią, mocniej zawiązała na głowie ciepłą chustkę i do prac się zwyczajnych zabrała, jakby chłopacy na gony za zwierzem poszli tylko w deszczowy świat i na południe wrócić mieli. Ale niełatwo było Rzepuli. Została przecież sama.

Kiedy więc ziarno ostatnie wygarnęła ze swego sąsieką, a krupy wytrzęsła z mieszka, żywić się poczęła tym, co dawały jej rzeka i puszcza. To zastawiła węciorok na Rydzej, to uzbierała piestrzenic i piekła je na gorącym kamieniu.

Krzepiła siły zwątlone myślami o swoich synach, pociechą jej były zagroda i pole, które uchować dla synów pragnęła.

Mijały dni i oto w słoneczny ranek spotkała Rzepuła dwóch mężów nad Rydzą. Szli boso, bo skórnice zdarli na nic, szaty mieli też w strzępach. Twarze zbiedzone i zapadłe, oczy poznać dawały po nich głód srogi, niewczasy i wielkie utrudzenie. Gdyby nie oręż dostatni, sulice, topory i łuki, gdyby nie szczere wejrzenia, to włóczęgami zdawać by się mogli; nie prawymi wojami z wolnych kmieci.

- Wy skąd? - zapytała Rzepuła, gdy pozdrowili ją i o drogę do gródka Krzepocina zapytali.

- Z Legnicy my, z bitwy - odrzekli.

Kiedy te słowa mówili, popatrywali ukradkiem na leszcze i płocie, które Rzepuła właśnie z wiewiórki wybrała.

- Nanieście ognia, mężowie - powiedziała starka - a ja zaraz do chaty polecę, przyniosę garniec i uwarzymy rybnej polewki.

- Och, polewka! Zapłaćcie wam, Boże! - wykrzyknęli w jeden głos wojowie.

- Kiedyż to nam jadło gorące dawano, już nie pomnimy wcale.

- Radam, że choć ryba jest - odrzekła Rzepuła - bo to już chleba ani okruszyny u mnie...

Głodny przedówek: Wojowie kiwali na to głowami, a kiedy starka odeszła, rozniecili ognisko i ległszy w trawie, zadrzemali. Rydza pluskała cicho opodal swoją chłodną falą, czarne raki pełzały po jej piaszczystym dnie. Skoro polewka dowrzała w garncu nad ogniem, a miła woń rozeszła się dokoła, zbudzili się wojowie i łyżki drewniane wydobyli z zanadru. Jedli z największą ochotą, bo i soli drobina znalazła się w chacie Rzepuli.

Kiedy zaś łyżki skrobnęły o puste dno, rozpowiadać zaczęli nowiny spod grodu Legnicy. Mówili wolno, niekiedy wstrzymując jeden drugiego spojrzeniem, bo niełatwo jest dobremu człowiekowi powiadać rzeczy straszne i złe.

- Żeby to cesarz... - mówił starszy z wojów - żeby to jego grafowie i knechty brzuchate! Z takimi to i księżę nasz, i my sami zwyczajni jesteśmy wojować. Oręża bowiem podobnego zażywamy i sztuki wojennej. A tu... - woj usta wykrzywił z goryczą i machnął ręką - lud nie widziany przyciągnął, do tego w mnogości jeszcze nieprzeliczonej...

- Nie powiadajcie! - wykrzyknęła w szczerym strachu Rzepuła.

- Ano toć, toć... - wtrącił młodszy z wojów - jakby ich piekło samo z czeluści swej wyrzuciło.

- Jakoż ich zwać? - pytała zaciekawiona.

- Zwać się Tatarami, a straszniejsi są od wilków. Dla nas zaś wrogami są nieprzejednane. - Po prawdzie smocze plemię - rzekł jeszcze młodszy z wojów.

Rzepuła okryła się zapaśnicą, przeszedł ją mróz.

- Nie powiadajcie! - powtórzyła.

Starszy z wojów przez chwilę starannie obierał z mięsa rybne główki, a choć niewiele tego było, podzielił sprawiedliwie na trzy części. Dopiero kiedy zjadł swoje, rozgwarzył się znowu:

- Tatarowie piechotą nie chodzą, ale na koniach cwałują kudłatych jako barany, i wzrostu też miernego, rączych za to nad wszelkie pomiarkowanie. To zakolem idą do boju, to, kiedy ich przygnieść, rozpierzchną się jako szpacy od stogu, a hukają i wyją jako czartowie. Z daleka są, jak słyhać, we trzy roki dopiero przybyli ze swojej ziemi na naszą.

- Na zgubę księciu polskiemu i nam! - wtrącił młodszy woj.

Pobladała Rzepuła na te słowa, jadło wydało się jej nagle goryczą, a na sercu uczuła tak wielki ciężar, jakby ją kto kamieniami ugniatał. W oczach zapiekły staruchę łzy.

- Jakoż to? Powiadajcie - szepnęła. - Strach mi, a słuchać radam.

- Księżę ubit - ozwał się głucho starszy woj, przy tych słowach twarz mu poszarzała od grozy. - Legli wielcy rycerze i prości wojowie, jako my, wespół, jak pole długie... W jeństwo pobrano mnogich, dziatki, niewiasty i dziewy młode, pognano wszystkich we świat. Na zatracenie, na śmierć, na boleści największe i głód. Och, bieda to, bieda...

Tu zamilkł woj, rażony wspomnieniem, i głowę opuścił. Rzepuła zaniosła się płaczem. Wtedy młodszy z wojów zaczerpnął dłonią czystej jak kryształ wody rzecznej, napił się i rzekł:

- Nie płaczcie, starko. Jeszcze nie wszystko przepadło. Gród przecie stoi, choć Tatarowie i czarami go brać próbowali. Dymy jakieś puszczali smrodliwe i ognie straszne po niebie, kto wie, zali im nie przewodził Zły.

- Boże, ulituj się! - wyszłochała Rzepuła.

- Oni też gęby osobliwe mają - ciągnął dalej woj - że nie nadziwić się temu. Żółte, kragłe jako misy i oczka w nich małe a skośne. Zębiska szczerzą, skoro w złość popadną, że strach bierze patrzeć. Czapy naszają ogromne, spiczaste, kozuchy włosem na wierzch w lato samo, a strzały to sypią całymi chmurami.

- Ale ~ gród, powiadacie, ostał? - upewniła się z lękiem Rzepuła.

- Toć, bo i nasi trzymali się mocno, i Tatarom przeszkoda się wydarzyła. Wieść jakaś przysłała niedobra z ich ziemi, to zawrócili pustki i zgliszcza zostawiając jeno po drodze.

- Może to być? - Rzepuła w słuch zamieniła się cała.

- Toć, starko, pewne to jako słońce na niebie - odrzekli w głos jeden wojowie, ale łzy ciekły dalej niepowstrzymanie z oczu niebogi.

- Pytam was - mówiła - bo to przecie i synowie moi poszli pod Legnicę. Dwóch poszło, gołąbków jasnych. Ale skoro sam księżę legł, mężni rycerze, to cóż moi! Prostacy, chłopcy! Zaliżby ich oszczędziła dola?

- Nie wszyscy legli - jęli ją pocieszać jeden przez drugiego wojowie.

- Ot, choćby i my. Wracamy, tyle że nas droga utrudziła srodze. Wrócą i wasi synkowie, zobaczycie! Nie oplakujcie ich, matko, przed czasem... Niedobrze to! Pocięchy czekajcie lepiej. A teraz Bóg wam zapłać za gościnę. Pora nam w drogę! Daleko jeszcze Krzepocin, a nogom dłuży się już to wędrowanie.

Odeszli rażno ścieżką nadrzeczną, szybko ich skryły drzewa.

Rzepuła zabrała swój garniec i powróciła do chaty. W sercu jej, od zasłyszanych nowin pełnym jeszcze żalości i strachu, rozbłysła teraz mała iskierka nadziei. Zaczynała wierzyć, że jej synkowie powrócą zdrowi, jak i tamci dwaj, których dopiero co gościła polewką. Iskierka owa krzepiła starą, sił dodawała jej rękoma. Zaczęła tedy w zagrodzie i w chacie robić porządki, wylepiła gliną klepisko podłogi, wymościła kamieniami przedproże, podparła walący się płot.

- Niechaj wszystko obaczą w porządku, kiej wrócą moi synkowie - powiadała sama do siebie i tym rażniej krzątała się po zagrodzie, że czas ciepły i pogodny nastał, jak rzadko.

Dnia któregoś naniósł mchu z puszczy i gacić poczęła nim obórkę dla kóz, tuż koło chaty. Cicho było, spokojnie na świecie, dzieciół kuł tylko na starej jodle i dzwonki jak zawsze brzękały na szyjach kóz.

Nagle w tej ciszy zadudniły kopyta końskie po mostku na Rydzej, potem bliżej, tuż... tuż...

"Może to oni? Synkowie moi?" - przemknęło w myślach Rzepuli.

Rozpromieniła się cała, wybiegła szybko z obórki, rada powitać, utulić przybyłych. Nie zobaczyła jednakże swoich synów ani zdobycznych koni. Na skraju łąki, gdzie pasły się kozy, stał jeździec w spiczastej czapie i w kozuchu włosem na wierzch wywróconym. Błysnęły w słońcu okucia na jego kołczanie z czerwonej skóry, błysnął grot długiej włóczni. Koń jego, mały i krępy, o sierści kosmatej, po same boki nurzał się w trawie.

Rzepuła poznała od razu najeżdźcę. Tatar to był! Zamarudził, widać, gdzieś po drodze, odstał od swoich, a teraz, przynęcony brzękaniem dzwonek na szyjach pasących się kóz, przyszedł po łup do leśnej zagrody. Rzepuła wtuliła głowę w ramiona, stanęła za pniem starej sosny i nie spuszczała oczu z okrutnego jeźdźcy. Tatar tymczasem mniemając, że ludzi nie stało w zagrodzie, poczuł się całkiem bezpiecznie i zaczął odwijać wielki sznur, który miał przytroczony u siodła z jukami razem.

"Łowić chce moje kozy! - o mało nie wykrzyknęła Rzepuła. Ja tobie zaraz, odmieńcu, ja zaraz..." - Mamrotała drżąc od wzburzenia i strachu.

Jakby jej lat ubyło, skoczyła z powrotem do obórki i pochwyciła grabie najtęższe, jakie stały w obejściu. Potem, schylona, przemknęła się przez zarośla brzegiem łąki pod wielki krzak głogu i skryła się za nim.

W owej chwili właśnie Tatar odwinął swój sznur i ruchem tak szybkim, że go ledwie dostrzegła, zarzucił pętlę na szyję kozła, który pasł się najbliżej. Wiedział rabuś, że skoro złowi przewodnika, to stadko samo pobiegnie jego śladem. Kozioł jednak, z dbałością największą w zagrodzie Rzepuli chowany, tyleż był wielkim, co przebiegłym osiłkiem. Czując pętlę na szyi, widząc obcego na koniu, zaparł się w miejscu czterema nogami i łeb rogaty do przodu wystawił. Rogi zaś ostre miał i długie jak szable.

Uląkł się Tatar, że cap rogami bok przebodzie koniowi, popuścił więc sznura na chwilę małą, a wtedy kozioł, jakby obłędem jakim nagle tknięty, począł się szarpać z nie widzianą siłą, skakać i miotać łbem, że ledwie rabusia nie ściągnął z konia. Stadko rozpierchło się w gęstych zaroślach, jakby wiatrem zmiecione z pastwiska.

W tejże chwili Rzepula wybiegła zza głogowych zarośli i przyskoczyła do najeźdźnika godząc weń swą wcale nie błahą, gospodarską bronią.

- Zrzucę cię z konia, zbój! - krzyknęła. - A cap mój rozporze ci żywot... Wracaj mi, skądżeś przyszedł, ty robierzu!

I nim Tatar zrozumiał, co się dokoła dzieje, starucha ugodziła weń grabiami. Pośliznęła się jednak na wilgotnym mchu i zamiast razić samego najeźdźcę, trafiła zębami od grabi w pękaty mieszek przytroczony tuż za nim u siodła. Wystraszył się kudłaty wierzchowiec, uskoczył w bok wielkim susem. Wrzasnął Tatarzyn wylekły i puścił z rąk sznur. Kozioł tymczasem dopadł go z przodu, z nastawionymi rogami.

Rzepula godziła znowu od boku grabiami. Świsnął więc na konia i jał uciekać przez łąkę na most, potem przepadł gdzieś w puszczy. Kiedy uciekał, z rozdartego mieszka sypało się na łąkę, nie znane Rzepuli, brunatne ziarno. Nie baczyła wtedy jednak na nie. Zdyszana stała na mostku z grabiami w rękę i pozierała długo za najeźdźnikiem, gładząc swego kozła po rogatym łbie.

Prawdę mówili wojowie o Tatarów odwrocie. Zacichło o nich niebawem w ziemi śląskiej.

W czas jakiś powrócili do zagrody synowie Rzepuli. Pszenica kłosić się właśnie zaczynała na polu, dojrzały w puszczy jagody. Zastali ład w domu i matkę zdrową. Spokojnie minęły jesień i zima. Latem roku następnego Rzepula idąc łąką dostrzegła za chatą jakieś nie znane sobie ziele, rosnące w wielkiej obfitości. Kwitło biało, pachniało słodko miodem, łodyżki miało czerwone, listki zaś jego podobne kształtem były do grocików tatarskich strzał.

- Co też to jest? - zdumiał się młodszy z synów, kiedy Rzepula przyniosła gałązkę tego ziele do chaty.

- Poczekaj, aż dostoi z niego nasienie, to obaczymy - odrzekł roztropnie starszy.

Z końcem lata w miejsce białego kwiecica pojawiły się ziarnka brunatne, tak liczne, jak bywa proso. Uwarzone w kociołku, smak miały podobny do jagiel.

- Toć przecie kasza! - powiedziała wtedy Rzepula. - Pomnę teraz! Z mieszka Tatarzyna się wysypała, kiedym to w piekielnika grabiami mierzyła. Od Tatara nam przyszła, tedyż i zwijmy ją tatarką.

Od tego czasu siewają ludzie z ochotą na śląskiej ziemi czarną kaszę tatarczaną albo pogankę, jak również się zwie. Słysząc, że póki rośnie na polu, kozy, jeśli się znajdują w pobliżu na paszy, skubią czerwone łodyżki i jedzą z największym smakiem - trzeba więc dobrze strzec przed nimi pola.

Kornelia Dobkiewiczowa

Jak powstały Mieszkowice



Kneź Mieszko wyruszył pewnej jesieni ku zachodowi, by sprawdzić gotowość bojową pogranicznych grodów, strzegących przepraw nad dolną Odrą.

A było to jeszcze przed przyjęciem chrześcijaństwa przez Polskę.

Zwiedził więc Mieszko gród obronny Cedynię, doglądając osobiście budowy wałów obronnych z potężnych bierwion dębowych wiązanych ze sobą systemem hakowym, a następnie udał się do pobliskiego grodu obronnego Chojna. Tu również rozkazał naprawić wały obronne i wieże strażnicze oraz wzmocnić załogę. Stąd ruszył z całą swoją drużyną w kierunku południowym.

Któregoś wieczoru drużyna książęca zatrzymała się na nocleg w Krzycku, niewielkiej osadzie nad rzeczką Kurzycą. Mieszkańcy osady donieśli kneziowi, że w pobliskiej dąbrowie grasują dwa potężne niedźwiedzie. Mieszko, jak wszyscy Piastowie, lubił ogromnie łowy, a już szczególnie przepadał za polowaniem na niedźwiedzie. Skoro świt ruszył więc z całą swoją drużyną na łowy. Mijali stare dąbrowy i cisowe zagajniki, to znów żółknące już lasy bukowe, przetykane brzezina. Raz po raz pomykały przed myśliwymi sarna lub jelen, ale kneź surowo zakazał gonitwy, by nie spłoszyć grubego zwierza.

Wkrótce dotarli do małej polany puszczańskiej, na środku której rósł potężny dąb. Jeźdźcy stanęli jak wryci: pod dębem żerowały dwa potężne, ciemnobrunatne niedźwiedzie. Mieszko zeskoczył z konia, a chwyciwszy dwa oszczepy i zatknąwszy za pas topór myśliwski, ruszył zwawo ku przodowi. Drużynnicy wiedzieli, że w takich razach nie trza mu było pomagać ani osłaniać, bo gniewał się o to srodze. Sam kneź był z natury krępy, w barach szeroki, a silny jako tur. Nie darmo przezywano go żartobliwie Miśkiem, czyli niedźwiadkiem. A przy tym mistrz to był nad mistrze we władaniu oszczepem. Przecież oblicza wojów poblady z obawy, boć niedźwiedź był nie jeden, ale para. Kneź rysim skokiem dopadł pierwszego niedźwiedzia, gdy ten wsparty na tylnych łapach zlizywał najspokojniej miód ściekający z barci pszczelej po pniu. Znienacka wzięwszy ogromny rozmach, wbił oszczep w odsłonięty kark zwierzęcia u nasady czaszki. Niedźwiedź ryknął krótko i chrapliwie, po czym zwałił się do stóp dębu. Na ryk towarzysza

porwała się rozjuszona niedźwiedzica, żerująca po drugiej stronie dębu, i natarła z furją na napastnika. Mieszko pochwyił drugi oszczep wbity uprzednio w ziemię i stanąwszy szeroko w rozkroku, czekał spokojnie na spotkanie. Gdy niedźwiedzica wspięła się na zadnie łapy, chcąc zadać śmiertelny cios napastnikowi, Mieszko pchnął straszliwie oszczepem we włochatą pierś bestii aż po samą rękojęść brzeszczotu. Ryk straszliwy napęłnił po raz drugi puszcę, tym razem jednak okropniejszy, przeciągły. Niedźwiedzica porwała łapami za oszczep, by wyrwać go z rany, ale myśliwy parł całą siłą do przodu. Patrzącym zdało się, iż oszczep pryśnie za chwilę w drzazgi pod potężnymi pazurami zwierza, ale dębowe drzewce, prażone we wrzącym oleju, wytrzymały potężny napór. Po chwili drgania konwulsyjne przebiegły po cielsku niedźwiedzicy i zwierzę, brocząc pienistą posoką z pyska, runęło na liliowe wrzosowisko. Rogi myśliwskie zagrały pieśń zwycięstwa, a drużynnicy kneziowi z gromkim krzykiem rzucili się ku polanie.

Mieszko wyprostował się i otarł dłonią perlisty pot z czoła. Oddychał ciężko jak drwał po znojnej pracy, ale promieniał radością.

- Tak niechaj będzie z każdym wrogiem, który wtargnie na ziemię naszą! - rzekł do towarzyszy.

- Niechaj będzie! - odkrzyknęli wojowie.

Mieszko bystro rozejrzał się dookoła. Polanę z jednej strony łukiem otaczały wody Kurzycy, a z drugiej wśród drzew prześwitywało jezioro.

- Na pamiątkę dzisiejszych łowów zbuduję tu gródek obronny, a te dwa niedźwiedzie pod dębem będą jego herbem.

- I nazwiemy go Mieszkowice na cześć waszego imienia, kneziu - dorzucił jeden z wojów.

- Niech i tak będzie - rzekł kneź do rycerza - a ty, Braniborze, osiądziesz tu na włodarstwie i będziesz strzegł naszych granic polańskich.

* * *

Taki - według podania - był początek grodu nad Kurzycą.

Ludność miasta Mieszkowice jest z jego historii bardzo dumna i chętnie do niej nawiązuje. W 1957 roku - przy dźwiękach herbowego dzwonu - uroczyście dokonano odsłonięcia pomnika pierwszego historycznego władcy Polski. W mieście przetrwały liczne zabytki. Gród - tak jak przed wiekami - otaczają średniowieczne mury obronne, a niskie, stare kamieniczki również przypominają dawne czasy.

- W mieście naszym - mówią mieszkowiczanie - oddycha się polską przeszłością, sięgającą czasów naszych pierwszych władców: Mieszka I i Bolesława Chrobrego, którzy tu nad Odrą budowali nasze państwo.

Czesław Piskorski, Stanisław Świrko

O włóczniech Mohortowych rycerzy



Było to dawno, może dziesięć wieków temu, kiedy na Dolnym Przyodrzu żył sławny rycerz słowiański, Mohortem zwany.

Dzielny to był mąż i niesłychanej odwagi. Stoczył wiele zwycięskich bojów, ale naszym czasom pamięć potomnych przekazała wiadomość tylko o jednym, ostatnim. Raz Niemcy w wielkiej sile najechali okolice Barlinka i Myślborza. Mohort zebrał swoją drużynę i przez długi czas stawiał im opór. Walczył przemyślnie, zadawał ciosy znienacka, krył się w leśnych ostępach i mokradłach i brał Niemców w zasadzki. Aż dnia jednego siły drużyny załamały się. Z bitewnego pola, gęsto usianego trupami, zebrał Mohort zaledwie dwudziestu dziewięciu swoich drużynników i uszedł z nimi do Puszczy Barlineckiej. Cóż, kiedy on sam i jego bohaterscy rycerze byli ranni. Nieludzko utrudzeni drogą, ostatkiem sił dobrnęli do polany pośród wielkiej kniei i wbiwszy włócznie w ziemię, legli na murawie. Ze smutkiem patrzył Mohort na towarzyszy bladych i zbuczonych krwią. Oto dwaj zasnęli snem wiecznym. Nie wyciągną już swoich włócznie o świtanie. Pozostali, odpocząwszy nieco, jęli opatrywać rany świeżym listowiem, aż ukołysani szumem boru usnęli.

O północy Mohort dźwignął się z ziemi.

Rozejrzał się wśród leżących pokotem na trawie. Było cicho. Ani jęku, ni wzdychania, ani nawet oddechu. Przerażony pochylił się i każdemu przykładał dłoń do piersi. Serca towarzyszy przestały bić. Bór szumiał smutno. Mohort usiadł. Wsparł się o pień drzewa. Odzież na nim była lepka od krwi. Czuł, jak krew uchodzi z niego i życie.

Kiedy brzask rozświetlił polanę, zdołał jeszcze zobaczyć rzecz niezwykłą.

Oto dwadzieścia dziewięć włócznie jego poległych drużynników zazieleniło się świeżym listowiem. Chwytał jedną z nich, ale jakby wrosła w ziemię. Widział, jak pomału wszystkie zamieniają się w młodziutkie dęby. Obrócił głowę ku swojej włóczni. Ale jego oczy już zasnęły się mgłą i nie mógł nic dojrzeć, tylko zieleń, zieleń...

Ktokolwiek znajdzie się dziś na myśliborskiej ziemi, niech odwiedzi leśną osadę Mohortów koło Kinic. Zobaczy tam trzydzieści wspaniałych starych dębów, rosnących blisko siebie. Obwód ich pni wynosi od trzech do czterech i pół metra, a wysokość bez mała dwadzieścia pięć.

Największy dąb nosi imię Mohorta.

Jak mówi podanie - tu właśnie spoczął na wieki ze swoimi towarzyszami dzielny obrońca Przyodrza.

Czesław Piskorski, Ryszarda Wilczyńska

Bazyliszek ze Smogór



Złe czasy nastały, odkąd wsią zawładnął graf Grunenberg.

Chłop nie mógł nawet obetrzeć spoconego czoła. Gdy pachołkowie grafa zauważyli, że odejmuje dłoń od lemiesza, siekli harapem, aż krew tryskała. Kobietom, które zastawali zniemacka w maliniaku, rozbijali dzbany i deptali maliny. Nie mieli się ludzie komu poskarżyć, bo graf był panem ich życia i śmierci.

Użalali się przeto nieszczęśliwi między sobą, przy czym pilnie musieli baczyć, by ich ktoś nie podsłuchał, gdyż graf wszędzie miał swych szpiegów, a na kogo donieśli, dla tego był bezlitosny - wtrącał do lochów, z których już nie było wyjścia, albo zakuwał w dyby. Zebrali się raz chłopci w puszczy i dalej w rady. Jedni chcieli udać się do króla i tam dochodzić sprawiedliwości, drudzy dowodzili, że król też Niemiec i z panów, i w obronie polskich chłopów na pewno nie stanie. Rada w radę postanowili zdać się na łaskę Boga, który przecież z wysokości nieba musi widzieć ich niedolę.

Minęło znów parę lat, a we wsi nic się nie zmieniło. Skoro tylko noc bladła, chłopci wychodzili na pole grafa, a wracali przy księżycu. Graf bogacił się, budował pałac, w którym było tyle okien, ile dni w roku. Wyprawiał ucztę, a zapach potraw, rozchodzący się wtedy po wsi, skręcał chłopom kiszki - i przyprawiał o okrutne męczarnie.

- Dłużej nie strzymamy - powiedzieli kiedyś i poszli do "mądrej" aż pod sam Łagów.

Pokiwała "mądra" głową, rozłożyła bezradnie ręce, ale kiedy brzęknęły wysupłane z siermięg grosze; przyrzekła, że pomoże. Rozpałała wielki ogień na kominie, sypnęła trzy garście startej na proch jemioly, poszeptala, popluła i w końcu powiedziała:

- Wracajcie. Za trzy księżyce graf odda diabłu ducha, a wy wszyscy będziecie wolni.

Podziękowali chłopci babie i uradowani odeszli. Trzy razy księżyc stanął w pełni, a graf miał oddać diabłu duszę, takiej nabrał siły, że z trzaskiem łamał podkowy, rwał łańcuchy, dźwigał najcięższe antały i dalej gnębił lud. Chłopci znów poszli do "mądrej".

- Jeżeli i tym razem nie spełni się przepowiednia, sama oskarżę się przed sędzią i pójdę na stos. Złą muszę być czarownicą, skoro nie mogę dać rady waszemu panu. - To mówiąc, spojrziała w garnek napełniony zieloną wodą, zbladła, a chłopom wydawało się, że maleje.

Usłyszeli jej głos dobywający się jakby z wielkiej odległości:

- Widzę, widzę; wkrótce urodzi się bazyliszek i osiadzie w pałacu grafa. Skończy się wasza niedola, ale bazyliszek na zawsze pozostanie z wami. Dobrym ludziom krzywdy nie uczyni, biada chciwcom kłamcom, złodziejom.

Skończyła.

Spojrziała na nich, jakby powróciła z dalekiego snu, i kazała im odejść.

Nazajutrz, skoro tylko nastał świt, chłopci wyszli w pole. Ledwo wyostrzyli sierpy i poskładali na zroszonej trawie węzełki z komiśniakiem, zza lasu chyłkiem wytoczyło się słońce i

tak zaczęło przypiekać, jakby za chwilę miało spalić kłosa na pniu. Chłopom pot kapał na sierpy. Nie śmieli podnieść karku, chociaż słońce przepalało ich do samych trzewi, bo w zielonym cieniu, na wierzbie, siedział pacholek grafa.

Nagle rozległ się huk i nim pojęli, co się stało, wierzba rozdarła się jak przecięta toporem, a po białym jej mięszu popłynęła czerwona strużka. Jak księżycy błysnęły porzucane sierpy i chłopci co sił w nogach pobiegli do wsi. Na płoty i żerdzie sfrunęły kury, nastroszyły pióra, i wyciągnęły szyje i zapiały jak koguty. Grzmot przetoczył się po niebie, zrudziało słońce i największy kogut ze wsi zniósł jajko. Chłopi z przerażenia zamknęli oczy.

Kiedy je otwarli, jajko z hukiem stu armat pękło i wyskoczył z niego potwór. Przypominał trochę koguta, a trochę węża, głowa chwiała mu się na szyi porośniętej srebrno-żółtą łuską. Trząśł czerwonym grzebieniem i błyskał wyłupiastymi ślepiami... Wyciągnął kosmate nogi zakończone łapami o ostrych pazurach i stąpnął. Szedł i toczył okiem. A tam, gdzie spojrzął, więdły drzewa, milkły ptaki, spadały z opłotków kury, a wyschnięta trawa znaczyła ścieżkę wprost do pałacu. Nabrzmiała przerażeniem cisza zapadła we wsi. Nawet niefrasobliwe świerszcze pomilkły, a chłopci wstrzymali w połowie oddech. Tylko słońce lało na ziemię żar, wzniecając słupy pyłu. Nagle pękła cisza, a w niebo wzbił się krzyk, jaki wydają ludzie, gdy ich zniemacka zaskoczy śmierć. Potem zrosła się wierzba, ożyły drzewa, rozśpiewały się świerszcze, zazieleniła się trawa, ostygła ziemia, chłopci odetchnęli i spojrzeli na pałac. W jego oknach trwała noc. A kiedy przestraszeni powoli zbliżyli się do pałacowych murów, usłyszeli dziwne głosy dobywające się z ich wnętrza - było to niby pianie koguta, niby przeciągły syk węża, wychodzący jakby spod ziemi.

Spełniła się przepowiednia czarownicy.

Odtąd nikt już chłopom krzywdy nie czynił. A wsi przydano nazwę Smocza Góra, bo potwór przybierał różne postaci, raz był smokiem, raz wężem, a raz kogutem. Z czasem nazwę skrócono i wieś nazwano Smogóry.

Izabella Koniusz

Złote jezioro



Za borem wysokim i czarnym leżała łąka.

Porastające do pasa trawy ginęły jesienią, gniły, przetwarzały się na pokarm nowym wiosnom. Zostawały tylko co grubsze badyle łamiące się na mrozie. Oprócz kilku drzew akacji nic nie rosło, było pusto. Wzrok nie mógł wypatrzeć żadnej ścieżki. Tęsknił się tu tylko nie wiadomo skąd przybyły, zamknięty ścianami lasu jak oddech w piersi - wiatr.

Poza łąkami wznosiły się wzgórza - nagie, kamieniste, rdzawe. Nie rosły tam nawet trawy - królował jedynie fioletowy głóg: Człowiek tu nigdy nie zaglądał - lękiem przejęłoby go pustkowie. Tylko czasem cienkonogi jeleni przemknął nad murawą jak jaskółka i zapadł w niezgłębione czeluście lasu. Za pagórkami leżało jezioro. Posiadało ono zadziwiającą barwę. Było złote. Kiedy padały na nie promienie słońca - lśniło jak olbrzymia tarcza. Nawet tatarak i trzcina miały złote łodygi i liście.

Czas upływał. Przemijał nie kończący się łańcuch lat - woda promieniowała niezmiennie. Co wieczór przelatywały nad nią dzikie kaczki. Czasem zataczały koła i siadały na falach pośród soczystego kwiecia lilii. Niektóre z tych ptaków zagnieździły się tutaj. Odlatywały jednak często i wracały tuż przed świtem. Skąd? Nie wiadomo... Ich powrotny lot był ciężki, powolny od wyczerpania daleką wędrówką.

Pewnego razu zza płaskowzgórza, leżącego opodal jeziora, wyłoniły się dwie ludzkie postacie.

Mężczyzna i kobieta.

Byli młodzi, zdrowi i piękni. Z ich ruchów można było wnioskować, że są nadzwyczaj zmęczeni. Ogorzałą twarz mężczyzny zalewał pot. Spojrzenie niespokojnie wybiegało naprzód. Zatrzymali się.

- Słuchaj, Miłostcie, wypuśćmy tę ostatnią kaczkę - złotonogę. Mam wrażenie, żeśmy zbłądzili. Na noc zastawimy znów sidła w szuwarach.

- Ostatnią? Ano... leć! Zatrzepotał gwałtownie uwolniony ptak i pomknął ku nizinie.

- Tak! To w tamtej stronie jest gdzieś płynne złoto! Tam one maczają pióra. Chodźmy! Chodźmy czym prędzej!

Nie bacząc na raniące głogi i kamienie pobiegli naprzód.

Miłost wyprzedził towarzyszkę, ominął krzak akacji, zatrzymał się nagle, rozrzucił ramiona i zakrzyknął:

- Patrz! Patrz! Złote jezioro!

Istotnie, w promieniach słońca lyskały jasne fale. Miłost, nie czekając na młodą żonę - runął naprzód. Pierś mu rozsadał tryumf. Miłost był chciwy, pragnął bogactwa, i oto teraz przed nim dobry los otworzył skarbiec - owo tajemnicze złote jezioro. Biegł więc coraz szybciej, potykał się, upadał. Nie zważał na nic. Wreszcie dopadł brzegu. Zachłysnął się uczuciem szczęścia. W szalonej radości zanurzył obie ręce w wodzie po łokcie. Cofnął. Pozostał na nich ślad złota. Miłost zgiął się jeszcze bardziej nad jeziorem i uderzając dłonią o fale śmiał się i krzyczał:

- Sławo! Szczęście! Patrz, szczęście!

Sława rozwartymi oczami patrzyła, jak mąż przez palce przelewa blaski.

- Chodź! Chodź i ty zanurz dłonie! Poczuj na ręku ciężar i chłód tego skarbu.

Zanim żona jego zdołała uczynić krok naprzód, by spełnić żądanie męża, stanął między nimi starzec siwobrody. Sękatym kijem zagroził drogę kobiecie.

- Ktoś ty? - oburzył się Miłost. - Wynoś się stąd, włóczęgo, i ani słówkiem nie piśnij o tym jeziorze. Słyszałeś?

- Żal mi was - pokiwał głową starzec.

- Żal ci chyba tych bogactw, których staliśmy się posiadaczami. Żal ci, sknero, tej tajemnicy, której nie zdołałeś ustrzec. Trzeba ci było więcej uważać na kaczki.

- Żal mi was - powtórzył siwobrody - młodzi jesteście. Nie to jest waszym skarbem. Idźcie stąd, póki nie jest jeszcze za późno.

- To ty uciekaj czym prędzej! W przeciwnym razie stracę cierpliwość i kark ci spróchniały ukrećę.

- Żal mi was, lecz widzę, że jesteście butni. Przyjdę wówczas, kiedy wyzbędziecie się pychy - powiedział spokojnie i znikł.

- Co za wstrętny dziadyga - zacisnął Miłost pięści - sprowadzi nam jeszcze rywali. Zło było mu z oczu.

- Raczej dobro - zauważyła nieśmiało Sława. - Może zastanowimy się nad tym, co on powiedział?

Miłost wybuchnął namiętnie:

- Teraz, kiedy osiągnęliśmy szczyt marzeń, mamy się zastanawiać nad pustymi słowami? Nie, Sławo! Biermy się jak najszybciej do roboty. Na dnie tego jeziora musi znajdować się nieprzebrana ilość złota. Im szybciej je wydźwigniemy, tym prędzej staniemy się szczęśliwi.

Od tej chwili małżonkowie bezustannie bobrowali po jeziorze. Tak, jego dno było całe ze szlachetnego kruszcu. Nurzając się, z niemałym trudem zdołali wydźwignąć kilka brył złota. Miłosta ogarnął szał. Wątle ręce Sławy mdlały od wysiłku, słabe płuca nie mogły wytrzymać pod wodą. Miłost złościł się. Lecz góra złota rosła i rosła na brzegu. Trwało to tak parę tygodni.

Któregoś wieczoru, zdążając do prowizorycznie skleconego szałasu, małżonkowie z trwogą spojrzeli na siebie.

- Jakaś ty straszna! - zatrzymał się Miłost.

- Jesteś jak martwy złoty posąg. Dopiero teraz to zauważyłem.

- Ty również jesteś odpychający. Od pierwszego zanurzenia w wodzie. Przykro mi było tylko o tym wspomnieć.

- Widziałem gdzieś tu niedaleko zwykły strumyk. Musimy się natychmiast umyć.

- Oczy twoje też zmieniły barwę...

- Zdaje ci się - odrzekł zdenerwowany Miłost. - Chodźmy!

Przebiegli okwieconą łąkę. Opodal tryskało źródło: Ich ręce z drzeniem zanurzyły się w przezroczystej wodzie. Na próżno!

- Natrzyj to piaskiem, szoruj kamieniem! Przecież tak nie może zostać. To byłoby przekleństwem!

- Ręce już mi krwawią, Miłostcie.

- Niech krwawią, trzyj!

Niestety, nie pomagało nic. Miłost kamieniał wprost ze zgrozy. Podbiegł do Sławy i wpił się palcami w jej ramię.

- Jak to? Ty nie miałabyś już nigdy tej zarumienionej twarzyczki, białej szyi, błękitnych oczu? Tylko... wszystko, wszystko złote? Sławo! Sławo! - szarpał ją coraz silniej. - Sławo, odpowiedz!

Po złotym policzku nieszczęśliwej kobiety spłynęły dwie duże łzy.

- Widzisz, jak się nieszczęśliwie stało. Gdybyś był wiedział...

Mężczyzna schwyił się za głowę.

- Potopię na powrót te wszystkie skarby. Chcę tylko ciebie mieć taką, jaką byłaś. Tylko taką, jaką byłaś!

W szalonych skokach pobiegł w stronę jeziora. Sława załamana ruszyła za nim.

- Żal mi was - usłyszała za sobą znajomy głos.

Odwróciła się. Stał znowu przy niej siwobrody starzec. W jednej chwili zrozumiała wszystko.

- O panie - załamała ręce - ratuj!

- Was już nie mogę uratować, lecz przyszłe pokolenie zbawię od złotego jeziora.

Powiedziawszy to cisnął swój kostur w fale.

Wspięły się one gwałtownie, opadły i straciły swój blask. Od tej chwili nic już nie różniło wody tego jeziora od innych wód. Litościwy starzec zmienił Sławę i Miłostą w kwiaty przybrzeżnych kaczeńców. I dziś kwitną one, soczyste i barwniejsze niż dawniej. Tylko na odwiecznym pustkowiu wyrosło ciche miasteczko Maszewo, leżące na szlaku Stargard - Nowogard, a złote jezioro nazywa się Młyńskie. Nikt już tutaj nie wierzy, że w pradawnych czasach było ono złote.

Legendy jednak nie powstają z niczego i skłonny jestem wierzyć, że jeszcze i dzisiaj są takie jeziora - siedliska bogactw i nieszczęść.

Tymoteusz Karpowicz

Niezwykłe wesele



W Budowie, na południowy wschód od Słupska, mieszkał niegdyś stary człowiek niewysokiego wzrostu, o żywych ruchach i bystrym spojrzeniu.

Był to owczarz Jarosz.

Zasłynął on w całej okolicy dzięki temu, że jako jeden z ostatnich grywał na dudach. Czy to w domu, czy w polu zawsze można było go spotkać z tym rzadkim już wówczas instrumentem. Trzymając przed sobą skórzane worki z długimi trąbkami, niby koźlę rogate, przebierał palcami i wydobywał dźwięki raz radosne i skoczne, to znów poważne i smętne. Co rano Jarosz z domu wychodził i wędrując po wsi od jednego do drugiego zabudowania zwoływał grą na dudach owce chłopskie, by je zaprowadzić na paśnik. Owce znały ten głos i same garnęły się do swego pasterza. I tak każdego rana skoro świt wyruszał wesół pochód, do którego często przyłączały się dzieci, chcąc posłuchać trochę muzyki i pobawić się. Jarosz umiał ludziom życie przy różnych okolicznościach.

Dziewczęta urządzały cotygodniowe prządky, na których przędły wełnę. Przychodzili też knopi, by pożartować z dziewczętami i potaćzyć. Dwie panienki, wystrojone w haftowane fartuszki, grzecznie zapraszały Jarosza:

- Dzisiaj u nas będą prządky. Czy możecie zagrać nam na dudach?

- Jak się ładnie uśmiechniecie, to zagram - odpowiadał stary.

Kiedy rozbrzmiewał srebrzysty śmiech dziewcząt, Jarosz też się śmiał i mówił:

- No, to niech będzie, przyjdę na prządky. A dokąd?

- Dziś zbieramy się u Katarzyny.

Wieczorem owczarz brał dudy pod pachę, szedł do wskazanej chaty, siadał tam gdzieś w kąciaku i przebierając palcami grał to tańce, to śpiewki, a młodzież tym ohotniej pracowała. A

kiedy Jarosz się zmęczył i przestał grać, jak stado ptaszków zrywał się śpiew dziewcząt. Tak uzupełniały się: warczenie kołowrotek, buczenie dud i różne melodie pieśni. Po skończonej pracy rozlegał się tupot nóg bijących o podłogę w ożywionym tańcu.

Niekiedy zapraszano też Jarosza na wesele, ale zamożniejsi gospodarze coraz częściej już sprowadzali muzykantów ze skrzypcami, klarnetami i basem. W końcu Jarosz dudlił tylko dla najbiedniejszych, których nie stać było na zamówienie orkiestry.

Pewnego dnia po południu, kiedy Jarosz na pastwisku, otoczony owcami, w zadumaniu grał na swych nieodstępnych dudach, spostrzegł zbliżającego się knopa. Wyjął z ust munsztuk swego instrumentu i zapytał:

- Czego ty chcesz, knopie*1?

Przybysz podszedł bliżej, i wtedy Jarosz zauważył, że ma on dziwny wygląd.

Był bowiem ubrany w modre buksy*2, zieloną jakę*3, a na głowie nosił spiczastą, czerwoną mykę*4. Chociaż był mały jak prawdziwy knop, twarz miał dorosłego człowieka, starą i zmarszczoną. Jarosz pełen zdziwienia spozierał na niego to z jednej, to z drugiej strony.

Wtedy przybysz, a był to krasnoludek, odezwał się grzecznie:

- Przyszedłem do was z prośbą, abyście byli tak dobrzy zagrać i nam na dudach na naszym weselu.

Owczarz zdziwił się jeszcze bardziej. Nic nie słyszał o żadnym weselu, a przecież gdy się urządza we wsi taką uroczystość, to wszystkie wróble o tym ćwierkają.

Spytał więc niepewnie: Gdzie się odbywa to wesele?

- A tu, niedaleko, chodźcie, to zobaczycie.

Jarosz znał całą okolicę jak własną kieszeń i wiedział dobrze, iż w pobliżu nie ma żadnej chałupy, jego ciekawość nie miała więc już granic.

Jeszcze jednak się wymawiał:

- Jeno kto będzie pilnował owiec?

- Nie bójcie się, zaczekają na was.

Stary pastuch podniósł się z ziemi i trzymając przed sobą dudy poszedł za knopem. Ten zaprowadził go kilkanaście kroków dalej, gdzie znajdowało się stare rumowisko kamieni i cegieł. Ku najwyższemu zdumieniu Jarosza otwarła się szeroka szczelina, w której ukazały się kamienne schody, prowadzące w dół jak do piwnicy. Po nich zeszli do obszernej izby, gdzie rzeczywiście zgromadzeni byli goście weselni. Jaroszowi oczy wyszły na wierzch ze zdumienia i błyszczały jak szlifowane bursztyny. Rozglądał się na wszystkie strony, patrzył i patrzył.

Był tam długi i niziutki stół nakryty obrusem haftowanym kolorowo w tulipany, serca i koszyczki z kwiatami. Na stole stały filiżaneczki jak naporstki, talerzyki jak muszelki, dzbanuszki jak kielichy lilii. A naokoło siedziały kraśnięta, nie wyższe nad łokieć, z młodą parą pośrodku: panna młoda z wianuszkiem mertowym*5 i welonikiem tiulowym, pan młody z ruchelką*6 merty na piersiach, jak to przyjęte jest na Pomorzu.

Widząc to wszystko owczarz aż mrugał oczyma. Najróżniejsze myśli przelatywały mu przez głowę. Pytał sam siebie: sen to czy jawa? Jednocześnie chciało mu się śmiać i niemal zawołał:

- Knopy bawią się w wesele! - Ale ugryzł się w język, bo twarze były poważne i uroczyste.

Tak się na to wszystko gapił, że zupełnie zapomniał, po co tu go wezwano. Ale przypomniał mu to krasnoludek.

Podszedł ku niemu i rzekł:

- Młodzi chcą tańczyć, zagrajcie.

Rozejrzał się Jarosz po izbie, pragnął gdzieś usiąść, a tu krzeselka i ławeczki jak w pokoju lalek. Usiadł więc na podłodze, oparł plecy o ścianę i zaczął dmuchać w swoje dudy i przebierać palcami.

Grał tak jak na innych weselach.

Najpierw polkę, potem walca, a widząc, jak te figurki, niby z porcelany, kręcą się w takt muzyki, dziwił się ich zręczności. Zapytał jednego z kraśnięt:

- Skąd wy umiecie tak ładnie tańczyć?

- A bo to nie dość przyglądaliśmy się, jak ludzie wywijają na weselach?
- Ale gdzie? Chodzę na wszystkie wesela, a nikogo z was nigdy nie widziałem.
- Bo my jesteśmy niewidzialne, siedzimy cichutko pod kominem, patrzymy i uczymy się.
- Dobrze, że ja to wiem - odpowiedział owczarz i krzyknął, aż się kraśnięta poderwały.
- Teraz tańczymy szewczyka!

I o dziwo! Pary zaraz umiały dostosować się do taktu jego dud, choć taniec ten mało był znany. Szewiec, szewiec, pink, pink, pink Za dwa detki cały dzień Kręci dratew, szyje buty, Trala la la, tra la la la.

Gdy przetańczyły jedną zwrotkę, drugą razem z dudami śpiewały swymi cienkimi głosikami o szewcu, co robił obuwie. Przy słowach: "pink, pink, pink" - kraśnięta tupąły zgrabnymi nóżkami i uderzały piąstką o piąstkę naśladując szewca, który młotkiem wbija gwoździe w podeszwę. Buzie ich śmiały się, oczka błyszczały radością. Kolorowe ubranka migwały to w jedną, to w drugą stronę, aż Jarosza oczy bolały. Stary dudziarz tak był zachwycony przyjęciem, z jakim spotkała się jego muzyka, że grał bez przerwy.

Wreszcie palce mu zdrętwiały i wargi nabrzmiały. Kiwnął głową raz i drugi - i zasnął. Nie pamiętał, jak długo spał. Kiedy się obudził, było już ciemno. Siedział na ziemi w tym samym miejscu, skąd krasnolud zabrał go na wesele. Naokoło stały zbite w gromadę kędzierzawe owce i patrząc wielkimi, wybałuszonymi oczami dziwiły się, że pasterz jeszcze ich nie prowadzi do domu, pomimo że pora powrotu już minęła. Zerwał się Jarosz, dudy wsunął pod pachę i wyciągając nogi spiesznie ruszył ku wsi, a korowód owiec posłusznie ciągnął za swym opiekunem.

Późnym wieczorem, gdy Jarosz rozbierał się w swoim mieszkaniu, w kieszeni znalazł garść kłaków konopnych. Zdumiał się, bo nie przypominał sobie, aby je tam kiedykolwiek włożył. Namyślał się przez chwilę, potem rozgniewany, że ktoś splatał mu figła, wyrzucił konopie na śmiecie.

Ale następnego dnia jeszcze bardziej się zdumiał, kiedy przypadkowo - wsunął rękę do drugiej kieszeni. Tam znalazł szczerozłote, błyszczące dukaty.

Zrozumiał, że była to zapłata krasnoludków: one wsunęły mu kłaki konopne, które przez noc zamieniły się w złoto. Zaczął gorączkowo szukać kłaków wyrzuconych poprzedniego wieczoru, ale już ich nie odnalazł.

Władysław Łęga

1. Knop - chłopak. 2. Buksy - spodnie. 3. Jaka - kurtka. 4. Mycka - czapka. 5. Merta - mirt.
6. Ruchelka - bukietek.

O zatopionej Winecie



Nad Zalewem Odrzańskim wstawał dzień czerwcowy, duszny i upalny jako i noc miniona. Słońce weszło czerwone, jakby nabrzmiało krwią i wnet poczęło mocno przypiekać. Znak to był nieomylny, iż pogoda nie utrzyma się długo.

Diwa wstąpiła na jedną z wież obronnych Winety i z trwogą wyglądała ku zachodowi, gdzie w dali majaczył we mgłach strażniczy gródek lubiński, zbudowany na wyniosłym cyplu przybrzeżnym. Lecz cicho i pusto było wokoło, na wodach zalewu nie widać było ani jednego żagla.

Miesiąc już minął - liczyła w pamięci - gdy ojciec, Wszebor, z młodym jej bratem wypłynęli przeciw wrogom na czele stu okrętów bojowych, i dotąd żadnej wieści.

Oto nadeszło już święto Kupały -właśnie kończy dziś roków szesnaście, a ojciec obiecał jej na urodziny piękne zausznice ze szczerego złota. I miały być huczne tańce, zabawy, gonitwy rycerskie...

Spojrzała na swą dłoń zdobną w żelazny pierścień wikingów i zarumieniła się na wspomnienie pierwszego i pożegnalnego pocałunku, którego żar jeszcze dotąd czuła na swych wargach.

- Kiedyż wrócą? Przecież to dziś miały być jej zrękowiny z jarlem wikingów, Erykiem, sprzymierzeńcem Winety.

W uszach brzmiał jej jeszcze jego męski, dźwięczny głos, śpiewający pochwałę jej rodzinnego grodu w rytm mieczy stalowych, bijących w szczyty opięte bawołą skórą:

Tam gdzie w morzu Odra Znika i swój kończy bieg, Szlachetni ludzie, jak czytałem, Morski gród warowny wzniesli, Co niejednen przetrwał wiek. I zwano go Wineta. A kto z przybyszów osiąść chciał, tego otwarcie przyjmowano, Czy był to Grek, czy był to Prus, Czech, Polak lubo Rus. Albo z innego przybył kraju - Temu gościnę na dzień i noc. Największy Europy gród Jadłem i trunkiem sycił w bród Żeglarzy śmiałych Z plemion cudzych, Pogan, Żydów, chrześcijany. Każdy po męsku Życ tu mógł, A nad wiernymi czuwał Bóg.

Diwa zwróciła wzrok w stronę ukochanego grodu: u jej stóp rozpościerała się słowiańska Wineta, opasana potężnym murem obronnym, którego strzegło dwanaście wież, a dwanaście bram i dwanaście dróg wybiegało w różne strony świata. Domy budowane z granitu pokrywała pozłocista blacha, która w promieniach słońca biła w oczy łuną blasków, a ulice wykładane dębowymi tarcicami wypełniał wielojęzyczny tłum kupców z różnych krajów. Gwar rozmów i wesole okrzyki dochodziły do jej uszu aż tutaj na wieżę. Tylko port leżący w zatoce nad rzeką Dziwną był prawie pusty, a żelazne wrota strzegące wejścia zawarte były na głucho. Okręty na dalekim morzu pełniły straż, bacznie wypatrując wroga.

Zaskrzypiały dębowe schody i obok Diwy ukazał się siwy starzec w długiej lnianej szacie i z wysoką laską, zakończoną pozlacanymi rogami tura - oznaką najwyższej władzy kapłańskiej. Diwa skłoniła z uszanowaniem głowę.

- Witaj, ojciec Boguchwale, strażniku świętego chramu Tryglawa.

- Witaj, Diwo, Wszeborowa córko - odrzekł starzec. - Odszukałem cię tutaj, bo niepokój mię trapi, a z nikim naradzić się nie mogę.

- A rada starszych grodu? - odrzekła Diwa.

- Najlepsi i najrozsądniejsi z nich pociągnęli na morze razem z twym ojcem, a ci, co zostali, myślą jedynie o handlu i złocie.

- Czy jakieś wieści są z morza?

- Nie ma żadnych, i to jest najgorsze.

- I mnie też dręczy niepokój - przyznała się Diwa. - Czy obawiasz się jakowegoś nieszczęścia? Bacz przecie, iż wróżba Tryglawowego rumaka była przed wyprawą pomyślna, żadnej z leżących włóczni nie potrafił kopytami.

- Wszystko jest w ręku Świętowita - odrzekł Boguchwał - aleć trzeba pamiętać, że Czernyboh wszędy dybie na ludzką niedolę i zsyła różne przygody. A wszelakże w Winecie nie wszystko dobrze się dzieje - złoto i dobrobyt psują ludzi i wbijają ich w pychę i samolubstwo, nie dbają oni o obronę kraju, powierzają ją obcym przybyszom opłacanym srebrem.

- Czy nie wierzysz, ojciec, wikingom? Wszak składali przysięgę na wierność Winecie, a Eryk toć to mój przyszły małżonek - dodała ciszej.

Boguchwał nic na to nie odrzekł, jeno zamyślił się głęboko.

Diwa rozejrzała się uważnie dookoła i przybliżyła się do starca.

- Chciałam ci, ojciec, coś opowiedzieć, albowiem boję się, że to jakoweś czary.

- Słucham cię, mów.

- Wczora w południe wybiegłam z grodu na drugą stronę rzeki, by urwać świeżych kwiatów na przywitanie ojca i brata. Gdy byłam na moście, ukazała mi się w wodzie rusałka. Boguchwał niespokojnie targnął dłonią brodę.

- Co mówisz, dziewczyno? Toć to rzecz wielkiej wagi! Czy rzekła ci co lub dawała jakoweś znaki? A jak wyglądała? - pytał zaniepokojony. - Ma zielone jak ruta oczy i długie włosy niby ze lnu. Złożyła przede mną ręce jak do modlitwy i patrzyła bacznie w oczy. Złękłam się i uciekłam do grodu, a śpiew jakowyś smutny gonił za mną.

- Zła to wróżba, Diwo, bardzo zła; trzeba dziś jeszcze złożyć ofiarę Tryglawowi i prosić o pomoc. Diwa pobladła z przerażenia i osunęła się na dębową ławę.

- Radź, ojciec Boguchwale, co czynić, by uniknąć nieszczęścia! Raz pierwszy ujrzałam rusałkę, gdy miałam lat dziesięć, i wtedy zmarła mi matka, wczora widziałam ją po raz drugi.

Boguchwał chodził po wieży tam i z powrotem, marszcząc czoło w zamyśleniu i targając niespokojnie brodę, wreszcie stanął przed Diwą.

- Wielka to tajemnica rodu twojego. Przyrzekłem Wszeborowi, że dowiesz się o niej, gdy powróci z wojennej wyprawy, ale to, coś mi rzekła przed chwilą, zmieniło mój zamiar. Może czeka nas wszystkich wielka próba losu. Nim jednak rzeknę cośkolwiek, musisz złożyć przysięgę, iż nikomu nie zdradzisz świętej tajemnicy.

Tu rozkazał ukłęknać dziewczynie, złożyć obie dłonie na turzycach rogach, którymi była zwieńczona jego laska kapłańska, i powtarzać za nim słowa przysięgi.

Dziewczyna, drżąc z lęku jak liść osiczyzny, powtarzała za kapłanem zakłęcie:

"Przysięgam na święte imię Świętowita i Tryglawa, że zachowam wiernie powierzoną mi tajemnicę, a jeśli złamię przyrzeczenie, niechaj ściga mię klątwa bogów po wszystkie dni żywota mego".

Gdy skończyła, kapłan otarł połą płóciennego rękawa kroplisty pot, który zrosił mu czoło od wielkiego natężenia myśli, po czym podniósłszy Diwę z klęczek tak zaczął kazać:

- Rusałka, którą wczoraj ujrzałaś, jest boginką rzeki Dziwny, nad którą stoi gród nasz, a więc istotą nieśmiertelną. Na imię ma Diwa, tak jako i ty, jest bowiem pramatką twego praojca.

Diwa krzyknęła z przestachu i zakryła dłońmi oczy.

- Nie lękaj się jej - prawil dalej Boguchwał - rusałka jest opiekunką Winety i całego waszego rodu, i nic ci złego nie uczyni, a jeno ostrzega przed grożącym niebezpieczeństwem.

Diwa poczuła, jak dziwny chłód i spokój ogarniają jej myśli, a starzec, odetchnąwszy głęboko, prawił dalej:

- W bardzo dawnych czasach, do których nie sięga już pamięć najstarszych nawet ludzi, przybył w te strony z dalekich puszczy nadłabskich praszczur twego ojca. Nie miał imienia ani nazwiska, przewano go więc wedle szczepu jego rodowego Wenetą. On to założył nad Dziwną gród obronny, który po dziś dzień zowią ludzie od imienia założyciela Wenetą, a drudzy Winetą. Weneta pojął w małżeństwo rusalkę Diwę, od której rzeka nasza nosi nazwę Dziwny, i miał z nią dwóch synów i dwie córki. Nowo narodzone dzieci Weneta znajdował zawsze na brzegu rzeki w misternie plecionych kobiałkach, przyozdobionych liliami wodnymi. Synowie otrzymali od rodziców imiona: Wolin i Uznam, a gdy dorosli, ojciec nadał im w dziedzictwo obie wyspy nadmorskie, które od nich przyjęły swe nazwy. Natomiast córki - Świna i Piana - stały się rusalkami dwóch dalszych rzek, opływających bratnie wyspy. Ty, Dziwo - prawił starzec - jesteś praprawnuczką Wolina, zrodzoną z ziemianki.

Gdy skończył, cisza śmiertelna zaległa na wieży, a Diwa przycisnęła dłońmi swe piersi, by uciszyć gwałtowne bicie serca. Uspokoiwszy się nieco, rzekła:

- Nikt mi nigdy o tych sprawach nie mówił i spadają one dziś na mnie niespodziewanie jako brzemień losu. Poucz mnie więc, Boguchwale, jak mam żyć i co czynić, by nie utracić rusalczanej opieki.

- Nosisz na szyi święty amulet przekazany ci przez ojca, czy nie tak?

- Tak, Boguchwale, noszę go stale na srebrnym łańcuszku - odrzekła zaskoczona. - Jest niby z bursztynu i nie z bursztynu, a w środku znajduje się jakby wtopiona maleńka złota rybka, która raz lśni blaskiem słonecznym, to znów gaśnie i ciemnieje. Zapytywałam dawniej i matkę swą, i ojca, co by to miało znaczyć. Odrzekli mi jedynie, bym strzegła amuletu jako żrenicy oka swego, a reszty dowiem się, gdy ukończę lat szesnaście, w dzień święta Kupały. Dziś właśnie kończę szesnaście lat i dziś właśnie jest święto Kupały, tylko jakieś smutne, nie takie jak dawniej bywało - dorzuciła w zamyśleniu.

- Dzisiejszy dzień miał być dla ciebie szczęśliwy i radosny, i pełen zabaw hucznych, i śmiechu, ale Świętowit i Trygław zarządzili inaczej: nie ma twego ojca i brata i troskam się o los ich. Przetarł dłońią czoło i prawił dalej:

- Muszę więc bez ojca twego i brata dopełnić świętego obrzędu i wyjawić tajemnicę amuletu, który nosisz na piersiach. Jest to amulet rusalki Diwy, pramatki twego praojca. Ma on czarodziejską moc: w dni szczęścia mała rybka, zaklęta w amulecie, jest słonecznie złocista, gdy nieszczęście się zbliża do któregoś z członków twego rodu - ciemnieje, a czasu wojny, gdy przelewają swą krew - robi się purpurowa.

Przelekła się Diwa, sięgnęła dłońią po amulet, lecz starzec powstrzymał ją ruchem ręki.

- Jeszcze nie czas, jeszcze nie powiedziałem ci tajemnicy najwyższej.

Diwa znieruchomiała i utkwiała w starcu przerażone oczy.

- Więc jeszcze jest coś straszniejszego?

Starzec skinął głową i ścisząc głos do szeptu, ciągnął:

- Amulet nie ma mocy zmieniania przeznaczeń losu żadnego z członków waszego rodu, a tylko ma władzę ostrzegania, gdyby jednak klęska i zagłada zagrażała całemu naszemu grodowi, Winecie, wówczas amulet nabiera mocy ogromnej i może gród uratować.

- Ale jak ma gród uratować, co się wówczas z miastem stanie? - zapytywała drżąc Diwa.

- Tego i ja nie wiem, nigdy żadna z cór twego rodu takiej pomocy od rusalki nie żądała. Gdyby jednak zaistniała taka potrzeba - szeptął starzec - musisz zdjąć amulet z szyi, ucałować go po trzykroć i po trzykroć wymówić przysięgę:

"Rusalko Diwo! Ratuj od zagłady twój gród Winetę!"

Zapamiętaj dobrze słowa zaklęcia, bo omylić ci się nie wolno - dodał starzec. - I wiedz również, iż zaklęcie będzie miało moc cudowną jedynie wówczas, gdy będziesz czysta jako czysta jest kropla rosy osiadająca o świcie na rozkwitłej nocą róży.

Diwa zarumieniła się:

- Zdało mi się, iż umiłowałam Eryka, ale łączy mię z nim jedynie pierwszy pocałunek.

Wtem na wieżach strażniczych Winety rozległy się okrzyki straży:

- Ohej! Ohej! Ohej!

Starzec porwał się z ławy i spojrzął na zachód: nad lubińskim grodem snuł się w górę słup dymu - znak ostrzegawczy, iż od strony morza zbliża się wróg. Boguchwał z Diwą zbiegli w dół ku straży. Za chwilę rogi bojowe zabrzmiały na trwogę i straż miejska ruszyła na mury obronne. Boguchwał, jako najstarszy z rady, wydał rozkaz:

- Dziesięciu łuczników niech pędzi co koń wyskoczy do gródka w Lubinie i zasięgnie wieści o okrętach Wszebora, a wszystkie okręty bojowe, znajdujące się w Winecie, niechaj płyną pod pełnymi żaglami na spotkanie wroga.

Zagrzmiały kopyta końskie po ulicach Winety, a w przystani zazgrzytały łańcuchy rozwieranej bramy portowej i dziesięć zbrojnych okrętów pomknęło ku zalewowi. Diwa sięgnęła ukradkiem po czarodziejski amulet i krzyknęła z trwogą: złota rybka, zamknięta w jego wnętrzu, mieniła się krwią.

Miasto gorączkowo szykowało się do obrony, lecz bogaci kupcy i cudzoziemcy nie kwapili się zbyt ku zbrojowni, gdzie wydawano broń. Główną ich troską było jak najbezpieczniej ukryć swe skarby. Słońce jeszcze nie dobiegło południa, gdy pierwsze wieści niby sępy złowróżbne poczęły napływać do Winety. Najpierw nadbiegli łucznicy wysłani do Lubina. Wpadli na spienionych koniach na rynek miejski, gdzie mieściła się rada starszych.

- Trzysta zbrojnych okrętów Danów płynie pod pełnym żaglem na Winetę! - krzyczał pierwszy.

- Z okrętów Wszebora widzieliśmy jeno trzy. Danowie je ścigają! - prawił drugi. - Lubin już wróg oblega, ledwie się wymknął z gródka.

Wśród słuchaczy jęk się ozwał - to Diwa chwyciła się nagle za serce, a potem roztrąciwszy radnych przypadła ku łucznikom:

- A co z ojcem, z bratem? Co z Erykiem?!

Lecz oto wrzawa podniosła się od strony portu.

- Otwierać wrota portowe! Za nami Danowie! Wszebor zabity! - krzyczano z okrętów.

Boguchwał rozkazał wpuścić okręty, a potem zawrzcć ponownie bramę portową. Z dziesięciu wysłanych okrętów wróciły jedynie trzy. Z pierwszego rycerze wynieśli złożone na szczytach ciała Wszebora i Wolina, pokłute straszliwie włóczniami.

Diwa z krzykiem dopadła leżących:

- Ojczy! Bracie!

Wszebor żył jeszcze.

- Eryk z wikingami nas zdradził... Brońcie Winety... - wyszeptał.

Podniósł dłoń, by pobłogosławić pochyloną Diwę, lecz ręka opadła martwa na ziemię.

W mieście dzwony spżowe były na trwogę. Cały Zalew Odrzański, jak okiem sięgnąć, zabielił się od żagli i strzelistych masztów danejskich statków, które wpływały właśnie na wody Dziwny. Kilka z nich, nie znając szlaków wodnych, wpadło na pale dębowe wbite w dno Dziwny i zatoneło. Lecz oto z ciżby okrętów wysunął się jeden żaglowiec i znanym jedynie Winetom bezpiecznym szlakiem podpłynął aż pod samą bramę portową.

Na pokładzie stał wiking w hełmie, z oszczepem w dłoniach, opuszczonym grotem ku dołowi.

- Śmierć zdrajcy! - zahuczało wśród tłumu.

Kilka strzał i oszczepów pomknęło za bramę portową. Boguchwał podniósł laskę kapłańską ku górze i uciszył wzburzony tłum.

- Zdrajca Eryk przybywa jako poseł, musimy go wysłuchać!

- Na czele rady starszych ruszył ku wrotom przystani.

- Złamałeś, Eryku, przysięgę złożoną Winecie, zdradziłeś Wszebora i Wolina - powiedział Boguchwał.

- Król Danów uwolnił mię od przysięgi - odparł Eryk bezczelnie.

- Bliżsi nam Danowie niż Weneci. - Czego żąda król Danów? - zapytał krótko Boguchwał.

- Żąda, byście się poddali niezwłocznie na łaskę i niełaskę; inaczej miasto zdobędzie szturmem i doszczętnie spali, a mieszkańców w pień wytnie. Daje wam godzinę do namysłu, a tymczasem, by sobie osłodzić czekanie, żąda, byście mu wydali jako zakładnika Wszeborową córkę, Diwę.

- Milcz, nikczemniku, i nie kalaj jej imienia swymi plugawymi ustami!

- Zapłacisz mi za te słowa, Boguchwale, tymczasem czekam na odpowiedź dla króla Danów.

Boguchwał naradził się cicho z członkami rady starszych.

- Powiedz królowi Danów, iż Wineta woli walkę i śmierć niż niewolę.

Okręt poselski odpłynął sprzed bramy portowej, a mieszkańcy Winety poczęli się gorączkowo przygotowywać do obrony. Diwa tymczasem, głucha na wszystko, obmywała z ran zwłoki ojca i brata i, namaściwszy je wonnościami, kazała złożyć na stosie na rynku miasta. Boguchwał odprawił modlitwy za poległych i wkrótce stos z obu bohaterami zapłonął ku niebu. Kapłan zwrócił się do straży i uzbrojonych tłumów mieszkańców Winety:

- Musimy pomścić godnie śmierć wodza naszego, Wszebora, oraz syna jego, Wolina. Szczęk mieczy i gniewny pomruk straży zabrzmiały w powietrzu:

- Śmierć Danom! - Śmierć zdrajcy Erykowi i jego wikingom!

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy Danowie przypuścili szturm do Winety od strony portu. Wineta broniła się dzielnie, zadając wrogom wielkie straty. Ogniste strzały obłożonych raz po raz więzły w płóciennych żaglach i wnet okręty Danów przemieniały się w płonące pochodnie. Inne okręty, uchodząc od ognia, wpadały na zdradzieckie pale podwodne i przedziurawione szły na dno. Wkrótce całą szerokość Dziwny zalegały płonące lub na wpół zatopione okręty wroga. Szturm na przystań Winety został odparty. Ale w samym grodzie nie działo się najlepiej. Bogaci kupcy, kramarze, szynkarze, złotnicy i wszelkiego rodzaju lichwiarze podnieśli otwarty bunt przeciw radzie starszych, której przewodził Boguchwał.

- Nie chcemy umierać za Winetę! - gardłowali jedni.

- Mamy czym się okupić Danom! - krzyczeli drudzy.

- Ze złotem wszędzie ojczyznę znajdziemy! - mówili inni.

Tuż przed zachodem słońca ciężkie chmury spowiły niebo i nagły mrok okrył ziemię. Korzystając z ciemności bogacze miejscy porozumieli się ze stronnikami Eryka i przekupili część straży, by otworzyła im jedną z bram miejskich. Diwa, przybrana w czarny, żałobny strój, klęczała właśnie u dogasającego stosu i płacząc zbierała ze służebnicami do glinianych urn spopielone szczątki ojca i brata. Srebrny łańcuch zsunął jej się z szyi i czarodziejski amulet upadł na ziemię. Prerażona Diwa porwała go w dłonie i biegła szukać Boguchwała: małeńka rybka w amulecie była czarna jako jej żałobna szata.

Wtem wrzask okropny targnął powietrzem i gromada zbrojnych wikingów wpadła przez zdradziecko otwartą bramę do wnętrza grodu, szerząc wokoło rzeź i pożogę. Na ich czele biegł zdrajca Eryk. Na wieżach strażniczych zabłyśły ognie, a na stołbie, kędy mieściła się rada starszych, rozkołysał się dzwon na trwogę. Wróg był już w mieście.

Diwa dopadła Boguchwała na przystani portowej i drżąc cała z przerażenia rozchyliła przed nim dłoń z amuletem. Starzec padł przed nią na kolana.

- Ratuj nas, Diwo! Ratuj Winetę! Ty jedna to możesz uczynić! W tobie jedyna nadzieja!...

Od miasta biegł ku nim Eryk z mieczem skrwawionym aż po rękojeść. Ujrawszy Diwę zachwiał się nagle, jakby rażony śmiertelnościami grotem, i padł na kolana. A ona stała przez chwilę w krwawych blaskach łuny niby posąg z czarnego granitu, a potem, ucałowawszy ze czią tajemniczy amulet, poczęła z wolna wymawiać magiczne zaklęcia:

- Rusalko Diwo! Ratuj od zagłady twój gród Winetę!

I potem to samo po raz wtóry i po raz trzeci...

Ledwie przebrzmiały ostatnie słowa zaklęcia, gdy burza szalona rozpętała się nad Winetą, oślepiające zygzaki piorunów poczęły bić raz po raz w szturmujące miasto gromady Danów i wikingów. Straszliwy wicher, niby ogromna trąba spiżowa, zatoczył z rykiem krąg ponad Zalewem Odrzańskim, Wolinem i Uznamem, i wyjąc, świszcząc i hucząc runął ku Bałtykowi, a

spiętrzone jako maszty okrętów wyniosłe fale morskie wdarły się z łoskotem w gardziel rzeki Dziwny i zalały wszystko dokoła.

Gdy szary świt wstał nad Zalewem Odrzańskim, nie było ani śladu po trzystu okrętach Danów i Wikingów, a tam, gdzie jeszcze wczoraj leżała piękna Wineta, rozpościerała się rozległa zatoka Dziwny, wdzierająca się głęboko w ląd wyspy.

Tak zginęła Wineta, sławny gród słowiański u ujścia Odry, o którym kroniki wielu narodów pisały od lat tysiąca bez mała, o którym poeci i skaldowie układali przez wieki pieśni rycerskie, bohaterskie sagi i poematy, a historycy i archeolodzy wadzą się o niego aż do czasów współczesnych.

Wineta spoczywa ponoć gdzieś na dnie Zalewu Odrzańskiego, a może zakopana głęboko w piasku i mule rzeki Dziwny śpi spokojnie pod czujną opieką rusalki Diwy. Wśród ludu pomorskiego krążą wieści, że Wineta co pewien czas pojawia się na powierzchni Zalewu Odrzańskiego w całej swej wielkości i krasie. Towarzyszy jej dźwięk dzwonów bijących jakby na trwogę. Lecz ujrzeć ją mogą jedynie ludzie wybrani, o czystych sercach, i to tylko raz na sto lat, w noc świętojańską. W kilka wieków po zatopieniu Winety, gdy fale Dziwny i wichry bałtyckie zamuliły zatokę powinecką i zamieniły ją w żyzną dolinę, powstał tu nowy gród słowiański, który od imienia pierworodnego syna Winety i rusalki Diwy nazwano Wolinem.

Gród ten, pamiętający czasy pierwszego księcia Polan, Mieszka I, stoi po dzień dzisiejszy.
Stanisław Świrko

Jak bochen chleba w kamień się zamienił



Było to dawno, bardzo dawno temu.

Więcej niż sto lat, więcej niż dwieście. Wśród ludzi mieszkających na Pomorzu panował wielki głód. Nie obrodziły pola, nie obrodziły sady - nie było zboża na chleb, nie było jarzyn ni owoców żadnych. Bogatsi gospodarze wyciągali ze skrytek miedziane i srebrne pieniądze i jechali z nimi do miasta po zakupy. Byli i tacy bogacze, co zeszłego roku plon wielki zebrawszy mieli jeszcze w komorach i w stodołach zapasy mąki i kaszy. Tym działa się dobrze. Ale biedota wsiowa, komornicy i wyrobnicy przymierali okrutnym głodem.

A była wówczas w jednej pomorskiej wiosce pod Oliwą wdowa uboga, matka drobnych dzieci. Dzieci były małe i głodne, nie rozumiały, że matka nie może im dać chleba, bo go nie ma w chacie.

Płakały i krzyczały:

"Jeść, mamo! Jeść!"

Wyszła więc matka z chaty, żeby gdzieś zdobyć pożywienie dla swych dzieci, sama z głodu ledwie żywa. Idzie, idzie - napotkała na drodze do Oliwy bogatego gospodarza. Niósł on wielki bochen chleba na sprzedaż. Gdy zobaczył biedną wdowę, czym prędzej schował bochen pod kurtkę. Kobieta wyciągnęła do niego ręce jak do zbawcy.

- Kumie kochany! Poratuj niebogę, daj kawałtka chleba dla moich głodnych dzieci.

Ale skąpiec odrzekł z gniewem:

- Toć ja, kumo, kamień taki wielki, a nie chleb niosę.

- Kiedyś taki Nielitościwy, to niechże ci ten chleb kamieniem zostanie! - krzyknęła zrozpaczona kobieta.

Skąpiec w milczeniu minął ją i szedł dalej. A oto poczuł, że coś dziwnego się dzieje: bochen chleba pod kurtką zaczął mu ciążyć coraz bardziej i bardziej. Ręce chłopu mdleją, pot oczy zalewa, krzyż mało nie pęknie od dźwigania wciąż rosnącego ciężaru. Wreszcie już ni krokiem postąpić nie może, tak mu ciąży ten bochen. Alboż to chleb jest? Odwinął skąpiec poły i poblądł: oto chleb stał się kamieniem.

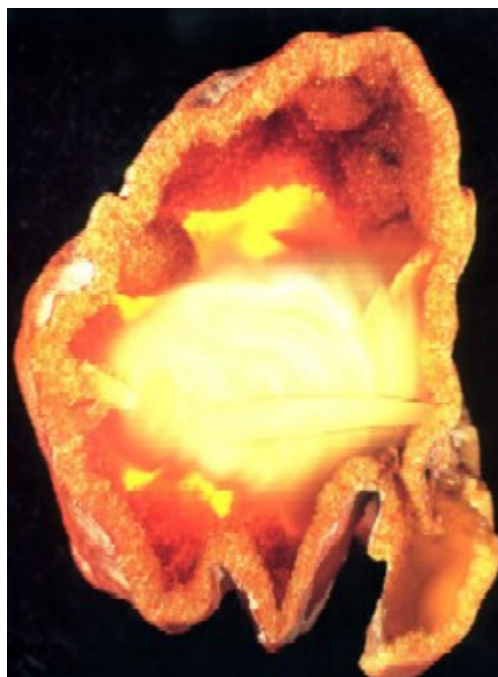
Poznawszy w tym rękę Bożą, gospodarz postępkę swego zaraz żałował.

Ubogą wdowę do siebie do chaty przywołał, jadłem, co było na zapas w komorze, z nią i z innymi ubogimi się podzielił. A chleb w kamień zamieniony ofiarował do kościoła w mieście Oliwie.

Aby jemu i innym przypominał naocznie, iż trzeba mieć w sercu litość i miłosierdzie.

Ewa Szelburg - Zarembina

Bursztynowa korona



Na całym kaszubskim wybrzeżu nie było większego psotnika i urwisa od Mikołajka.

Ludzie prosili, tłumaczyli, grozili... na próżno. Nie było żadnej rady na chłopaka. Do roboty - ostatni, do psoty, do szkody - pierwszy.

Raz, kiedy po udanym połowie cała osada się zbiegła, by pomóc przy wybieraniu ryb z sieci, Mikołajek - jak zwykle - smyrnął w las rosnący na wydmie. Zachciało mu się szukać bursztynów w jemu tylko znanym, odległym miejscu, gdzie morze wyłobilo małą zatoczkę - w piaszczystym brzegu.

Biegł między sosnami przez piasek, w którym nogi grzęzły mu po kostki, biegł ku sypkim pagórkom, porośniętym twardą, wysoką trawą. A potem zmęczony rzucił się na ziemię, twarz wystawił do słońca i... zasnął. Zbudził go śpiew dolatujący od morza.

Głosy były piękne, ale nieznane. Zaciekawiony chłopiec wysunął głowę spomiędzy kęp trawy. Nad wodą, na czysto umiecionym piasku siedziała piękna dziewczyna w sukni koloru morza, przepasanej wstęgami morszczyku i przybranej ciemnymi muszlami omułków. Na długich, zielonych włosach miała koronę z bursztynów wszystkich odcieni, od jasnego jak śmietana na mleku, do ciemnego jak świeża żywica spływająca ze zranionego drzewa. Południowe słońce przenikało je zapalając we wnętrzu złote isierki.

Mikołajowi oczy się zaświeciły na ten widok.

- Bursztynowa korona! Panna Wodna, córka króla Bałtyku, w bursztynowej koronie - powtarzał szeptem. - Ileż to razy babka opowiadała o niej wieczorami... A ja myślałem, że to takie sobie bajanie, nieprawda! Żeby tak zdobyć tę koronę... ten skarb... wszystkich bym zadziwił...

Pannę Wodną otaczały fale z białymi grzywami, gotowe na każde skinienie.

- Uczeszcie mnie - rozkazała.

Jedna z fal zdjęła jej z głowy koronę i ostrożnie złożyła na wydmie, nie opodal miejsca, gdzie przyczał się Mikołajek. Inne rozplatały jej włosy szmaragdowe. Czesząc śpiewały o ukrytym w głębinie bursztynowym pałacu władcy Bałtyku.

Ale Mikołajek nic już nie słyszał i nie widział, prócz leżącej przed nim korony. Czołgał się ku niej powoli, uważając, by nie zaszeleściła trawa.

- Będzie moja... musi być moja... Jeszcze jeden ruch i bursztyny zniknęły pod błękitną, wypłowiałą koszulą. Nie bacząc już na nic, chłopiec zerwał się i popędził wzdłuż wydmy ku domowi. Tupot jego nóg zwrócił uwagę Panny Wodnej.

- Gdzie moja korona? - krzyknęła, a widząc uciekającego chłopca, rozkazała: - Gońcie go! Prędeż! Musicie go schwytać! Z pluskiem i szumem pędziły wzburzone fale po brzegu.

- Morski wietrze, na pomoc! - wołała Panna Wodna.

Zerwała się wichura jak przy największym sztormie. Uderzyła Mikołajka od przodu, aż mu dech zaparło i musiał przystanąć. Przychylił się, przygiął, by łatwiej się przebić pod wiatr, ale szarpnięty nowym podmuchał stąpnął nieostrożnie na skraj podmytej wydmy i stoczył się na dół. Korona wysunęła mu się zza pazuchy i wpadła między rozgniewane fale, które trzęsąc białymi grzywami otoczyły rabusia.

- Puśćcie mnie! Puśćcie mnie!

Lecz one dalej zastępowały mu drogę sięgając do ramion i chlustając słoną wodą w oczy. Na rozkołysane wicherem morze wypłynął teraz sam władca Bałtyku, z bursztynowym berłem w dłoni i w jeszcze piękniejszej koronie na głowie.

- Litości! Nie zabijajcie mnie! Litości! - błagał Mikołajek. - A ty, czy miałaś litość nad różowymi chełbiami, któreś łowił dla zabawy i porzucił na piasku, gdzie ginęły bez wody? - zaszumiały groźnie fale. - Ile zmartwienia i trudu przysporzyły twoje psoty rybakom, gdyś plątał im sieci... Albo poławiaczom bursztynów podkradałeś się do komory? - Spójrz na nasze obnażone korzenie - zaszumiały sosny z osypującej się wydmy. - Spójrz na trawy i zioła, które z takim trudem czepiają się piasku, a ty je niszczyłeś bez litości...

- Dosyć - król skinął berłem patrząc na chłopca surowo. - Zawiniłeś zbyt wiele, kara być musi najsroższa...

- Zlituj się! Ja już nigdy...

- Za późno. Nikt nie stanął w twojej obronie.

Mała, płaska stornia podpłynęła bokiem i musnęła stopy władcy.

- Przed kilku dniami burza wyrzuciła mnie na brzeg i byłabym zginęła, gdyby on mnie nie podniósł i nie wrzucił do wody.

- Czy kto jeszcze chce świadczyć za chłopcem?

Goniaca muchy jaskółka przysiadła Mikołajowi na rękę.

- Miałam skrzydło złamane... Złożył mi je, opatrzył i karmił mnie, póki znowu nie mogłam pofrunąć.

Król Bałtyku rozjaśnił się trochę.

- Więc jednak ktoś się ujął za tobą i ocalił ci życie. Nie umrzesz, lecz przemienię cię w ziele o liściach i kwiatach błękitnych jak twoja koszula, tak pięknych, że będą wabiły oko każdego przechodnia. I rozrośniesz się szeroko po całym moim wybrzeżu i miast niszczyć wydmy piaszczyste, będziesz je umacniał swymi korzeniami zapuszczonymi głęboko. Ludzie nie zapomną twojego imienia i zwać cię będą mikołajkiem nadmorskim.

I Mikołajek został sam na pustym wybrzeżu.

Hanna Zdzitowiecka

Zaklęte skrzypki Szymka Flisaka



Jakub Gąsiorek, dozorca starego Żurawia nad Motławą, miał córkę Brygidkę. Nie było w Gdańsku piękniejszej od niej dziewczyny. Każdy, kto ją zobaczył, nie potrafił już zapomnieć jej twarzy jasnej jak bałtycki brzask, jej rąk białych i lotnych niby mewy unoszące się nad zieloną rzeką. Kochali się w niej robotnicy, którzy obracając pod kierunkiem Gąsiorka ogromne koła żurawowego dźwigu, podnosili maszty i wyładowywali towary z okrętów, komięg*1 i skut*2. Kochali się w niej królewscy kaprowie, żeglarze zamorscy i gdańscy kupcy. Podobno nawet ogromny sum, mieszkający pod Zielonym Mostem, wynurzał nad powierzchnię wody oślizły łeb i ruszał rudymi wąsami, ilekroć przechodziła Długim Pobrzeżem.

Ale Brygidka była nieczuła na te wszystkie hołdy i odrzucała każde oświadczenia.

- Pewnie czeka, aż sam burmistrz jegomość pośle do niej swatów! - zrzędziła przekupka Katarzyna sprzedająca flądry, łososie, dorsze i śledzie na Rybim Targu, na który rzucała błękitny cień ceglana baszta zwana Łabędziem.

- A ja ci powiadam - brała się pod boki Barbara, kuma i sąsiadka matki Katarzyny - że i burmistrz dostałby u niej czarną polewkę!

- Na kogo więc czeka?

- Chyba na królewicza z bajki.

Zdawało się, że rację miała pyskata Barbara, bo niebawem i sam burmistrz został odprawiony z kwitkiem. Brygidka gospodarzyła ojcu i co wieczór podlewała kwiatki w okienku pod słonecznym zegarem na starym Żurawiu. Na próżno uśmiechali się do niej szlachcice w czerwonych żupanach, którzy przywozili skutami do Gdańska swoje zboże, na próżno nucili pod jej oknem rzewne piosenki miejscy muzykanci i wędrowni śpiewacy.

Pewnego jednak wieczoru, kiedy ucichło szczekanie psów prowadzonych ulicą Ogarną i Krowim Mostem na Wyspę Spichrzów, której miały nocą strzec przed złodziejami, pod Żurawiem zagrały lipowe skrzypki i jakiś dźwięczny głos zanucił:

Miałem ci ja, miałem gospodarstwo hojne:

cztery koty do roboty i dwie myszy dojne.

Miałem dwa psy stare,

Cztery szare koty do młócenia, do zwożenia, do każdej roboty.

Inna to była piosenka niż te, które zazwyczaj śpiewano pod oknem pięknej Gąsiorkówny, toteż zaciekawiona Brygidka wychyliła jasną główkę, by zobaczyć, kto to nuci na Długim Pobrzeżu.

Nad Motławą zaczynały już snuć się wieczorne mgiełki i przesłaniać białe mury i czarne belki spichrzów przegładających się w wodzie. Na portowym pomoście zaś, oparty o spróchniały pał, stał młody chłopak w białej sukmanie. Czerwoną magierkę zsunął zawadiacko na tył głowy, przyciskał do szyi lipowe skrzypki i ciął smyczkiem po strunach, aż dźwięki pryskały jak srebrne igiełki.

- Wiesz, kto to jest ten grajek? - zapytał stary Jakub, którego siwy łeb ukazał się w okienku obok jasnowłosej głowy córki.

- Pierwszy raz go widzę.

- To Szymek Flisak. Przypląnął tu skutą imię Klonowica, lubelskiego burmistrza. Podnosiliśmy dzisiaj maszty na ich statku.

- To jutro chyba wracają?

- Mają ruszyć wczesnym rankiem.

- Szkoda! - westchnęła piękna gdańszczanka, zerwała jeden z błękitnych kwiatków kwitnących w jej okienku i rzuciła na przybrzeże.

Flisak podjął go z ziemi i podniósł głowę. Zobaczył złotowłosą dziewczynę wychylającą się z okienka w grubym murze Żurawia i zapatrzył się w jej wielkie, czarne oczy. Długo tak patrzył, a i ona nie mogła oderwać swoich źrenic od wiślanego skrzypka. Zwłaszcza że po chwili znów ścisnął gryf skrzypek lipowych i zagrał, aż serce w niej zaczęło bić niespokojnie, jak ranny srebrny dzwonek z Świętojańskiego kościoła.

Spodobała mi się, dziewczyna na flisie, czarne oczy miała, czarnymi patrzyła... Popatrzyła na mnie w wieczorną godzinę, ja już tu zostanę, dalej nie popłynę.

I stało się tak, jak śpiewała piosenka. Powrócili do domu lubelscy flisowicze, a Szymek pozostał w Gdańsku. Niebawem grube przekupki spod baszty Łabędź, wychylając się zza straganów, beczek i kadzi, w których pluskały srebrne ryby, powtarzały sobie niezwykłą wiadomość.

- Słyszeliście, kumo, nowinę? - gadała matka Katarzyna machając czerwonymi rękami jak żuławski wiatrak.

- A słyszałam! - odpowiadała Barbara.

- Pono we Wrzeszczu cielę się urodziło o dwóch głowach.

- Też mi nowina! - parskała pogardliwie sąsiadka. - Moja lepsza!

- Tego nikt by się nie spodziewał.

- A to wy, kumo, o tej rybie myślicie, co to ponoć złowiona przez helskich rybaków przemówiła ludzkim głosem i prosiła ich, żeby jej, przed piątkiem nie warzyli!

- Co wy mi tam gadającą rybą głowę zawracacie! - odymała wargi Katarzyna. - Ja o Gąsiorkównie! - Słyszałam, że za mąż idzie.

- Olaboga! Cóż wy powiadacie?! Prędzej bym się tego spodziewała, że król Zygmunt zejdzie z ratuszowej wieży i przyjdzie do mnie po kopę fląder! Brygidka za mąż idzie! I za kogóż to?

- Za zwykłego oryla*3!

- Nie do wiary! A wiecie, za którego?

- Za Szymka Flisaka.

- Za Szymka! W to już prędzej uwierzę. To przecie nie taki zwyczajny oryl. Gadają po mieście, że ma zaklęte skrzypki. Pono od diabła je dostał w podarku. Jak na nich zagra, to i najtwardsze serce w miód się rozplywa.

Nie kłamała Barbara. Naprawdę w całym Gdańsku mówiono o Szymkowych skrzypkach. Byli tacy, co nawet widzieli dokładnie, jak to Szymek bezksiężycową nocą poszedł na rozstajne

drogi i w zamian za czarodziejskie skrzypki oddał Smętkowi*4 własną duszę. Byli i tacy, którzy przysięgali, że co sobotę o północy Flisak przygrywa na nich do tańca wiedźmom, które z całej pomorskiej ziemi, zlatują na miotłach i ożogach*5 do Gostomia, na Łysą Górę.

Szymek śmiał się jeno z tych pogłosek.

- Kiedym płynął tu do Gdańska z panem Klonowicem, wstąpiliśmy do Piekła, jako że po drodze nam było - żartował.

- Po drodze? - dopytywali się przerażeni gdańszczanie. - Powiadaj, gdzie ono piekło.

- A tam, gdzie fryczą cholewę od buta młodych flisaków - śmiał się Szymek. - Tam gdzie Narew, pokłóciwszy się z Wisłą, płynie własną drogą do Elbląga.

- To niedaleko Gniewu?

Flisak kiwał głową.

- Widać z owego Piekła wieże gniewskiego zamku. Jeno diabłów tam ani na lekarstwo. Ludzie mieszkają zwyczajni jako i wszędzie. I wioska to zwyczajna, chociaż takie dziwne miano nosi.

Ale gdańszczanie nie przekonały te tłumaczenia. Wierzyli nadal, że w skrzypkach Szymkowych zaklęta jest czarodziejska siła. Mimo to chętnie słuchali muzyki wiślanego grajka. Zapraszali go na zabawy i wesela. Grywał więc Flisak na kamiennych przedprożach gdańskich kamieniczek, grywał w gospodach i karczmach przedmiejskich. Grywał nawet pod strzelistymi, gotyckimi sklepioniami Dworu Artusa, gdzie bogaci patrycjusze zbierali się na huczne biesiady.

Najładniej jednak śpiewały jego skrzypki w białej izdebce Żurawia, kiedy grał na prośbę swej młodej i pięknej żony. Kochał ją bardzo i tylko czasem, kiedy spojrzał przez okno na Wyspę Spichrzów, leżącą po drugiej stronie Motławy, gdzie flisowie i robotnicy z bractwa mieszkarczy wyładowywali zboże ze szkut, ogarniała go tęsknota za dawnym życiem na wiślanych tratwach i komiegach.

* * *

Minął rok.

Minęło lato i jesień, nadeszła zima. Lody zakłuły w szkliste więzy okręty stojące na Motławie, śnieg pokrył puszystymi czapami gdańskie baszty i dachy. W izdebce w Żurawiu zjawił się nowy słuchacz Szymkowych pieśni: mały synek Flisaka. Skrzypek przygrywał mu chętnie do snu, a Brygidka śpiewała ciche kołysanki. Spokojnie i szczęśliwie płynął dzień za dniem. Pewnego popołudnia, kiedy z ratuszowej wieży popłynęła nad miastem srebrna muzyka dzwonów, Szymek zawiązał swoje lipowe skrzypki w chustę i zaczął ubierać się w ciepłą sukmanę.

- Dokąd idziesz? - zapytała żona kołysząc synka.

- Na Dolne Miasto - odpowiedział Szymek.

- Mikołaj Bednarz wydaje córkę za sternika z królewskiej wodnej armaty*6. Poprosił mnie; bym zagrał na weselu.

- Jeno rychło wracaj - prosiła żona. - Przez Wyspę Spichrzów strach wracać nocą.

Skrzypek roześmiał się niefrasobliwie.

- Nie śmieję się! - ostrzegła. - Psy tam w nocy się srożą. Głodne i złe psy z Miejskiego Dworu. Mogą cię rozszarpać.!

- Nie lękaj się o mnie, wrócę w czas - obiecał Brygidce, pocałował ją w czoło i poszedł.

Z niepokojem patrzyła za nim z okienka pod słonecznym zegarem, aż zniknął w tłumie okrętników i kupców. Szymek zaś szedł szybko. Minął Zielony Most, przebył gwarną i rojną mimo zimy Wyspę, gdzie z okien wysokich spichlerzów sypała się złotymi wodospadami pszenica, pokrzykiwali woźnice, a mieszkańcy dźwigali na barkach wory soli, skrzynie bursztynu, bele flandryjskiego sukna, toczyli beczki zamorskiego wina, smoły, popiołu. Przy dwóch ceglanych basztach, zwanych Stągwiemi Mlecznymi, grajek przeszedł drugi most i znalazł się na Dolnym Mieście.

W domu Bednarza przyjęto go z otwartymi ramionami. Gospodarz, nowożeńcy, goście częstowali skrzypka winem, rzucali do jego czapki srebrne monety, prosząc o coraz to nowe

melodie i piosenki. A on, rozchocony słodkim trunkiem, śpiewał i grał tak ognście, że same nogi porywały weselników do tańca. Nikt nie mógł usiedzieć na ławie czy zydlu. Tańczono do upadłego. Leciało wapno z powały, a drzazgi z podłogi. Zdawało się, że ściany, ławy, kaflowy piec ruszyły w płas i wirują razem z weselnikami, nucącymi wesołe przyśpiewki. Pod oknami stawali nocni stróże z halabardami i latarkami w rękach. Przysłuchując się muzyce przytupywali butami do taktu i wtórowali piosenkom ochryplymi głosami. Szymek tak się rozegrał, że zapomniał o obietnicy danej Brygidce. Zegary na gdańskich wieżach dawno już wydzwoniły północ, kiedy wreszcie przypomniał sobie, że czas wracać, i chyłkiem wymknął się z weselnego domu. Szybkim krokiem ruszył ku czerniejącym na gwiazdzistym niebie Basztom Stągiewnym. Brnąc w śniegu, dotarł do Nowej Motławy i przystanął zmartwiony. Czeladź miejska podniosła wieczorem zwodzone mosty łączące Wyspę Spichrzów z miastem i odcięła mu drogę do domu. Przez chwilę wahał się, czyby nie zawrócić do Bednarzów, ale stanęła mu przed oczyma żona, czekająca w oknie Żurawia, niespokojna, zmartwiona. Nie zastanawiając się dłużej, skoczył z brzegu na zamarznąłą rzekę i po śliskim lodzie podążył ku niedostępnej Wyspie.

Znalazłszy się na drugim brzegu Szymek przetarł ze zdziwienia oczy. Wszystko tu wyglądało zupełnie inaczej niż w dzień. Ośnieżone i oblodzone maszty okrętów połyskiwały długimi sopłami, przypominając czarodziejskie choinki. Wysokie spichrze patrzyły groźnie czarnymi oczodołami okien na spóźnionego przechodnia. Szymek przyspieszył kroku. Księżyc wypłynął zza chmury, rzucił na śnieg błękitne cienie, posrebrzył wykute nad spichlerzowymi bramami kamienne godła: korony, drzewka oliwne i kawowe, arki Noego, słonie, owce, złote pelikany, białe konie, szare gęsi, czerwoną lwy. Skrzypkowi przypominały się teraz opowieści krążące po mieście o złodziejach rozszarpanych w strzepy przez psy ze Spichrzowej Wyspy, o kamiennych bosmanach, Turkach i świętych, którzy nocami schodzą z frontów spichlerzy, by wieść ze sobą rozmowy i spory. Ogarniał go coraz większy lęk.

Zdawało mu się, że w wąskich uliczkach między spichrzami skrzypi śnieg pod czyimiś krokami, oglądał się niespokojnie, lecz dostrzegał jedynie towarzyszący mu cień.

"Przecież od czasu wielkiego pożaru nie wolno tutaj nikomu mieszkać! - próbował się uspokoić. - Nie bój się, Szymek, jeszcze kilka kroków i miniesz tę zaklętą Wyspę!"

Nagle stanął jak wryty. Przed nim w księżycowej smudze białł się człek w stroju miejskiego rajcy. Na głowie miał śniegową czapę, na prawej ręce trzymał maleńkie dziecko, w lewej dłoni zaś dzierżył... trupa czaszkę.

- Wszelki duch! - krzyknął przerażony Flisak cofając się o kilka kroków.

Był to jednak tylko kamienny posąg - godło jednego ze spichrzów.

"Dzisiaj mnie - jutro tobie" - głosił napis, wykuty na portalu.

Szymek nie rozumiał łacińskich słów, ale kiedy, ochłonawszy ze strachu, raz jeszcze popatrzył na figurę, maleńkie dziecko przypomniało mu synka czekającego w domu i zaczął żałować, że nie posłuchał Brygidki.

- Byłem jeno cało wrócił do domu - westchnął - a nigdy już nie zapuszczę się nocą w te strony.

Przycisnął skrzyпки pod pachą i poszedł dalej. Dochodził już do drugiego krańca Wyspy i w wąskim przesmyku między spichlerzowymi murami ujrzał migocące światelko w oknie Żurawia za Motławą, gdy w pobliżu rozległo się szczekanie psów.

"Zwietrzyły mnie" - pomyślał ze strachem i puścił się pędem ku rzece.

Ale głodne wilczury były szybsze. Zgiełkliwe ujadanie, coraz bliższe i bliższe, otoczyło wreszcie skrzyпка ze wszystkich stron wieńcem białych kłów, czerwonych jęzorów i płonących zielonym blaskiem upiornych ślepi.

Mimo mroźnego wichru dmącego od Motławy pot zrosił Szymkowe czoło.

- Zginałem! - szepnął Flisak, stanął i podniósł skrzyпки, jakby nimi chciał się zasłonić przed niebezpieczeństwem.

Psy, czające się już do skoku, zdziwione jego bezruchem, zatrzymały się na chwilę, sapiąc i warcząc groźnie. Szymkowi błysła niespodziewana myśl.

"Zagram im! Zagram na moich zaklętych skrzypkach".

Ujął gryf, chwycił smyczek i zagrał najpiękniejszą ze swoich melodii. Wilczury zdumiały się, podniosły łby, przycichły. Ślepie utraciły upiorny blask. Sierść zjeżona na karkach wygładziła się. A Szymek grał nucąc do wtóru skrzypkom piosenkę:

Miała babuleńka w Gdańsku dziewcząt sznurek, siedem urodziwych jak gwiazdeczki córek: ta pierwsza Motława, ta druga kulawa, ta trzecia Radunia, ta czwarta garbunia, ta piąta osęka*7, ta szósta maleńka, a siódma, najmłodsza, miła piosenka.

Wiatr porывwał nuty i słowa. Echami powtarzały je sędziwe gdańskie spichlerze w wąskich uliczkach Wyspy. Wieża ratuszowa połyskująca w księżycowej poświacie strzelistą iglicą, z której szczytu przysłuchiwał się melodii złoty król Zygmunt, pozazdrościła Szymkowi i poczęła śpiewnie wydzwaniać godzinę pierwszą, drugą, trzecią.

Przybyło do Gdańska pięknych chłopców siedem i przed babuleńką stanęło jak jeden: ten pierwszy Sopot, ten drugi kłopot, ten trzeci Wrzeszcz, ten czwarty leszcz, ten piąty gibki, ten szósty szybki, a siódmy, najmłodszy, skrzypek nad skrzypki.

Grał i śpiewał Flisak, choć ręce grabiały mu z zimna, choć sztywniały nogi i omdlewały ramiona. Nie mógł odpocząć ani na chwilę, bo gdy tylko muzyka poczyniała cichnąć, psy poruszały się niespokojnie i z gardzieli ich wydobywało się groźne warczenie. Muzykant mocniej przyciskał skrzypki i patrząc za rzekę, tam gdzie w oknie Żurawia wciąż jeszcze błyskało światełko jak jasna gwiazda nadziei, grał dalej:

Jak przyszli, tak przyszli i nie tracąc chwili każdy się ze swoją zaraz pożenili: Sopot z Motławą, kłopot z kulawą, Wrzeszcz z Radunią, leszcz z garbunią, szybki z maleńką, gibki z osęką, a skrzypki nad skrzypki z miłą piosenką...

Słuchały psiska, słuchał pozłocisty król z dalekiej wieży, słuchały spichrze, baszty i domy. Stągwie Mleczne pochyliły się nieco ku zachodowi, by lepiej słyszeć Szymkową muzykę. Zwracali kamienne głowy ku stronie, z której płynęła melodia, bosman i Turek, rajca i patriarcha Jakub ze spichlerzowych portali. Nawet księżyc zatrzymał się nad wyspą, i zasłuchany w pieśń, rzucał do stóp grajka garście zaklętego srebra. Jedynie zazdrosny ratuszowy zegar próbował od czasu do czasu zagłuszyć skrzypka, wydzwaniając godzinę za godziną. Wreszcie niebo poczęło jaśnieć na wschodzie. Nad widnokrąg trysła czerwien zórz, poróżowiały ośnieżone dachy. Zbladł księżyc i gwiazdy. Zbladło światełko w oknie Żurawia.

Grał ostatkiem sił, szepcząc przez zaciśnięte zęby:

- Jeszcze trochę! Jeszcze parę chwil. Muszę wytrwać. Dla mojego synka, dla mojej Brygidki. Grajcie, skrzypki zaklęte, skrzypki czarodziejskie.

I wytrwał.

W dali zaskrzypiał śnieg pod ciężkimi krokami. To szli ceklarze, by przez Krowi Most odprowadzić do Miejskiego Dworu na Ogarną nocnych strażników Spichrzowej Wyspy.

Nazajutrz całe miasto mówiło o przygodzie Szymka. Z niedowierzaniem słuchali jej panowie radni. Ze zdumieniem kiwali głowami kupcy, rzemieślnicy, żeglarze. Nie dziwiła się jedynie matka Katarzyna kupcząca rybami pod czerwoną basztą Łabędź.

- Już ja wiem. - Wołała do kumy Barbary - czemu Szymkowi udało się ugłaskać owe bestie. Psy ze Spichrzowej Wyspy to diabły wcielone! Jeny czary mogły im dać radę. Mówię wam, że, o tych czarodziejskich skrzypkach gadać ludzie będą, póki Gdańsk Gdańskiem.

I nie omyliła się gdańska przekupka.

Przeszły nad miastem wieki, przeszły wichry i złe burze. Rozpadły się w gruzy stare mury i kamienice, a wciąż jeszcze tuła się po gdańskich ulicach opowieść o srogich psach z Wyspy Spichrzów i zaklętych skrzypkach Szymka Flisaka.

Franciszek Fenikowski

1. *Komięga* - statek używany do transportu wiślanego. 2. *Szkuta* - statek używany w żegludze rzecznej. 3. *Oryl* (gwar.) - flisak. 4. *Smętek* - diabeł w podaniach kaszubskich. 5. *Ozóg* (gwar.) - pogrzebacz. 6. *Armata wodna* - flota, marynarka wojenna. 7. *Oseka* - hak na drągu służący do zahaczania okrętu.

O diable, który strzegł Bramy Wyżynnej



W mroźny, zimowy dzień, kiedy z gdańskiego nieba sypał gęsto śnieg, biały jak pierze z rozdartej pościeli, Kuba Dorsz stał na warcie przy Bramie Wyżynnej. Ziąb przenikał jego łośowy kolet* i grubą oponczę, mroził krew w żyłach. Żołnierz przekładał z ręki do ręki halabardę i z zazdrością patrzył spod okapu wielkiego holenderskiego hełmu na gromady wesołych żeglarzy ciągnących z podmiejskich gospód.

Szli przez most na szerokiej fosie i mijając wartownika śpiewali:
Chociaż dmie śnieżycą, choć się Bałtyk złości,
weselimy się, żeglarze króla jegomości.
O nasze okręty Szwed zęby połamie.
Będą witać nas gdańszczanki Przy Zielonej Bramie.

Kuba zazdrościł marynarzom z całej duszy. Po to przecież opuścił swoją rodzinną rybacką chęczę na helskiej mierzei, po to przybył tu do Gdańska, by zaciągnąć się do królewskiej floty. Tymczasem okazało się, że na okrętach nie brak już ani jednego marynarza, i biedny Dorsz musiał kontentować się służbą w oddziałach strzegących miasta. A przecież serce jego tęskniło za morzem. Po nocach śniły mu się wysokie maszty królewskich okrętów, bitwy morskie, czuwanie na bocianim gnieździe. Śnieżycą wznagała się z każdą chwilą, zakrywała białą zasłoną garb Grodziska i kontur Biskupiej Górki.

Z daleka, z miasta niósł się przytłumiony śpiew żeglarzy króla Władysława:

Kielich rumu do dna wychylim, druhowie,
na gdańszczanki najpiękniejszej cześć, urodę, zdrowie.

- A żeby przyszedł już mnie tu kto zluzować! - westchnął Kuba. - W tej śnieżycy może człowiek zamarznąć na kość. Chętnie wypiłbym w jakiej gospodzie kielich rumu. Rozgrzałbym się.

Podniósł głowę i zobaczył pod polskim kamiennym orłem zdobiącym bramę napis wyryty złotymi literami o wielkich głazach.

Brzmiał on:

"Justitia et pietas duo sunt regnorum omnium fundamenta".

Znaczyło to:

"Sprawiedliwość i pobożność oto są dwa fundamenty wszystkich królestw".

Ale weseli gdańscy szyprowie czytali jedynie koniec tej sentencji:

"Rum omnium fundamenta".

Kuba, choć nie umiał czytać, wiedział od innych, co to oznacza.

"Tak - myślał. - Rum, naprawdę jest podstawą wszystkiego. Wielką mam na niego ochotę. Dlaczego nikt nie przychodzi zastąpić mnie tu na warcie?"

Wyteżył oczy, wpatrując się w gęstniejący zmierzch. Nikt jednak nie nadchodził.

- Do diabła z taką służbą! - zaklął pod nosem wartownik. - Chłodno tu i głodno. Nawet w piekle nie mogłoby być gorzej:

Ledwie wyrzekł te słowa, z śnieżnego tumanu wynurzyła się jakaś ciemna postać.

- Stój, kto idzie?! - wrzasnął Kuba nastawiając halabardę do pchnięcia.

- Przychodzę na twe wezwanie! - odparł przybysz. - Zluzuję cię na posterunku, ale pod jednym warunkiem.

- Ciekaw jestem, pod jakim? - zapytał Dorsz. - Zapiszesz mi swoją duszę.

Żołnierz zaśmiał się tylko na tę propozycję i zmierzył małego człeka w cudzoziemskim, czarnym stroju drwiącym spojrzeniem.

- Zamienił stryjek siekierkę na kijek! - zakpił. - Widzę, że z ciebie chytry kupiec, ale i ja niegłupi. Możemy dobić targu, musisz jednak, dać inną cenę. Kaszubska dusza więcej warta. Zapytaj naszych biesów, Smętka albo kusego Purtkę.

Diabeł nie upierał się długo. Sięgnął w zanadrze i wydobyl pękaty trzos.

- Spójrz! - powiedział ważąc go na ręce o długich palcach i spiczastych jak szpony paznokciach. - Dam ci tę sakiewkę pełną dukatów, ale musisz krwią z serdecznego palca podpisać mi zaraz cyrograf.

Kuba Dorsz uśmiechnął się chytrze. Wiedział, że nieraz już Kaszubi zawierali umowy z biesami o swe dusze, ale zawsze udawało im się koniec końcem przechytryć czarta i odprawić go z kwitkiem. Toteż nie wahając się odpowiedział:

- Zgoda! Przyjmuję twoje warunki. Dasz mi ten trzos i zastąpisz mnie na warcie. Tylko pamiętaj - musisz tu stać, dopóki cię nie zluzuję.

Diabeł zadowolony z umowy wyciągnął z torby gotowy już cyrograf spisany na cielejącej skórze, zranił ostrzem halabardy serdeczny palec Kuby i umoczywszy we krwi gęsie pióro podał je żołnierzowi.

- Podpisuj - powiedział.

Kuba Dorsz położył cyrograf na kamieniu i chwyciwszy pióro zamierzał nakreślić wielki krzyż. Bies jednak w ostatniej chwili chwycił go za rękę.

- Podpisz się innym znakiem! - poprosił. - Tego nie uznają w piekielnej kancelarii.

Żołnierz więc nakreślił niewprawnie kotwicę, a potem schowawszy trzos, podał czartu halabardę i nałożył na jego rogaty łeb swój wielki holenderski hełm. Śnieżyca dęła coraz natarczywiej.

- No, gotowe! - powiedział Kuba przyjrawszy się uważnie swemu zastępcy. - Wprawdzie nie masz żołnierskiej postawy, jesteś chuderlawy i twoja lewa noga niezbyt nadaje się do marszu, ale za strażnika od biedy ujdiesz. Stój tu, dopóki nie wrócę. Wypiję za to kielich rumu na twe zdrowie.

Diabeł otulił się w opończę i szcękając zębami poprosił:

- Jenó nie siedź w gospodzie zbyt długo, bo po piekielnych upałach ta gdańska zima mocno daje mi się we znaki.

- Nie bój się. Rychło wrócę! - uspokoił go Kaszuba i wielkimi krokami pomaszerował do miasta.

Minął Wyżynną Bramę, przeszedł obok Katowni i Wieży Więziennej, przebył Złotą Bramę i ulicę Długą, poszedł przez Długi Targ i Zieloną Bramę na Długie Pobrzeże; gdzie w karczmie "Pod Zieloną Powalą" weselili się marynarze. Złota mu nie brakło, a więc i kompania szybko się znalazła. Stawiał wszystkim rum, piwo i złotą gdańską wódkę, aż w oczach biesiadników pojawiła się mgiełka.

Kulawy bosman, z czerwoną szramą na policzku, wznosząc kielich rumu, trącił się nim z Kubą i zaśpiewał ochrypłym głosem:

Pije Kuba do Jakuba, Jakub do Michała, pijesz ty, piję ja, kompanija cała...

Kuba wtórował mu rozochocony trunkiem i wesołym towarzystwem:

A kto nie wypije, tego we dwa kije, łupu cupu po kozuchu, niech po polsku żyje...

Ściany gospody poczęły kołysać się jak burty okrętu podczas morskiej burzy.

- Można myśleć - rzekł Dorsz - żeśmy w okrętowej kajucie podczas sztormu.

Bosman zaśmiał się rubasznie.

- Boisz się sztormu?

- Gdzieżbym się bał! - odparł żołnierz. - Przecie ja rybak! Niejedną morską burzę przeżyłem. Morze to moja matka. Służba w lądowym wojsku obmierzała mi jak najgorsze więzienie.

- No to chodź z nami! - zaproponował nowy znajomy. - Widzę, żeś chłop zdalny do kielicha i miecza. W ostatniej bitwie straciliśmy kilku marynarzy. Poproszę kapitana, by przyjął cię do załogi.

Kuba pokazał w uśmiechu duże, białe zęby.

- Ja na to jak na lato! - zapewnił. - Nie mogę teraz wrócić do wartowni. Miałbym od porucznika!

Bał się, że stwierdzono już, kto go zastąpił na posterunku, toteż nie kwapił się do powrotu.

"Jeśli nawet - myślał - nie wsadzą mnie do więzienia za samowolne opuszczenie warty, to diabeł, skoro tylko się pojawię na Wyżynnej Bramie, porwie mnie na dno piekła. Lepiej nie pokazywać się na oczy ani porucznikowi, ani czartu".

Razem z żeglarzami skwapliwie ruszył do Wisłoujścia, gdzie przy zamczystych murach twierdzy, nad którymi bieląca wysoka wieża morskiej latarni, stały okręty króla jegomości.

O nasze okręty Szwed zęby połamie, będą witać nas gdańszczanki przy Zielonej Bramie... - śpiewał Kuba wraz z marynarzami, wspinając się po trapie na pokład "Panny Wodnej".

Jak powiedział bosman, kapitan chętnie przyjął go do załogi. I tak oto rozpoczęło się nowe, pełne barwnych przygód, bitew i wypraw życie gdańskiego żołnierza. Długo tułał się po świecie. Zawijał do rozmaitych portów, poznawał nowe morza, lądy i wyspy. Tymczasem diabeł nie ruszał się ze swego posterunku. Kiedy przyszedł żołnierz, by zluzować Kubę, czart nastawił tylko groźnie ostrze halabardy.

- Precz! - zawołał skrzekliwie. - Zluzować może mnie tylko Kuba Dorsz.

Wojak popatrzył na dziwnego strażnika, zauważył przekrzywiony hełm i kosmaty ogon wynurzający się spod opończy.

"Mądrej głowie dość pałką w łeb!" - pomyślał i co tchu wrócił na wartownię. - Diabeł stoi na posterunku przy Wyżynnej Bramie! - zawołał już od progu.

Żołnierze zaśmiali się hucznie.

- Upiłeś się chyba! - krzyknął setnik.

- Nie wierzycie, to idźcie sami zobaczyć! - odciął się żołnierz.

Poszedł setnik; przystanął przed bramą i widzi: bies stoi przy bramie, w opończę się otula i grozi halabardą każdemu, kto nadchodzi.

- Co tu robisz?! - krzyknął gdański wojak.

- Zastępuję Kubę Dorsza. Nie odejdę stąd, póki on nie wróci.

Zobaczył setnik, że to nie żarty, pobiegł do wartowni i opowiedział o wszystkim oficerowi.

- Już ja sobie dam z tym czartem radę! - zapewnił porucznik i poszedł ku Wyżynnej Bramie.

Ale i jemu nie powiodło się lepiej niż poprzednikom. Diabeł pozostał na posterunku. Mijały dni i noce, tygodnie i miesiące, a on trwał niewzruszenie. Zardzewiały mu hełm i halabarda, zrudziła od deszczu opończa. Poszła po całym Pomorzu wieść: "Gdańskiej Wyżynnej Bramy diabeł strzeże". Przyglądali się przybysze niezwykłemu strażnikowi jak dziwowisku. Śmieli się z niego chłopcy łowiący ryby w miejskiej fosie, zaczepiali go żeglarze i flisacy. Nic jednak nie zdołało ruszyć go z miejsca.

Stał tak przez długich siedem lat, aż wreszcie doczekał się chwili, kiedy Kuba Dorsz wrócił do miasta. Znużony czart, którego nos krzywy jak haczyk wydłużył się jeszcze bardziej i sięgał niemal spiczastej brody, z dala już zawołał do żeglarza:

- Nareszcie wracasz! Ciebie tylko po śmierć posłać. Myślałem, że nogi wrosną mi w ziemię z tego czekania. Zluzuj mnie natychmiast! Całe piekło już chyba niepokoi się o mnie. Kuba powoli zbliżył się do strażnika i odparł śmiało:

- Co nagle to po diable, przyjacielu! Porozmawiajmy najpierw. Mogę cię zluzować, bo i rum, i żeglarskie przygody zdołały już mi się znudzić. Zamierzam osiąść w mieście, ożenić się, dochować dzieci. Chętnie więc wróciłbym do miejskiej straży i zastąpił cię na tym posterunku. Ale nie za darmo.

Diabeł, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę, wybełkotał:

- Dam ci wszystko, czego zapagniesz, tylko się pośpiesz. Moje kopyto musi być podkute na nowo, a u nas w piekle kują tylko raz na sto lat i właśnie w najbliższy piątek przypada ten uroczysty dzień.

Dorsz poklepał dobrodusznie biesa po ramieniu.

- Dobrze! - powiedział. - Zluzuję cię, ale wpierv oddaj mi łaskawie mój cyrograf.

Diabeł zazgrzytał zębami.

- Masz! - warknął oddając żołnierzowi pergamin. - Zapędziłeś mnie w kozi róg.

- To oddaj mi jeszcze hełm i halabardę - powiedział Kuba.

Odebrał od biesa rynsztunek, podniósł dłoń do hełmu, zasalutował i zawołał:

- Dziękuję ci za trzos i zastępstwo!

Czart skurczył się i zniknął w okamgnieniu, a uśmiechnięty żołnierz wyprostował schylone plecy, poprawił hełm i stanął na baczość przy bramie, na której po dziś dzień pod polskim orłem złoci się w szarych gładach:

Iustitia et pietas duo sunt regnorum omnium fundamenta*

Franciszek Fenikowski

* *Sprawiedliwość i pobożność są podwaliną wszystkich królestw (łac.)*

Łopata małego piekarczyka



Było to dawno temu - chyba więcej niż pięćset lat minęło od tych czasów, gdy w mieście Elblągu mieszkał mały piekarczyk.

Mówią ludzie, że nazywał się Marcinek.

Był synem biednej wdowy i matka oddała go pod opiekę mistrzowi piekarskiemu, aby wprawił się i wykształcił w zacnym rzemiośle. Dobry mistrz Bartłomiej bardzo był zadowolony ze swego ucznia. Marcinek - najzdolniejszy i najpilniejszy ze wszystkich czeladników, zawsze umiał w porę wyjąć z pieca wielkie bochny chleba, tak aby były w miarę rumiane, i nikt tak, jak on, nie umiał piec słodkich kucieliek z białej pszennej mąki, posypywanych makiem i plecionych w wymyślne a śmieszne kształty. Nic więc dziwnego, że do piekarni mistrza Bartłomieja zaglądały wszystkie dziewczęta z miasta po dobre pieczywo. I nic też dziwnego, że wszystkie lubiły młodego i wesołego czeladnika Marcinka. Rade też z nim rozmawiały, rade słuchały jego żartów i piosenek, bo śpiewać podobno umiał wcale nie gorzej niż piec słodkie kucielki.

Jedna tylko była dziewczyna wtedy w mieście Elblągu, która pogardliwie odwracała się od młodego, wesołego piekarczyka, która wydymała buzię, gdy pozdrowiał ją, stojąc przed sklepem majstra Bartłomieja, i która nie chciała słuchać jego piosenek. A jeśli zresztą nawet chciała, to nie dawała tego po sobie poznać. Ta dziewczyna nazywała się Agnieszka i była jedyną córką również znanego w mieście Elblągu mistrza nad mistrzami, samego znakomitego płatnerza Urbana. Płatnerz Urban słynął szeroko z tego, że nikt tak jak on nie potrafił sposobić mocnych zbroi dla rycerzy, wykuwać najpiękniejszych tarcz, których nie przebiła żadna strzała nieprzyjacielska, i hartować mieczy niełamliwych.

Tak więc jasnowłosa Agnieszka dumna była z rzemiosła i sławy swego ojca, że uważała siebie za uchybienie, żeby z piekarczykiem miała się zadawać. Martwiło to Marcinka, bo bardzo mu się Agnieszka podobała. Warkocze miała grube, złote i długie aż za kolana, a oczy niebieskie jak niebo, jak chabry, jak niezapominajki. Śpiewał jej co prawda różne piosenki, w których żartami mówił o tym, że chleb jest tak samo potrzebny, jak i miecz, ale Agnieszka dalej na jego widok dumnie odwracała główkę.

Aż kiedyś popłoch w mieście zrobił się ogromny. Bo oto strażnicy, którzy na murach obronnych miasta wartę pełnili, trąbić zaczęli na alarm. I zaraz po Elblągu wieść pobiegła, że oto hufce krzyżackie na miasto wałą. Złękli się ludzie w mieście ogromnie. Jakże to będzie? Jak się obronić? Rycerza w mieście ani poświeć, bo na łowy z księciem wyruszyli, a miasto samo sobie zostawione. A krzyżacy rycerze na szybkich koniach coraz bliżej są miasta. Widać już dobrze czarne krzyże na ich białych płaszczach, wydymanych przez wiatr. Co począć? Jakże się będzie

miasto bronić? Krzyżacy są już coraz bliżej, już niedaleko fosy, co miasto otacza, lada chwila wpadną na most zwodzony i dostaną się do miasta.

- Most! Most trzeba do góry podnieść i bramę miejską w ten sposób zamknąć! - krzyczą ludzie.

Ba, ale jak się ten most zwodzony podnosi? Trzeba by linę odciąć, aby podniósł się do góry. Jakże ją odciąć? Lina gruba. Żeby to chociaż jakiś rycerz był w pobliżu, toby mieczem ciął! Aż tu naraz, patrzcie, ludzie: z tłumu wyrywa się czeladnik młodziutki od Bartłomieja - piekarczyk Marcinek. Łopatę swoją piekarską w rękę trzyma, widać prosto od pieca odbiegł. Patrzają ludzie, a piekarczyk łopatą się zamierza i buch! w linę uderzył! Więc choć to była chwila strachu przed wrogiem, poniekąd uśmiechnęli się, bo gdzie tam taką linę przeciąłby kto piekarską łopatą?

Ale zaraz się śmiać przestali owi żartownisie, bo lina pękła pod uderzeniem Marcinkowej łopaty i oto most zaczyna podnosić się w górę. Podnosi się coraz wyżej i wyżej. Aby prędzej się już zamknął, bo Krzyżacy tuż, tuż przy fosie! Już konie hamują! Zatrzasnął się wreszcie most zwodzony, a rabusie zostali po drugiej stronie wielkiej fosy obronnej, wypełnionej wodą. Niech spróbują teraz dostać się do miasta! I tak według tej starej legendy piekarzki czeladniczek Marcinek ocalił miasto Elbląg od najeźdźców.

A co potem z nim się stało? Powiadali ludzie, że łaskawsze stało się potem dla niego serce płatnerzówny Agnieszki i że poślubiła go, i że długo, długo żyli szczęśliwie.

Na pamiątkę zaś, że łopata piekarska może czasem być nie gorszym orężem od miecza, umieszczono ją nad bramą obronną. I dziś jeszcze ludzie w Elblągu pokazują przyjeźdnym to miejsce, gdzie wisiała niegdyś łopata.

Maria Krüger

O dobrym rybaku i zaklętej księżniczce



Szumiały fale Zalewu Wiślanego, obmywając brzeg w okolicach Tolkmicka.

Śpiewa na sosnach wiatr znad Bałtyku: słony, porywisty, gwałtowny. Kłębią się chmury, pada deszcz, a w szumie fal słychać śpiew zaklętej księżniczki. Jest wzgórze, a na nim stary las. Dawnymi czasy stał tu zamek niewielki, ale bardzo warowny. W zamku mieszkał książę - człowiek chciwy i okrutny dla poddanych. Nie lepsza od niego była jego córka oraz dworzanie. Łupili z biednych, ile się dało, aby żyć dostatnio.

Gdy przebrała się wreszcie miarka złych czynów, zamek zapadł się pod ziemię, a jego mieszkańcy usłyszeli w ciemnościach potężny głos:

- Za karę zostaniecie zamienieni w szpetne i ohydne poczwary. Tylko księżniczka będzie mogła raz w roku przez sto lat - ukazywać się na ziemi, aby prosić litościwych ludzi o ratunek. Jedynie ten z żyjących, kto zdobędzie się na ucałowanie potworów, zdejmie z was klątwę - wtedy zamek wynurzy się z podziemi, a wraz z nim jego mieszkańcy. Jeśli jednak w ciągu stu lat nie znajdzie się nikt, kto by was odczarował, wtenczas ziemia pochłonie was na zawsze.

Od tego czasu rok w rok - zwykle w porze jesiennej, gdy na Bałtyku szalały sztormy - wychodziła księżniczka w ludzkiej postaci spod ziemi i, siedząc na pniu zwalonym sosny, żałośnie śpiewała, pragnąc w ten sposób zwabić do siebie jakiegoś przypadkowego przechodnia. Rybacy z pobliskiej wioski, słysząc jej śpiew, zatykali sobie uszy w obawie przed czarami.

Minęło wiele, wiele lat.

W małej wiosce rybackiej żył chłopiec imieniem Paweł, który odznaczał się dobrym sercem i łagodnością. Od małego dziecka słyszał w domu opowieści o zaklętej księżniczce. Gdy jesienne oraz zimowe burze nie pozwalały rybakom wyruszać na połów, opowiadano sobie po chatkach różne gadki o zatopionych skarbach, zaczarowanych dzwonach, nieszczęśliwych królewnach i podziemnych zamkach. Gdy Paweł miał już dwadzieścia lat, szedł pewnego razu przez las. Droga wypadła mu obok owego wzgórza, na którym zwykła siadać księżniczka. Noc była jesienna, chłodna, ale jasna od księżycowego blasku. Nagle do uszu młodego człowieka doleciał śpiew.

Stanął więc w miejscu jak wryty i słuchał. Śpiewająca istota musiała być blisko, gdyż rozumiał każde słowo smutnej pieśni. Rozchylił gałęzie krzaków i ujrzał przed sobą małą polankę, a w środku niej śliczną dziewczynę, siedzącą na pniu przewróconej sosny. Od razu domyślił się, kogo ma przed sobą, i wcale się nie zdziwił, gdy księżniczka poprosiła go o ratunek. Wiedział, że księżę i jego dworzanie byli złymi ludźmi, ale wydawało mu się, że po odczarowaniu zmienią się na lepsze i zaczną nowe, uczciwe życie.

"Nie ma ludzi całkiem złych ani całkiem dobrych - pomyślał sobie - więc trzeba się odważyć na ucałowanie obrzydliwych potworów".

- Pamiętaj jednak o tym - powiedziała księżniczka - że całe twoje poświęcenie na nic, jeśli ze wstrętem wzdrzgniesz się na widok choćby jednej poczwary.

Ledwo rzekła te słowa, na polanę wypełzł ohydny jaszczur o dziesięciu nogach, z których każda była inna. Oczy miał wielkie jak talerze i zupełnie czerwone. Paweł zbliżył się do niego i pocałował go w czoło. Potwór natychmiast rozpułnął się w ciemnościach. W tej samej chwili pomiędzy drzew wypełzła nowa zjawia. Tym razem było to stworzenie przypominające konia o ludzkiej głowie, krowim ogonie i krokodylich łapach. I ten potwór zniknął błyskawicznie, gdy Paweł go pocałował. Teraz stanęła przed nim poczwara przypominająca koguta o węzowych głowach, potem wypełzł potwornej wielkości żółw, dźwigający na sobie olbrzymi wór z pieniędzmi. Bez trudu domyślił się Paweł, że to jest księżę: zrabowane złoto przygniatało go do ziemi, a krew niewinnych ludzi, zabitych przez niego, ściekała mu nieustannie z ohydnej paszczy.

Na ten okropny widok Paweł zakrył oczy dłońmi i krzyknął z obrzydzeniem:

- Nie, nie pocałuję tego potwora!

Wtedy rozległ się huk pioruna, a potężny wichur nagiął korony sosen aż do ziemi. Paweł upadł twarzą na trawę, pewny, że oto nadeszła dla niego ostatnia chwila. Wnet jednak zapanował zupełny spokój, a w chwilę potem rozległ się smutny głos księżniczki, dochodzący jakby spod ziemi:

- A więc już nigdy nie ujrzę świata i zamek nasz nigdy nie wyjdzie na powierzchnię ziemi. Dziś bowiem wypełniła się setka lat i nic już nas nie uratuje.

Opowiadają rybacy, że od tego czasu nigdy już nie było słycać śpiewu zaklętej księżniczki. Na miejscu, gdzie niegdyś stał zamek, widnieje obecnie głęboka jama zarośnięta pokrzywami.

Tylko fale Zalewu Wiślanego nadal tak samo biją o brzeg - i wiatr od Bałtyku tak samo jak przed wiekami wygrywa swoje melodie na zielonych koronach nadmorskich sosen.

Stanisław Pagaczewski

Czarownica znad Beldan



Na łęgu mikołajskim mieszkała czarownica.

Widywały ją czasem kobiety zbierające jagody i grzyby w lesie. Miała bardzo długie włosy. Kiedy zaplątała je czasem w sitowiu, przez trzy dni musiała je rozplątywać. Jezioro burzyło się wtedy. Chichot czarownicy słychać było aż w zatoce koło wierzby.

Mówili rybacy: "Czarownica myje włosy w Beldanach".

I nie wyjeżdżali na jezioro, nie zarzucali sieci.

Kiedyś jednemu chłopu z Wisun urodziła się dwunasta córka. W Wisunach wszyscy już byli kumotrami, więc wyszedł na drogę, aby zaprosić w kumy pierwszego przechodzącego człowieka. I oto na ścieżce prowadzącej do jeziora natknął się na czarownicę. Poznał ją po długich włosach. Siedziała na kamieniu i liczyła paciorki. Ominął ją z daleka i na kumę nie poprosił. Czarownica rozzłościła się. Potrząsnęła koralami i zawołała:

- Miałam już dla twojej córki podarunek, ale żeś mnie na kumę nie zaprosił, nie zazna ona szczęścia! Czarownica dotrzymała słowa. Anna wyrosła na bardzo brzydką, najbrzydszą dziewczynę w Wisunach. Dokuczano jej i wyśmiewano.

Nikt nie chciał z nią przebywać, żadna z dziewcząt nie chciała się z nią przyjaźnić. Zaczęła kryć się przed rówieśnikami. Uciekała do lasu, przysiadła nad strumykiem lub nad jeziorem i długo wpatrywała się w odbicie swojej szkaradnej twarzy.

Powtarzała za innymi:

- Jestem córką czarownicy. Gdzie jest moja matka?

Pewnego razu, gdy tak siedziała nad strumykiem leśnym i płakała gorzko nad swoją dołą, ujrzała w wodzie obok odbicia swojej twarzy twarz czarownicy.

Usłyszała jej głos:

- To prawda, że jesteś bardzo brzydka. Kto spojrzy na ciebie, odwraca się ze wstrętem - przypominasz im mnie. A przecież na mój widok kobiety bledną, a mężczyźni spluwają. Krowom odbieram mleko, rybakom płacę sieci, pijanych wodzę na manowce. Nocą przedziergam się w puchacza i krążę wokół wsi. Ale tobie nie uczynię nic złego. Nazywają cię córką czarownicy, więc

dam ci wiano jak córce. Weź sobie te korale. Przeznaczyłam je dla ciebie, kiedy byłeś dzieckiem. Ale i teraz posłużą ci. Włóż je na szyję i spojrzysz do strumienia.

Anna włożyła korale na szyję i spojrzała do strumienia.

- Widzę piękną dziewczynę, patrzy na mnie. A jak cudnie błyszczą jej korale!

- Dotknij tylko koralu, a przekonasz się, kto to jest ta piękna dziewczyna.

- Ona także dotknęła koralu! Czy to naprawdę jestem ja?

- Ty, ty, moja córko! Kto cię teraz zobaczy, zakocha się w tobie. Tylko pamiętaj - nie wolno ci zdjąć tych koralu. Kiedy je zdejmiesz, staniesz się taką, jaką byłaś, i wszyscy odwrócą się od ciebie. Wracaj do wsi i zażywaj szczęścia.

Kiedy Anna odeszła, czarownica mruknęła do siebie:

- Nie zaznasz ty długo szczęścia i nie przyniesiesz go nikomu.

Wraca Anna brzegiem jeziora, zatrzymuje się co krok i zagląda w zwierciadło wody.

- Wodo, wodo, powiedz mi, czy ja naprawdę jestem piękna? Zobaczyły ją siostry, otaczają kołem.

- Jakie cudne masz włosy! Jakie piękne masz oczy! Z zazdrością dotykają koralu na jej szyi.

- Skąd je masz, Anno? - pytają. - Gdzie byłaś? Kto cię tak hojnie obdarował?

Anna uśmiecha się, nie chowa do nich urazy, ale pomna przestrogi czarownicy nie chce zdjąć koralu ze swojej szyi.

- Byłam w lesie nad strumykiem, tam gdzie rośnie jarzębina. Jarzębinie się skłoniłam, o korale poprosiłam.

Biegną dziewczęta do lasu, szukają strumyka i jarzębiny. Jest strumyk, jest i jarzębina. Zrywają jarzębinę, czerwone jagody nanizują na nitkę, jarzębinowe korale zawieszają na szyi. Piękna jest jarzębina, piękne są korale jarzębinowe, ale korale na szyi Anny są o wiele piękniejsze. Piękne są dziewczęta w Wisunach, splatają długie warkocze, ale najpiękniejsza z nich jest Anna. Jej włosy błyszczą jak złoto, jej oczy są głębokie jak jezioro, jej usta jak korale jarzębiny.

Siedzi Anna na ławce przed domem, dziewczęta otaczają ją kołem.

- Anna to czy nie Anna? Schodzą się chłopcy, patrzą na Annę i wzdychają.

Odchodzą smutni, śnią o Annie i budzą się z radością, że ją znowu zobaczą. W czasie połowu nad jeziorem zamyślają się nagle, spoglądają z tęsknotą na brzeg. Na brzegu siedzi Anna, rozplata długie włosy, uśmiecha się i zamyśla na długo.

W południe przychodzi czarownica, siada obok Anny nad brzegiem jeziora, zaplata jej włosy i przestrzega:

- Nie wolno ci się zakochać, moja córko. Żal mi cię, ale inaczej być nie może.

- A jeżeli się zakocham? - pyta Anna i myśli o pięknym Eryku, który kiedyś, gdy była jeszcze brzydka, poprosił ją do tańca. On jeden nie dokuczał jej wtedy i nie mijał.

- Zgubisz jego i siebie - odpowiada czarownica.

Chodzi Eryk za Anną, zagląda jej w oczy i prosi:

- Zostań moją żoną, Anno, a uczynię wszystko, czego zechcesz.

Biegnie Anna do czarownicy i pyta:

- Co mam uczynić? Żal mi go, był zawsze dla mnie dobry. Zlituj się nad nim i nade mną, poradź.

Zamyśliła się czarownica, zajrzała do czarodziejskiego zwierciadła.

- Jeśli ci przyniesie najpiękniejszą muszlę z jeziora bełdańskiego, możesz zostać jego żoną.

Wraca Anna przez las, zrywa kwiaty leśne i wpina we włosy.

Ptaki śpiewają, wiewiórki skaczą z drzewa na drzewo, ale Annie niewesoło. A jeśli nie uda się Erykowi zdobyć muszli? Piękne jest jezioro Bełdany: wysokie brzegi strzeżone są przez sosny wysokie. O zmroku, gdy gwiazdy pojawiają się na niebie, w zatokach wśród trzciny i szuwarów cichnie wiatr, wygładza się powierzchnia wody. O takiej porze król Bełdan spoczywa na dnie jeziora; o takiej porze Eryk mógłby zdobyć cudowną muszlę.

W sercu Anny zjawia się rzewny smutek. Wykrada się z domu, siada nad brzegiem jeziora i marzy. Marzy o tym, aby odejść stąd w świat daleki, nad wody innego jeziora, na inny brzeg. Tam gdzie nikt nie zna jej dawnej brzydoty, gdzie nikt nie zastanowi się nad jej nieoczekiwaną

pięknością. Zdejmuje z szyi korale i nachyla się nad zwierciadłem wody. Przy blasku księżyca ukazuje się twarz dawnej Anny - brzydka, wzbudzająca odrazę. Anna szybko wkłada korale i ogląda się niespokojnie. Nikt nie powinien się domyślić, za czyją przyczyną tak się odmieniła.

Chodzi Eryk za Anną, zagląda jej w oczy i prosi:

- Anno, zostań moją żoną. Uczynię wszystko, czego ode mnie zażadasz.

I wreszcie Anna decyduje się.

- Jeśli przyniesiesz najpiękniejszą muszlę z jeziora, zostanę twoją żoną.

Jezioro burzy się i pieni. Król Bełdan rozhuśtał fale od brzegu do brzegu, ale Eryk nie zawahał się: skoczył do wody.

Czeka Anna, czekają dziewczęta z Wisun. Mija wieczór i noc, a Eryka nie widać.

- Nie wróci już Eryk, nie wypuści go z głębin król Bełdan.

- Wybierz mnie za męża. Ja ci przyniosę najpiękniejszą muszlę - prosi młodszy brat Eryka.

Czeka Anna, czekają dziewczęta z Wisun. Mija wieczór i noc, a i młodszego jak nie widać, tak nie widać. Usiadła Anna na brzegu jeziora i choć żał jej obu braci, zapłakać nie może. Co spojrzy na korale, co dotknie ręką paciorków, to weselsze nawiedzają ją myśli:

"Czy to mało chłopców na świecie?"

Ale gdy tylko zdejmie korale, ogromny smutek wypełnia jej serce:

"Biedny Eryk, biedny młodszy brat Eryka. Nie wypuści ich król Bełdan z głębin, nie wrócą do wioski, nie ucieszy się moje serce. A gdyby nawet wrócili obaj - jak wynagrodzę ich obu?"

- Okrutna jesteś, Anno - lamentuje matka Eryka. - Synów mi odebrałaś. Dwóch ich miałam tylko, na ich opiekę liczyłam w starości, a oto teraz przychodzę nad brzeg jeziora i daremnie wypatruję ich powrotu.

Mija dzień drugi, mija trzeci, tydzień przeszedł. Król Bełdan zazdrosny jest o swoje tajemnice. Któż wie, jak obszedł się z braćmi?

W pełni księżycową, kiedy w zatokach wśród trzciny i szuwarów ścichł wiatr, wygładziła się powierzchnia wody, biegnie Anna nad jezioro i zaklina króla Bełdan: - Wróc obu braci, a zrobię wszystko, co rozkażesz. W taką noc król Bełdan słucha wszystkich prośb i zaklęć. Usłyszała Anna jego głos:

- Jesteś piękniejsza od Królowej Śniardw. Wszystkie skarby na dnie jeziora, wszystkie pieśni, jakimi szemrzą fale w dzień pogodny, i wszystkie pieśni, jakimi huczą fale w dzień burzliwy, są dla ciebie. Bądź moją, Anno.

- Będę twoją, jeśli wrócisz Eryka i jego młodszego brata.

Zwrócił król Bełdan urodziwych braci. Stańli obaj przed Anną z najpiękniejszymi muszlami.

- Wybierz teraz jednego z nas.

Patrzy Anna i załamuje ręce. Obaj urodziwi i obaj jednakowo jej się podobają. Którego wybrać, a którym wzgardzić? Jak spełnić obietnicę daną królowi Bełdan?

Biegnie Anna do lasu, szuka nad strumieniem czarownicy.

- Poradź, co mam uczynić. Obaj mnie kochają i ja pokochałam obu, a przyrzekłam rękę królowi Bełdan.

- Nie do ciebie już wybór, moja córko, należy.

Królowi Bełdan rzuć korale i stań przed braćmi, który pierwszy do ciebie się uśmiechnie, tego za męża wybierzesz. Rzuciła Anna korale w głąb jeziora. Jezioro wzburzyło się i zapieniło. Król Bełdan rozkołysał fale od brzegu do brzegu, w trzcinach i szuwarach rozległ się chichot czarownicy. Staje Anna przed braćmi, a oni odwracają oczy od niej.

- Nie jesteś moją Anną - mówi starszy. - Moja Anna miała oczy jak dwie gwiazdy.

- Nie jesteś moją Anną - mówi młodszy. - Moja Anna miała usta jak owoc jarzębiny.

Wraca Anna nad jezioro, nachyla się nad wodą i widzi swoje korale na dnie.

- Tu są twoje korale, Anno - kusi król Bełdan. - Pójdź i weź je, a będziesz znów piękna.

I rzuciła się Anna w spienioną toń jeziora.

Odtąd słyhać czasem nad jeziorem żalorny płacz Anny i przeraźliwy chichot czarownicy.
Rybacy wtedy nie wyjeżdżają na połowy, nie zarzucają sieci.
Mówią : "Czarownica myje włosy w Beldanach".

Klemens Oleksik

Legenda mazurska



Nie było piękniejszej i weselszej wsi na całych Mazurach niż ta, w której mieszkał Janek. Wiosną na łąkach rozkwiły kwiaty o przedziwnym zapachu, w lecie nad szumiącymi łanami dzwoniły skowronki, jesienią owoce w sadach czerwienią i złotem radowały ludzkie oczy i serca:

Gdy wieczorem zejda się dziewczęta i kobiety z przęślicami, zasięda w krąg w izbie i zaśpiewają pieśń o rutce zielonej - Janek nasłuchać się nie może... A przęślicom to się już Janek nadziwować nie umie. Każda inaczej ozdobiona. U matusinej przęślicy u góry wisi malutki, metalowy dzwoneczek. Dostała go matusia wtedy, gdy jeszcze była młodą dziewczyną, od swego narzeczonego, od ojca Janka. Dzwoneczki zawieszane u przęślicy odpędzają złe czary i uroki.

Nawet kłobuk wtedy prządkom niestraszny. A kłobuk - wiadomo - lubi figle płatać. Czasem się w kormorana zamienia i z jeziora ryby wystrasza. To znów jako ptak ognisty na strzechę zleci i ogniem ją zapali. A nici prządkom gmatwać, rwać i płatać - to jego ulubiona robota. Ale dźwięku dzwoneczka nie lubi - oj, nie lubi!

Raz zaginął gdzieś mały, metalowy dzwoneczek. Od tego czasu zaczęły się we wsi dzieć niedobre rzeczy. Zaczęły gdzieś ginąć uśmiechy, dobre słowa, wesołe piosenki. Posmutniało, ludzie stali się kłótlivi, pochmurni. Pewnego razu biegł Janek przez wieś, patrzy, a tu dwaj chłopcy niosą srokę. Ptak piszczy, trzepocze skrzydłami, ale chłopcy wcale na to nie zwracają uwagi.

"Zamęczą ją" - pomyślał Janek.

- Puśćcie ptaka! Puśćcie zaraz - krzyknął przerażony.

- Daj mi swój nożyk, to puszcze - mówi Piotrek. - Daj mi swój malowany gwizdek, to ci ją oddam - mówi Józek.

Janek bez wahania wyciąga z kieszeni swoje skarby. Bierze drżącą srokę i biegnie z nią w las.

- Puszcze cię, nie bój się - szepce gładząc jej piórka.

- Dziękuję ci, dobry chłopcze - słyszy nagle Janek jej głos. - Ocaliłeś mi życie, a ja zrobiłam wam wielką krzywdę.

- Ty? - dziwi się Janek. - Ja. Ukradłam dzwoneczek od przęślicy twojej matki. Chciałabym bardzo go zwrócić, ale nie w mojej to mocy. Tylko ty możesz go odzyskać, bo nie masz w sobie zawiści, mściwości i gniewu. Słuchaj mnie pilnie: dzwonek twojej matki jest w mocy złego

kłobuka. Nie wiem, gdzie go ukrył. To on sprawił, że w waszej wiosce źle się dzieje. Masz tu dwa srebrne kluczyki. Weź je i idź z nimi na północ, gdzie najgęstsza paproć i jałowiec, gdzie mech jak dywan aksamitny się ściele. Zobaczysz tam chatkę, a w niej siwiutką staruszkę. Nie może ona praść srebrnych nici, bo kłobuk jej wrzeczono i przęślicę zamknął w okutej skrzyni. Tym kluczykiem otworzysz jej skrzynię, a ona ci powie, co masz dalej robić.

Poleciała sroka, a Janek ruszył w drogę. Na polanie wśród jarzębin ujrzał chatkę. Przed chatką staruszka siwowłosa w srebrnym czepcu siedzi i łzy po twarzy jej płyną.

- Dzień dobry, babciu - mówi Janek grzecznie. - Przynoszę coś, co was ucieszy.

I podaje jej srebrny kluczyk.

Biegnie babcia do chatki. Srebrny kluczyk do zamka dużej skrzyni wkłada, przekreca go i wyjmuje przęślicę z cudną, srebrzystą kądzielą. Siada przed domem i już wrzeczono furkocze wesoło. Co nić długą uprzedzie, na wiatr ją rzuca, a wiatr przedzę niesie, na gałązkach drzew rozpina i liliowe dzwoneczki wrzosów nią zdobi.

Opowiedział Janek wszystko po kolei, co się we wsi zdarzyło. Babcia słucha i głową kiwa, a potem bierze z kufra kłębek srebrnych nici i daje Jankowi.

- Weź ten srebrzysty kłębek. Gdy rzucisz go przed siebie, potoczy się żwawo, a ty idź za nim. Trafisz prosto do siedziby kłobuka. Nie wiem, w jakiej postaci go spotkasz. Jeśli ptakiem będzie, rzuć kłębek, a nić go omota. Jeśli jako człowiek ci się ukaże, kłębkim go uderz, a uśnie na długo. Potem rozglądaj się śmiało. Zobaczysz szkatułkę, otwórz ją kluczykiem, a znajdziesz srebrny dzwoneczek.

Pogładziła zmarszczoną dłonią Jankowe włosy.

- A posłuchaj mnie jeszcze. W drodze za kłębkim nie możesz przystanąć ani odpocząć. I zwalczać musisz wszelkie pokusy i przeszkody.

Podziękował Janek babci serdecznie i rzucił przed siebie kłębek srebrzystych nici. Toczy się kłębek, toczy, a Janek za nim biegnie, o korzenie drzew się potyka, ledwie może nadążyć. Dzień już zasypia, wieczór swym płaszczem otula świat. Janek od dawna nic w ustach nie miał. A tu grusza się gnie od soczystych owoców. Tylko rękę wyciągnąć.

- Posił się - szemrze drobnymi listeczkami.

- Nie mogę - woła chłopiec. - Nie mogę tknąć niczego.

Biegnie Janek dalej za srebrnym kłębkim. Droga staje się coraz trudniejsza, pełna ostrych kamieni i żwiru. Ale odpocząć nie wolno. Lecz co to? Kłębek wplątał się w gąszcz leśny, w tak wysokie pokrzywy, że Janek nic nie widzi za ich zieloną, wysoką gęstwiną. Przedziera się jednak za kłębkim, a tu osty kolczaste drogę mu zagradzają.

Idzie Janek ostatkiem sił, śpieszy, by kłębka z oczu nie stracić. Nagle osty rzędnieją, a Janek staje pod dużym, suchym dębem. Na drzewie czarne gniazdo, a na najniższej gałęzi olbrzymi kormoran ostrzy swój zakrzywiony dziób. Zobaczył chłopca, rozpostarł skrzydła i leci wprost na niego. Janek ostatkiem sił rzuca srebrną nić z kłębka. Nić omotuje ptaka w locie, krępuje mu skrzydła. Ptak szarpie się, próbuje wydostać się z sieci. Ale nić trzyma mocno, mocno. Janek wdrapuje się na drzewo, jest przy gnieździe. A w gnieździe mała szkatułka. Chłopiec otwiera ją srebrnym kluczykiem i widzi w głębi dzwonek, matusiny dzwonek od przęślicy. Bierze ostrożnie dzwonek do ręki.

Rozlega się cichutki dźwięk. Milkną pod drzewem krzyki kormorana. Ptak - olbrzym leży i dyszy, jakby go siły opuściły. Janek zaś czuje, jak ucieka gdzieś zmęczenie, przybywa mu sił. Zsuwa się z drzewa i biegnie w powrotną drogę. Rozstępują się osty, uchylają się parzące łodygi pokrzyw, znikają gdzieś kamienie z drózek. Janek jak ptak biegnie przed siebie.

Najpierw do babci srebrnowłosej za pomoc podziękować. Ale co to? Czy mu się zdaje? Na polanie nie ma wcale domku. Może to nie tu? Chyba tu. Na kwiatkach lśnią przecież nici, srebrne nici z przedży babci siwowłosej. Ale ona sama gdzieś zniknęła. Poszedł więc Janek w dalszą drogę do rodzinnej wsi.

I wkrótce zawiesił srebrny dzwonek u rzeźbionej przęśliczki.

Zaraz inaczej zaczęło się dziać we wsi. Wróciła zgoda i ludzie zaczęli się do siebie uśmiechać. A pod czarem tego uśmiechu wszystko wróciło do dawnego ładu i porządku.

I od tej pory zaczęto wieś nazywać Jankowo. Nie wierzycie?
Poszukajcie na mapie Warmii i Mazur.

Irena Kwintowa

Legenda z Lidzbarskiego Zamku



Stoi stary zamek. Czterema wieżycami w błękit nieba patrzy i starych legend słucha.

Dawne to czasy i legenda stara, którą szczyrby w kamieniu, w blasku księżyca do tej chwili widoczne opowiadają.

A prawdy w niej ile? Kto wie... Zamek widać było z daleka. Stał obronny z wieżycami smukłymi, z basztą potężną. Błękitne ramie Łyny obejmowało go z jednej strony, z drugiej - srebrna rzeczka Symsarna śpiewała mu wesołe piosenki. Nad Łyną wierzby stare kapały włosy w wodzie, a nad Symsarną drzewa wysokie, smukłe.

Dalekie lasy szumiały błękitniały jeziora.

- Piękna to ziemia - myślał młody rycerz Bolesław; gdy jechał do obronnego zamczyska.

Tu był potrzebny, tu krajowi służyć pragnął i bronić go w razie potrzeby. Ojciec umierając dał mu swój miecz.

Miecz to był mocny, a w silnej dłoni w żadnej bitwie nie zawodził. Z tym to mieczem pozostał Bolesław w drużynie zamkowej, a jego piękna postać i uśmiech słoneczny radowały oczy, gdy się nań spojrzano. Ale pewnego razu, gdy wybrał się na łowy z towarzyszami i oddalił się nieco, potężny niedźwiedź napadł go z nienacką. Mocował się z nim Bolesław, aż wreszcie cielsko niedźwiedzia leżało u jego stóp. Zmęczony ułożył się obok wielkiego zwierza i usnął na wilgotnej ziemi. Gdy się zbudził, uczuł bezwład w całym ciele. Nie mógł włączyć rękami ani wstać o własnej sile. Znaleźli go towarzysze łowów bezradnego, w kolebkę z płaszczy uczynioną między końmi umocowaną go ułożono i tak na zamek przywieziono. I odtąd leżał młody Bolesław na łożu bezwładny, z żalem na swój miecz wiszący na ścianie spoglądał. Przychodzili medycy, leki przeróżne stosowali, ale nie pomagały. Nawet karmić go było trzeba. Jadło przynosiła dziewczyna o drobnej postaci, pięknej twarzyczce i jasnym spojrzeniu.

Cierpliwie i delikatnie spełniała swoją posługę i odchodziła.

- Dawno tu jesteś na zamku? - zapytał raz Bolesław.

- Od dziecka, panie. Matkę moją zwierz dziki rozszarpał w borze. Zostałam sama i tu mnie przytulono.

- A jakże cię zowią?

- Miła - wyszeptwała cicho.

Spojrzał uważnie rycerz Bolesław na twarz dziewczyny i uśmiechnął się do jej błękitnych oczu. Miła poczuła, że ciemny rumieniec pokrył jej policzki. Od dawna przecież ten młody rycerz żył w jej marzeniach. Tak bardzo pragnęła mu służyć, ale nie było sposobności. Aż teraz, gdy jest

bardzo nieszczęśliwy... Oddałaby życie za jego zdrowie, za to, aby móc patrzeć, jak dosiada konia, silny i zdrowy wyjeżdża z bramy zamczyska. Jakże mu pomóc?

"A gdyby tak, a gdyby tak innych leków spróbować?" - pomyślała, nieśmiałym uśmiechem na uśmiech rycerza odpowiadając.

W lesie stary wróż mieszka, zioła suszy, zaklęcia czyni.

Myślała Miła, myślała, plany sobie tylko znane układała, aż pewnej pochmurnej nocy jak mały cień wysunęła się z zamku. Szła brzegiem Łyny. Łyna, rzeka - dziewczyna, jak mawiano w baśniach, wiodła ją krętymi drogami w gąszcz leśny. Przedzierała się Miła pośród gęstych drzew, przez leśne krzewy i trawy. Łyna - dobra rzeka - czuwała nad nią, pomogła jej dostać się do małej polanki, na której stała chatka wróża. Dziad był stary, twarz jakby bruzdami poorana, ale powaga jakowaś i moc były od tej postaci.

Gdy Miła odpoczęła nieco na ławie, powoli zaczęła opowiadać o wszystkim.

- Leży bezwładny, gdy inni na łowy jadą, na potyczki się wybierają. Leży, na miecz wiszący na ścianie spogląda i raz po raz ciężkie westchnienie pierś jego podnosi. Nieszczęśliwy jest, chociaż tego nie mówi. Raz tylko na miecz swój spoglądając rzekł: "Sławy ci już nie przysporzę ani synowi nie ostawię". Jak boleśnie tego słuchać, dziadu, pomóżcie mi, błagam!

- Ej, sieroto, sieroto! Pomóc ja mogę, bo wiele tajemnic nauczyła mnie Puszcza. Ale to nie tylko ja mogę temu nieszczęściu dać radę. Posłuchaj: jeśli rycerz Bolko wyzdrowieje i będzie silny jak dawniej...

- Krajowi będzie służyć - szeptem przerwała Miła.

- Będzie. Czasy idą takie, że każde męzne ramię będzie potrzebne, ale to inna sprawa...

- Dziadu, błagam was, pomóżcie!

- Posłuchaj: jeśli wrócę mu siłę, ty go stracisz na zawsze. Nie pokocha cię nigdy, pamiętaj!

- Nie jestem jego stanu - szepnęła.

- Nie jesteś, ale jeśli by cię umiłował, różnie być mogłoby. - Zamyślił się starzec, po chwili rzekł znowu do dziewczyny:

- Jeśli mu jednak wróci zdrowie, nie pokocha cię nigdy. Czy dla jego dobra wyrzekniesz się nawet nadziei?

- Wyrzeknę się - pobiełalami wargami szepnęła Miła, patrząc błagalnie w twarz starego wróża.

- Niech więc tak będzie! Posłuchaj. W noc pełni księżycowej upleciesz pas szeroki z pokrzywy parzącej, dodając włosów ze swego jasnego warkocza. Pas ten namoczysz w tym oto płynie.

- Sięgnął po dzban gliniany stojący na dębowej policy. Do małego glinianego naczynia ulał trochę brunatnego płynu.

- Zaczarowana moc się w nim kryje. Potężna moc. Pas w tym umoczysz, ręce i stopy mu namaścisz, potem miecz jego trzy razy skropisz. Pasem utkanym go opaszysz. Nie dziękuj, dziecko, nie dziękuj, sieroto, toć największą moc sama z siebie ofiarujesz. Idź już, idź, biedactwo, póki noc nad ziemią.

W następną noc, przy pełni księżyca plotła dziewczyna pas szeroki z pokrzyw, złotymi pasmami włosów z jasnego warkocza go przetykając. A gdy pas był gotów, zanurzyła go w glinianym dzbanie, w wodzie, która miała moc odwiecznej Puszczy, moc daną od Matki Ziemi. Nadszedł ranek. Miła owinęła poparzone ręce skrawkami lnianego płótna, pas ukryła pod kaftanikiem. Dzbanek niosła trzymając kurczowo oburącz.

- Co ci się stało? - z troską w głosie zapytał Bolesław, widząc płótnem owinięte ręce dziewczyny.

W głosie jego było serdeczne ciepło, aż dziewczynie mocniej zabiło serce.

- Wrzątkiem się sparzyłam, panie - odpowiedziała stawiając ostrożnie dzbanek koło łóża. - Panie, czy mi ufacie?

- Zastługujesz na zaufanie. Jesteś dobra.

- Pozwólcie dzisiaj mnie, jak co dzień medykwowi, wasze ręce i nogi posmarować moim lekiem. Włożę wam też pas, który może wam mocy dodać. Pozwólcie.

Rycerz Bolesław spojrział na dziewczynę uważnie. Tyle było w jej twarzy dobroci, tkliwości.

- Uczyń to, Miła - rzekł - uczyn to.

Z trudem ogromnym opasała pasem piekącym ciało rycerza. Potem natarła jego stopy i ręce płynem, trzykroć skropiła miecz wiszący na ścianie, chlubną spuścizną po przodkach rycerza.

- Spróbujcie, panie, unieść się na posłaniu.

Rycerz Bolesław spojrział w twarz dziewczyny. Była w niej wiara i moc dziwna. Dźwignął się na posłaniu, zakrzyknął radośnie. Uczuł, że może poruszać rękami i nogami, uczuł moc jakowąś w całym ciele.

- Miła! Miła!... Patrz...

Ale dziewczyny nie było już w komnacie. Patrzyła z ukrycia, jak jej ukochany zdejmuje ze ściany miecz, jak unosi w górę, jak całuje zimną stal. Wiedziała, że dla siebie nie ma już nawet nadziei. Za tę cenę przecież kupiła dla niego zdrowie, zapłaciła zań cenę swej miłości. Poczuli się bardzo szczęśliwi.

Wiść o nagłym wyzdrowieniu rycerza Bolesława rozniosła się po zamku. Radości nie było końca. Szykowało się akurat wyprawa przeciw białym płaszczom z czarnymi krzyżami. Bolesław jak inni z drużyny dosiadł konia, miecz krzepko dzierzył w dłoni...

A dziewczyna? Co się z nią stało? Gdy pewnego razu rycerz Bolesław przywiózł na zamek młodą, piękną żonę, Miła uśmiechnęła się z daleka do ich szczęścia, ale dwie duże łzy spłynęły po jej policzkach.

Przypomniała sobie chatę starego wroza. W ciepłą, czerwcową noc, przy pełni księżyca trafiła tam znowu. Stary wróz o nic nie pytał. Czytał w każdym ludzkim sercu jak w wielkiej księdze. Żał mu było tej dobrej dziewczyny.

Mocą wielką od Puszczy mu daną zamienił ją w storczyk leśny.

Do dziś w lasach Warinii w noc czerwcową, przy pełni księżyca zakwitają storczyki, a wtedy szczyby w zamkowym kamieniu nabierają srebrnego blasku.

Irena Kwintowa

Pierścień orlicy



Siedzi na przyzbie chaty matka, w oczach jej blask ciepły migoce, gdy patrzy na syna, na jego smagłe, silne ramię, połyskujące w słońcu, gdy unosi siekierę do góry i mocno uderzy nią w gruby pień drzewa. Szczapy lecą na boki, stos drew coraz większy.

- Matko - woła donośnie syn - matko, nie martwcie się, na całą zimę drew wam wystarczy, choćby i mnie czasem w domu nie było!

Dzielny jest Mikołaj, jak orzeł młody taki mocny i odważny. Jak topola wyrósł smukły, a mocny jak niedźwiedź w borze. Niestraszna mu ni burza na jeziorze, ni dziki zwierz. Łzy wzruszenia po twarzy zmarszczonej płyną, nie ociera ich stara matka, bo nie gorzkie to łzy, lecz tęcza w nich szczęściem rozbłyśka. Syn siekierę w pień wbił, przy matce siada.

- Matko, jutro do boru idę, na Niedźwiedzią Polanę. Barcie już pełne miodu, pszczoły nie próżnowały, lato piękne tego roku. Miodu ci, matko, przyniosę:

Nazajutrz ruszył Mikołaj w drogę: Do Niedźwiedziej Polany nie było blisko - Szedł najpierw brzegiem jeziora, połyskiwało w słońcu jak srebrna łuska ryby. W szuwarach słychać było trzepot skrzydeł, krzyk łysek i kurek wodnych. Błękitne ważki unosiły się nad sitowiem.

"Nie ma na świecie drugiego takiego jeziora" - myślał Mikołaj.

"Hej, piękne te nasze Śniardwy jak żadne! I ogromne - w pochmurne dni brzegu drugiego nie dojrzeć".

Doszedł do jarzębiny; obok w szuwarach lekko kołysała się łódź rybacka. Odwiązał łódź od pąka, mocno wiosłem odepchnął i popłynął. Równo, miarowo uderzały wiosła o srebrzystą wodę, płynął do przeciwległego brzegu, a różne myśli przewijały się przez głowę. Gdyby tak kiedyś z niedźwiedziem oko w oko stanąć albo orła bielika napotkać! Gdy do drugiego brzegu jeziora dopłynął, powitał go szum starego boru, brzęk pszczoł leśnych, zapach kwiatów i leśnej żywicy. Paproć dawała wilgoć i chłód - jakby wachlarze zielone rozpościerały się nad ziemią. Znalazł się na Niedźwiedziej Polanie. Tu nad drzewami słychać było brzęczenie tysiąca ruchliwych leśnych pszczoł.

Rozpalił spróchniałe kawałki drewna, aby okurzyć małe pracowite mieszkanki największej dziupli. Dżban gliniany do miodu i nóż przygotował, kiedy nagle usłyszał jęk, a potem mocny ostry krzyk ptaka. Serce mu zabiło. Nie mylił się! Gdzieś niedaleko krzyczał orzeł bielik, to jego mocne, niecierpliwe krakanie!

Przez gąszcza podszycia leśnego przedzierał się niecierpliwie w stronę, skąd dochodził głos. Z daleka ujrzał ogromnego ptaka leżącego na ziemi. Potężne skrzydła spoczywały bezwładnie rozpięte na igliwiu. Podszedł blisko. Przed nim leżał król ptaków orzeł bielik, orzeł, którego niełatwo spotkać w kniei. Głowa bezwładnie opadła na bok. Nagle rozległo się głośne, rozpaczliwe krakanie. Spojrzał w górę, nad nim krążyła ogromna orlica. Widział połyskujące w słońcu jej piękne jasnoszare pióra.

Orlica zniżyła lot. Odezwała się ludzkim głosem:

- Pomóż nam, człowieku. Widzisz tę sosnę wysoką jak maszt? Orzeł ma skrzydła złamane, a na wierzchołku sosny jest jego gniazdo. Opatrz rany orła i zanieś go do jego gniazda.

Mikołaj ochłonął ze zdumienia. Zdjął koszulę, podarł ją na strzępy, obandażował skrzydła orła. Orzeł leżał dysząc ciężko. Mikołaj owiązał go sznurem, który miał w torbie, i z trudem włożył swój ciężar na plecy. Orzeł krakał ochryple. A tu tymczasem wiatr zawodził w gąszczu drzew, zaczął padać deszcz. Jak z ciężkim ptakiem wspiać się na wysoką sosnę? Wiatr szarpał bezkarnie nagie ramiona Mikołaja, deszcz smagał ostrymi igielkami. Pień drzewa był śliski. Ale Mikołaj wyrósł wśród tej surowej przyrody. Piął się ku górze po mokrym pniu drzewa. Ciężki, bezwładny król ptaków zwisał mu przez plecy.

Orlica niespokojnie krążyła nad nim. Pot i deszcz zalewały oczy i twarz Mikołaja, wicher ostrymi gałęziami bił po ramionach. Wreszcie dotarł do wierzchołka drzewa i ciężar swój złożył w dużym, mocnym gnieździe. Odetchnął. Orlica usiadła na gałęzi obok gniazda.

- Dziękuję ci, człowieku, za pomoc. Weź ode mnie ten pierścień. Z żelaza jest, nie ze złota, ale moc jego trwalsza niż złoto i żelazo. Trzy razy tylko możesz tej mocy użyć w dobrej sprawie. Pierścień ten tylko dobremu człowiekowi służyć może, a ty na niego zasługujesz. Niech ci przyniesie szczęście i radość.

- Niechże będzie - rzekł Mikołaj. - Największa to jednak uciecha, żem orła bielika z tak bliska ujrzał, a radość, żem wam dopomógł. Żegnajcie!

Powrót do domu był trudny. Burza rozszalała się na dobre, jezioro huczało, ogromne fale zakrywały łódź. Niebo raz po raz przecinały błyskawice. Czuł się bezradny w walce z żywiołem. Łódź raz unosiła się wysoko na grzbietach fal, to znów nagle spadała jakby w wielką przepaść między fale. Ale powoli burza zaczęła się uciszać i Mikołaj znalazł się wreszcie na lądzie. Zabłyśło słońce. Mikołaj ruszył w stronę wsi. I nagle z daleka ujrzał ogromny słup dymu i ognia: jeden, drugi, trzeci... To jego wieś się paliła. Rzucił się jak oszalały, biegł bez tchu. Słysząc już krzyk płacz. Skoczył Mikołaj jak żbik między ogień. Nie zważając na płomienie i walące się belki wyniósł z ognia dwoje dzieci. Znów skoczył w ogień. Ludzie z przerażeniem patrzyli, jak nikł im z oczu i znów wyrastał. W blasku ognia połyskiwały tylko jego potężne nagie ramiona. Wieś jednak spaliła się doszczętnie. Spłonął i dom Mikołaja, ale on nawet o swoim nie myślał. Tak serce ścisnęło mu się na płacz dzieci i ludzką rozpacz. Robił, co mógł, ale miał tylko dwie ręce.

Spojrzał na ręce i nagle drgnął. Zapomniał zupełnie o darze orlicy. Na serdecznym palcu połyskiwał żelazny pierścień. Czy mógł znaleźć w nim radę?

- Orlico, w imię twoje, dopomóż mojej wsi! - wyszeptał.

Zerwał się wicher, ciemność zaległa świat. A gdy wyjrzało słońce, wieś stała znów jak dawniej, tylko piękniejsza i dostojniejsza. Znów w ogródkach kwitły złote nagietki, wysmukłe malwy. Chata jego stała jak dawniej wśród starych jabłoni, tylko nowa strzecha połyskiwała jak szczere złoto. Spostrzegł matkę na progu chaty.

- Synu - wołała - synu, co to było? Ten ogień, ten jęk? Czy to zły sen? I co to się teraz stało? Nie sen to, bo do tej chwili serce mi bije - z trwogi o wszystkich, a najbardziej o ciebie. Tak dzielnie walczyłeś z ogniem.

- Nie czyniłem nic, prócz tego co wszyscy. Zwyczajnie.

- Synu, a to, co widzisz teraz? Przecież znów stoi wieś i ludzie ze zdumienia przemówić nie mogą.

Usiadł Mikołaj koło matki i opowiedział jej wszystko, co się jemu wydarzyło.

- Pierścień orlicy to uczynił, matko. Tylko trzy razy mogę użyć jego mocy. Ale niech nikt o tym nie wie.

Mijał czas. Życie toczyło się we wsi zwykłym trybem, jezioro dawało ryby, pole zboże, las pełne wory orzechów, kosze grzybów i jagód. Znów echo niesło w ogrody i łąki melodie starych pieśni mazurskich. Minęło kilka lat. Mikołaj jeździł na połowy, ryby wędził, woził do miasta na kiermasz. W czasie tych podróży wiele widział i wiele się uczył. Ale nigdzie nie wydawało mu się piękniej niż nad jego jeziorem.

Pewnego razu, gdy wracał z dalszej podróży, na horyzoncie ujrzał dym. Wiatr z daleka przynosił jakby jęki ludzkie i szczęk oręża. To wróg napadł na cichy jego kraj. Straszne słowo

"wojna" zmroziło mu serce. Ludzie rzucali domostwa, dobytek, ciągnęli w stronę grodu. Gród przygotowywał się do obrony, spiesznie zniesiono olbrzymie kamienie, drewniane belki. Wróg był tuż, tuż. Nie wszyscy zdążyli schronić się za mury. Mikołaj przedzierał się przez lasy sobie tylko znanymi drózkami i widział kobiety, dzieci powiązane sznurami. Pędzono je w niewolę. Wsie paliły się, dymy pożarów snuły się po polach. Pierścień orlicy! Czy pomoże mu?

Użyje jego mocy po raz drugi.

- Orlico, w imię twoje, niech wróg zostanie pobity! Pomóż, orlico, jeńców ocalić i wróć pokój na nasze jeziora:

Spełnił pierścień orlicy prośbę Mikołaja.

Pobito wroga, odebrano jeńców. Zapanowała znów cisza nad mazurską ziemią. Mikołaj wrócił do swej wsi, do swej matki. Ona jedna wiedziała, że stało się to za pomocą pierścienia orlicy i szlachetnego serca Mikołaja. Znów płynęło życie spokojne i pracowite.

- Synku - mówi raz matka, gdy wrócił do domu z jeziora. - Przysłano po ciebie z grodu. Mówią, że umiesz tak ryby wędzić, że w smaku żadne im nierówne. Pan kazał ci przynieść ryby.

- Mogę mu zanieść, niech tam kosztuje.

Mikołaj przygotował wielki kosz najwspanialszych ryb. Ruszył z nimi do grodu. Pan przyjął go łaskawie, dał mu pieniądz złoty i kazał częściej z towarem przychodzić. Wracał Mikołaj pogwizdując, schodził z górki lekko z pustym koszem, gdy nagle ujrzał dziewczynę. Mała i chuda niosła na nosidłach dwa ogromne wiadra wody. Podszedł bliżej i zobaczył twarz tak brzydką, że aż zadrżał. Dziewczyna spojrzała na niego smutno, chciała usunąć się z drogi i zachwiała się. Widać była bardzo zmęczona.

- Daj, pomogę ci - rzekł Mikołaj.

- Pomożecie? Ale nie, dziękuję za waszą dobroć. Ludzie śmiać się z was będą, że takiej brzyduli pomagacie.

Mikołaj w milczeniu wziął wiadra od dziewczyny i zaniósł pod sam gród. Tu dziewczyna zatrzymała go.

- Nie nieście dalej, nie trzeba, aby ojciec ujrzał, że mi ktoś pomaga. Mówi, że swoją brzydota przynoszę mu wstyd. Dlatego daje mi najcięższą pracę.

Zapłakała cichutko i uniosła swój ciężar z wysiłkiem.

Odtąd często Mikołaj nosił wędzone ryby do grodu. Potem czekał na dziewczynę u stóp wzgórza, aby pomóc jej zanieść wodę z jeziora. Pewnego razu spotkał dziewczynę tak pobitą i posiniaczoną, że serce w nim zadrżało. Siedziała w przydrożnym rowie i ocierała zakrwawione nogi listkami babki i podbiału.

- Co ci się stało? - zapytał.

- Dzieci obrzuciły mnie kamieniami - zapłakała. - Tyle ludzi cieszy się słońcem, a dla mnie ono nie świeci. Kocham swego ojca, ale moja brzydota budzi w nim wstręt. Psy nawet wyją na mój widok. Tylko ty jeden...

Zapłakała rzewnie. Ze smutkiem tak wielkim patrzyła na niego, że usiadł obok dziewczyny.

- Jak ci na imię?

- Dziewanna - choć niczym dziewczynny nie przypominam.

- Słuchaj, Dziewanno, gdy wrócisz do ojca, podejdź do niego blisko.

- Uderzy mnie. - Nie bój się. Podejdź i patrz mu w oczy. Uwierz mi.

- Jeśli mi każesz, uczynię to, choć bardzo się boję.

Kiedy zaniósł dziewczynie wodę, czekał ukryty za drzewem, aż zniknie mu z oczu. Wtedy dotknął żelaznego pierścienia.

- W imię twoje, orlico, niech pierścień spełni to, czego żądam. Niech Dziewanna stanie się piękną i szczęśliwą.

- Ostatnie to życzenie, które może ci się spełnić - rozległ się nagle głos. - Czy dla siebie nic nie pragniesz w życiu? Nie pragniesz skarbów, złota, dostatku? Nie chcesz władzy?

To był głos orlicy. Gdzie ona była? Wokół ani szelestu skrzydeł ani żadnego nawet cienia. Czy to pierścień przemówił?

- Nie pragnę niczego, jedynie tego, o co proszę. Niczym nie cieszyłbym się, gdybym wiedział, że mogłem ocalić tę biedną, dobrą dziewczynę i nie uczyniłem tego, bo myślałem tylko o sobie. Spełń moją prośbę, pierścieniu, w imię orlicy proszę cię.

- Dobrze. Spełni się twoje życzenie, szlachetny człowieku.

Mikołaj poczuł się lekko, jakby mu ktoś skrzydła przypiął do ramion. Pierścień nie miał już mocy, ale on w sercu czuł dziwną moc i radość. Minęło dni niewiele, kiedy przysłano po niego z grodu: Nałowił kosz pięknych ryb i poszedł.

"Nie spotkam już teraz Dziewanny" - pomyślał.

Kiedy wszedł na dziedziniec, w oknie ujrzał piękną dziewczynę. Skinęła ku niemu ręką i uśmiechnęła się radośnie. Kto to może być? Zobaczył ją za chwilę blisko. Była olśniewająco piękna.

- To ja, to ja, Dziewanna... Mój przyjacielu, stało się coś, o czym nie umiem opowiedzieć. Czy mnie nie poznajesz? To ja, dawna brzydula. Uśmiechnij się do mnie, proszę.

- Cóż to, z rybakiem prostym wdajesz się w rozmowy? - zagrzemiał nad nimi głos.

To pan grodu stał nad nimi - wyniosły i srogi.

- Ojczy, kto był dobry dla biednej brzydkiej dziewczyny, ten na zawsze zostanie jej ukochanym przyjacielem. Wierzę, że dzięki niemu stała się ta wielka odmiana.

Niedługo potem odbyło się huczne wesele rybaka Mikołaja z Dziewanną. Bolał srodze w swej dumie pan grodziska, że córkę zwykłemu rybakowi za żonę dać musi, ale jakaś moc czuwała nad nimi - i nie zdołał się jej sprzeciwić.

Stara baśń mówi, że gdy Mikołaj i Dziewanna jechali do ślubu, para potężnych orłów krążyła nad ich głowami.

Żyli młodzi podobno długo i szczęśliwie, kochani i szanowani przez ludzi.

I podobno Mikołajki noszą nazwę na pamiątkę szlachetnego rybaka Mikołaja, który mocy pierścienia użył dla dobra innych.

Irena Kwintowa